LUBLIN

kultura i społeczeństwo

nr 6(83) Rok XIV
listopad-grudzień 2017

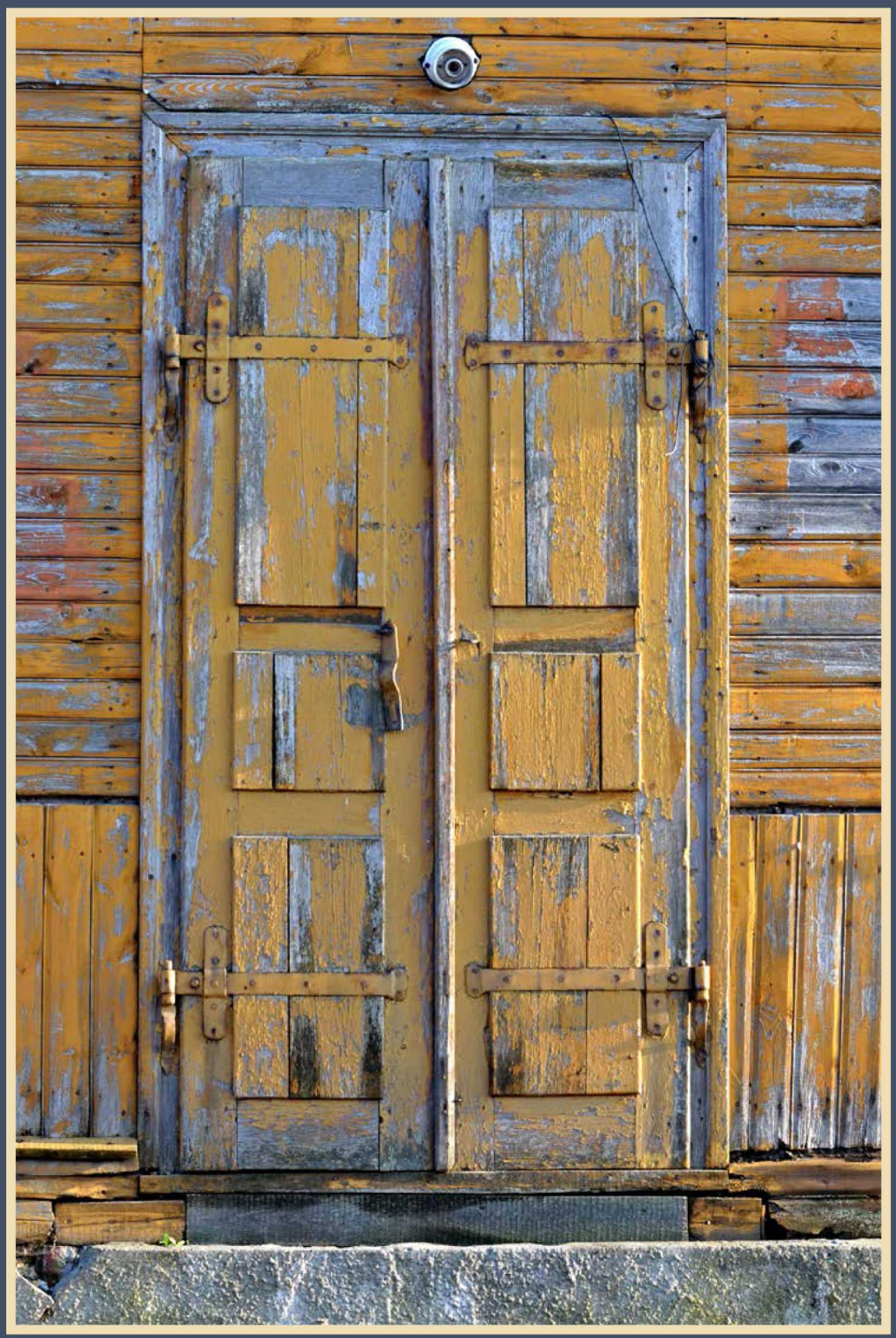

Zbigniew Strzałkowski

WSPÓLNY STÓŁ WIGILIJNY

Aniołowie niebiańscy z radością zasypali
pośpiesznie grudniowe dni bielą śnieżną.
Błękitny baldachim nieba nagle zabłysnął
dwunastoma gwiazdami w świetle księżycowej osłony.
Gwiazda Betlejemska zatrzymała się nad całym
krajobrazem by przez witraże okien osiąść
w przedwieczerz na szczycie choinek
ubranych kolorowymi ozdobami aż pod powały
zapachem jemioły, sosenki, jodły.

Świąteczny obrus bielą haftowany nakrył
tradycyjny zapach siana – to ono otula
Dzieciątko w szopce pod choinką.
Stół stał się ołtarzem wigilijnym.
Modlitewny czas razem z opłatkami
oczyszcza sumienie ogarniając nadzieją
przyszłość człowieka i całego świata.
Wspólny psalm otacza odblask ze żłobka
wolności i miłości danego nam Boga.

Tradycyjne potrawy zdjęto ze stołu.
Czas rozpocząć śpiewanie pastorałek
pełne muzycznej emocji-radości.
Posypały się kolędy wypełniając radosny
nastrój każdemu domowi.
Z odległej tradycji rodzice wydobyli
kantyczki i kołysanki owinięte poetyckimi szeptami.
Muzyczne nuty skrzypiec, fletów i gitar z całą
ekstazją radości ukłony ślą Maryi i jej Synowi.

Bądź nam bądź Zbawco nieśmiertelny!

LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO
Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych

Wydawca:
Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26

Redakcja:
Zbigniew Włodzimierz Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Barbara Caban
(korekta)
Mateusz Miernik
(redakcja techniczna)

Adres redakcji:
20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa:
Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na 1, 2, 3, 4 stronie okładki fotografie Tadeusza J. Chmielewskiego

W numerze:

Wspólny stół wigilijny… – Zbigniew Strzałkowski 3
Drodzy Czytelnicy 5
Boże Narodzenie 2017 r. – ks. Edward Walewander 6
Kolędy – Stefan Nieznanowski 8
Mesyjasz, wierny Chrystus nasz (kolędy staropolskie) 10
Ostatnie lata życia Lwa Tołstoja w zwierciadle prasy lubelskiej – Jan Orłowski 18
Auctor. Stanisław Weremczuk i jego twórczość literacka – Jarosław Cymerman 25
Powroty w dzieciństwo (wiersze wigilijne) – Ryszard Kornacki 45
Jubileusz Alojzego Leszka Gzelli – Jan Gurba 46
Zawód: dziennikarz. Z Alojzym Leszkiem Gzellą rozmawia Zbigniew Włodzimierz Fronczek 48
Pragnienie Zaklinacza Czasu – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 56
Apostrofa rocznicowa – Jan Łanucha-Sęk 58
Matka i Syn – Henryk Radej 58
Wiersze – Marian Janusz Kawałko 59
Wspólna Wigilia – Stanisław Rogala 60
Myśli przy rąbaniu drewna – Krzysztof Kulig 61
Wiersze – Waldemar Taurogiński 64
Wigilijny dzień – Henryk J. Kozak 64
List profesora Czesława Michałowskiego 65
Co wiemy o Grodach Czerwieńskich. Z doc. dr Janem Gurbą rozmawia Czesław Michalowski 65
Chłop i Żyd – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 68
Zapiski z Ziemi Świętej (część 2) – Henryk Radej 70
Kalendarz żołnierza 2-go Korpusu na rok 1945 r. – Czesław Michałowski 72
Dziecko w opcji życiowej Janusza Korczaka – ks. Edward Walewander 81
Marian Janusz Kawałko, czyli o poezji i miłości… – Zbigniew Waldemar Okoń 83
Odznaczenia Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód – ks. Edward Walewander 86
Blizny pamięci – Al. Leszek Gzella 91
Różaniec do granic – Kinga Ciasnocha 92
Uśmiech Boga – Mateusz Miernik 93
Ulica Hempla ulicą Czarnka? – Giez 94
100-lecie Władysława Rokickiego – Al. Leszek Gzella 95
Nikt nie rodzi się byle kto… – ks. Edward Walewander 97
Powiedział: „Ja jestem noc czerwcowa... – Ryszard Kornacki 99
Tren na śmierć krajana – Ryszard Kornacki 101
Modrzew Dominika – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 102
Jabłko, raj i żal – Stanisław Piotr Gaszyński 103
Dominikowi Opolskiemu... – Ryszard Kornacki 104
Biedny biedniejszy – Henryk J. Kozak 104
List z Polski – Dziadek Stach 105
Książka sercem pisana – ks. Edward Walewander 107
Zoom, czyli powiększanie drobiazgów – Józef Franciszek Fert 108
Kolejne ważne spojrzenie na Łysicę – Marek Kątny 110
Pieniądze biednych – tylko dla biednych – Zbigniew Włodzimierski 112

NUMER dwumiesięcznika „Lublin. Kultura i społeczeństwo” zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

Drodzy Czytelnicy,

Podnieś rękę Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą…

To słowa szczególnie bliskiej mi kolędy. Autorem jest Franciszek Karpiński, twórca wielu pieśni religijnych. Słowa Karpińskiego nucę nie tylko w okresie Bożego Narodzenia, bywa, że przychodzą do mnie w środku lata, czasem wiosną lub jesienią. Jest w tych słowach patriotyzm i teologiczna głębia, jest w nich wielka wiara w moc Boga. Ta wielka wiara przebijająca z poezji Karpińskiego wielu z nas porusza i inspiruje. W numerze, który trafia do rąk Czytelników, polecam piękne przemówienie ks. Prof. Edwarda Walewandra *Boże Narodzenie 2017 roku*. W przemówieniu ks. Profesor również przypomina kolędę Karpińskiego i zachęca, aby wzruszające słowa poety były także serdeczną treścią naszych bożonarodzeniowych i noworocznych życzeń.

Numer rozpoczynamy pięknym wigilijnym wierszem Zbigniewa Strzałkowskiego, niedawno zmarłego Przyjaciela i redaktora naszego pisma. Kończy się rok, a ja muszę westchnąć: bardzo nam Cię brakuje, Zbigniewie, dobry duchu i legendo Lublina. A w numerze wiele wigilijnych wierszy, kolęd i pastorałek współczesnych polskich autorów. Szczególnie polecam blok staropolskich kolęd. Zostały zaczerpnięte z tomu *Kolędy polskie. Średniowiecze, wiek XVI*. Teksty z rękopisów i starych druków do wydania w roku 1966 w warszawskim PAX-ie przygotowali Stefan Nieznanowski i Juliusz Nowak-Dłużniewski. Wyboru kolęd dla naszego pisma dokonał prof. Stefan Nieznanowski, także autor pięknego komentarza.

Lew Tołstoj (1828–1910) już za życia był twórcą popularnym w Polsce, a i w Lublinie również. Opowiadanie *Za co?,* uznawane za najbardziej propolski utwór rosyjskiego pisarza, drukował lubelski „Kurier" w roku 1906. W lubelskim „Kurierze" obszernie informowano również o śmierci pisarza. O ostatnich latach życia Lwa Tołstoja w zwierciadle prasy lubelskiej pisze na naszych lamach prof. Jan Orłowski, najwybitniejszy polski znawca literatury rosyjskiej.

Cieszę się, że możemy przypomnieć postać niedocenionego pisarza Stanisława Weremczuka (1932–2008). Polecam obszerny szkic o życiu i dziele Staszka Weremczuka – naszego nieodżałowanego Przyjaciela – autorstwa prof. Jarosława Cymermana. Na naszych lamach chętnie publikujemy wywiady z artystami, naukowcami, politykami. Dziś interesująca rozmowa o Grodach Czerwieńskich przeprowadzona z archeologiem prof. Janem Gurbą przez prof. Czesława Michałowskiego oraz wywiad z jubilatem Alojzym Leszkiem Gzellą, nestorem lubelskiego dziennikarstwa. Jubilat należy do najpracowitszych autorów „Lublina", także w tym numerze wiele Jego błyskotliwych relacji felietonów i recenzji.

A ponadto numerze druga część pasjonującego reportażu z wyprawy do Ziemi Świętej pióra Henryka Radeja i piękna proza Krzysztofa Kuliga. Profesor Czesław Michałowski ze zdumiewającą łatwością a i częstotliwością odnajduje unikalne publikacje, pamiętniki, zapiski i pamiątki sprzed lat. Dziś omawia znaleziony – w zaskakujących okolicznościach – kalendarzyk z roku 1945 Bolesława Korbela, podchorążego 2-go Korpusu.

Prezentujemy oryginalne fotogramy Tadeusza J. Chmielewskiego zaczerpnięte z tomu fotograficzno-literackiego *Pragnienie*, piszemy o laureatach medalu Mickiewicz-Puszkn, o niezwykłej akcji „Różaniec do granic", pięknych i ważnych książkach, o naszych przyjaciołach, którzy odeszli: Mieczysławie Kaleniku, Marianie Januszu Kawałce, Dominiku Opolskim…

Dominik Opolski, oryginalny poeta, autor niezrównanych aforyzmów, odszedł 6 października 2017 roku. Nie zaznał w życiu dostatku, ale nie narzekał na swój los. Wiele lat podziwiałem Jego specyficzny humor. Miał rzadko spotykaną cechę, potrafił śmiać się z siebie, czym zyskał nie tylko moją sympatię. Być może zasłużył na pomnik, z pewnością na ulicę swego imienia, póki co na pamiątkę Jego dokonań literackich posadziłem modrzewia w Parku Etnograficznym „Pod Kogutem".

Skoro mowa o dowcipie poetów i redaktorów…

Marek Adam Jaworski, wieloletni naczelny dwutygodnika „Kamena", chciał uchodzić za człowieka i redaktora dowcipnego. Kiedyś na łamach swego pisma zamieścił fikcyjną mapkę lubelskiej dzielnicy literackiej, w dzielnicy był Uniwersytet im. Dominika Opolskiego, Biblioteka Główna im. Cezarego Listowskiego, pole różane Aleksandra Rozenfelda i muzeum niżej podpisanego. Autor był dumny z siebie, choć jego pomysł – jak mnie pamięć nie myli – nie wszystkim przypadł do gustu. Ale był to numer „Kameny", który jako jedyny w długiej historii pisma, został całkowicie rozprzedany.

I do spotkania w roku 2018, w piętnastym roku wydawania „Lublina" – redaktor

Ks. Edward Walewander

Boże Narodzenie 2017 r.[1]

Już ćwierć wieku spotykamy się przed świętami Bożego Narodzenia. Z okazji świąt składamy sobie życzenia i dzielimy się opłatkiem. Także dzisiaj przeżywamy to niezwykłe wydarzenie. Jeszcze niedawno nie tylko w naszym środowisku, ale i gdzie indziej było to nie do pomyślenia. Przecież takie spotkanie nigdy dla nikogo nie stanowiło żadnego zagrożeniem.

Dzielenie się białym chlebem, zwanym u nas opłatkiem, to między innymi wyraźna zachęta, by zyskać jak najwięcej z tego czystego, białego chleba, aby coraz lepiej budować swe życie indywidualne i społeczne. Składanie sobie w tym dniu, w tak przyjaznej atmosferze życzeń to umacnianie między innymi wspólnoty rodzinnej, stowarzyszeniowej i narodowej.

Na wstępie zawsze słuchamy Ewangelii o Bożym Narodzeniu. Jest ona bardzo prosta, a jednocześnie nad wyraz aktualna. Dzięki niej uświadamiamy sobie, że przychodzący na świat Jezus nikomu nie zagraża. Nie trzeba się Go obawiać, a tym bardziej walczyć z Nim. Wprost przeciwnie. To On ubogaca wszystkich pod każdym względem.

Przesłanie Jezusa odnosi się do wszystkich czasów i wszystkich generacji. We współczesnym tak bardzo niespokojnym świecie, gdy niemal codziennie zagrożone jest życie ludzkie i niezbędna jest recywilizacja społeczeństw, Jego przesłanie potrzebne jest bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Patrzymy dzisiaj na Niego jako na alfę i omegę. Początek i koniec historii. Z drugiej strony uświadamiamy sobie, jak mało Mu wierni chrześcijanie zamknęli Go w lochu swej własnej małości. Bezkrytycznie poszliśmy za tzw. uczonymi, rzekomo wielkimi autorytetami, które w mediach i salach wykładowych, w mieszaninie prawdy, półprawdy i kłamstwa wypaczają największe wydarzenie wszech czasów.

Zagubił się nam Jezus, który formował i zmieniał dziesiątki generacji ludzkich, inspirował największych geniuszy ludzkości. Przez dziesiątki, setki, a nawet tysiące lat pytano, co mogłoby przemawiać przeciwko Niemu. Swą wrogością wobec Niego epatowali zwłaszcza ci, którzy w XX wieku budowali teraźniejszość i przyszłość swego nowoczesnego państwa bez Boga. Nietrudno się domyśleć, że chodzi tu zwłaszcza o Związek Sowiecki. Co po nim pozostało? Puste i haniebne miejsce w historii. Chociaż świątynie katolickie wysadzano w powietrze a kapłanów mordowano bądź zsyłano do ciężkich łagrów, Jezus pozostał żywy!

Czy to nas nie dziwi, że zapomnieliśmy postawić pytanie, co przemawia za Jezusem? Za prawdą Jego historii? Za prawdziwością Jego nauki: że jest Posłańcem Boga, Jego Synem i stanowi jedno z Ojcem.

Zapamiętajmy, że znakiem Boga jest prostota. Jego wymownym znamieniem jest dziecko. Stał się dla nas mały. Taki jest Jego sposób panowania. Nie przychodzi On do nas z zewnętrzną mocą i przepychem. Przybywa jako bezbronne dziecko, które potrzebuje od nas pomocy. Nie chce nas przytłoczyć swą mocą. Sprawia, że nie boimy się Jego wielkości. Wprost przeciwnie. To On zabiega o naszą miłość. Dlatego stał się dzieckiem. Dzisiaj antycypujemy święto Jego narodzenia.

Temu małemu Jezusowi, który przychodzi do nas, mamy za co dziękować. Najbardziej za to, że wciąż jest z nami i nas prowadzi. Ćwierć wieku naszej działalności to też Jego zasługa. Jest bowiem w naszym środowisku wielu ludzi, którzy modlą się za nas. Za nasze dzieło. Za jego pomyślność.

Jezus pozostanie z nami po wszystkie dni, aż do skończenia świata. Do Niego należy ostatnie słowo. A jeśli nawet czasami, po ludzku sądząc nie zostaliśmy wysłuchani, w konsekwencji okazuje się to właśnie naszym zwycięstwem. Bo zostaliśmy wysłuchani. W *Księdze Rodzaju* jest mowa o tym, że *wszystko, co uczynił Bóg było bardzo dobre* (Rdz 1, 31).

Ten Nowo Narodzony Jezus jest prawdą. Nauczał, że tylko ona może nas wyzwolić. Ubolewamy, że bliskie nam struktury społeczne i polityczne nie wyciągnęły wniosków z przeszłości i nadal są mistrzami świata w kłamstwie i wprowadzaniu innych w błąd. Z tym kłamstwem stykamy się nierzadko. Ale nie dajemy się zwieść. Tylko prawda może nas prowadzić i wyzwolić!

[1] Przemówienie wygłoszone 15 grudnia 2017 r. podczas spotkania opłatkowego członków i sympatyków Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód.

Dobrze, że jesteśmy tu razem. Postarajmy się wynieść z tego spotkania jak najwięcej. Niech Nowo Narodzony Jezus staje się nam coraz bliższy. Tylko On może uratować naszą ziemię i prowadzić nas ku temu, byśmy rzeczywiście byli jedno ze sobą, a przede wszystkim z Nim. Z Jezusem możemy wszystko, bo On nas umacnia. Od nas zależy, na ile skorzystamy ze spotkania z naszym najlepszym Panem.

Prośmy Jezusa: Podnieś rękę Boże Dziecię. Błogosław nasze Stowarzyszenie. Błogosław Ojczyznę miłą i nas wszystkich. Niech to będzie serdeczną treścią naszych życzeń!

Julian Fałat, *Chodzenie z turoniem*, Tygodnik ilustrowany, 1883 r.

→

KOLĘDY

Kolęda – powszechnie dziś stosowany termin – w staropolszczyźnie ma inne znaczenie: jest to pieśń życząca na Nowy Rok (zob. np. Kolędę Jana Kochanowskiego). Słowniki dawnej polszczyzny kolędą nazywają podarunki z okazji Bożego Narodzenia oraz odwiedziny księdza, pobierającego tzw. dziesięcinę. Utwory o tematyce bożonarodzeniowej nazywano pieśnią, kantyką, rotułą lub… symfonią.

Kolędy, użyjmy dzisiejszego terminu, średniowieczne i XVI-wieczne powstawały w ośrodkach życia wspólnego: klasztorach i dworze królewskim. Służyły, jak i inne pieśni, edukacji religijnej środowiska i poza nim nie były znane. Uświetniały rytuał świąteczny wspólnoty. Prym wiodą tu klaryski i benedyktynki (w Polsce o formację religijną fraucymeru dbała królowa Jadwiga). Sposoby świętowania obu zgromadzeń się różnią, ale teksty, u benedyktynek tylko łacińskie, podobne w traktowaniu tematu. Mówią o wydarzeniach betlejemskich w zgodzie z dogmatem o Wcieleniu, interpretują, czasami symbolicznie, niecodzienność narodzin, unikają emocji nawet w kołysankach (klaryski „kołysały Dzieciątko", w Krakowie u klarysek zachowała się XVI-wieczna kołyska!).

Nieco inaczej było u franciszkanów. Zakon powołany do ewangelizacji szerokich rzesz wiernych pieśnią katechizował, musiał więc zachowywać dogmatyczny kościec kolędy (zachowały się dwa zbiory rękopiśmienne z lat 1551–1555, jeden z Bibliotece PAN w Kórniku, drugi w zbiorach Czartoryskich w Krakowie). Kallimach, autor biografii arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka (*De vit aet moribus Gregorii Sanocensis*, ok. 1478 r.) pisze o skardze proboszczów lwowskich na franciszkanów, którzy adoracją Dzieciątka i pieśniami odciągają wiernych od macierzystych parafii. Z tych starych zasobów kolędowych aktualność zachował tylko „Anioł pasterzom mówił". Te stare teksty miały natomiast placet kościelny do poł. wieku XVIII.

W roku 1843 ks. Michał Mioduszewski wydał kolędy ze zbiorów zakonnych XVII i XVIII wieku, weszły wtedy w obieg społeczny i wyparły stare teksty.

S.N.

KOLĘDY POLSKIE. ŚREDNIOWIECZE, WIEK XVI

[I/3] ZSTAŁ(A)Ć SIĘ RZECZ WIELMI DZIWNA

Przedruk za Bobowskim *Polskie pieśni katolickie*..., s. 76–77. Przedruk również u Brucknera *Średniowieczna pieśń*..., s. 104–105.
Tekst pochodzi prawdopodobnie z r. 1442 (taką datę podaje pierwszy jego wydawca Wacław Aleksander Maciejowski *Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian*, t. II, Petersburg 1839, s. 362; Bruckner cofa ją kilkanaście lat wstecz poza r. 1442). Jest to przekład nd czeskiej pieśni >>Stalat syc gest wyecz dywna<< (ogłosił ją Jan Karłowicz w „Pracach Filologicznych", t. II, 1888, s. 578–579). Tekst czeski posłużył Bobowskiemu do restytucji pieśni polskiej. Z niego pochodzą ujęte w klamrę( ) ww. 28–31; ujęliśmy w klamry także Repeticio, rozwinięte przez analogię do pierwszej strofy. Pieśń ma wyraźną trójdzielną budowę, identyczna budowa strof jest więc prawdopodobna.

Inne tłumaczenie tej pieśni czeskiej na język polski znajduje się w Kancjonnle Walentego z Brzozowa, Królewiec 1554 (zob. IV/28).

Zstał(a)ć się rzecz wielmi dziwna:
Panna Syna porodziła
Przeze wszej stradzy cielestnej;
To-ć jest dziwne a nowe.

5 Izaijasz prorokował,
Anjeł Gabryjel zwiastował:
Zdrowa jeś, Panno miłości,
Porodzisz przez boleści.
Rep.: Rodujmy się, weselmy się!
10 W Betleem, w małem mieście,
Bog narodził się.

Pastuszkam się anjeł zjawił
A jim nowiny powiedział,
Eż się narodziło dziecię,
15 Jeż słynie po wszem świecie.
Słuchał-li kto takie dziwy,
By Trze Krolowie przyjeli
Od wychoda słuńca k niemu
Dawając dary jemu,
20 Tworcu swojemu.
(Rep.: Radujmy się, weselmy się!
W Betleem, w małem mieście,
Bog narodził się.)

Prosi za nas Syna, Matko,
25Aby była nasza wina
Miłościwie odpuszczona;
Przez jego narodzenie
(Daj nam pokoj i zdrowie
A wszem grzechom odpuszczenie,
30Maryi jedyny Synu,
Daj miłość, odpuść winę.)
(Rep.: Radujmy się, weselmy się!
W Betleem, w małem mieście,
Bog narodził się.)

→

[1/29] MESYJASZ, WIERNY CHRYSTUS NASZ

Mesyjasz, wierny Chrystus nasz,
Objawil-ci nam już swoj czas,
Eja, eja, swego narodzenia.

Wierz, człowiecze chrześcijański,
Narodził się nazareński
Eja, eja, w jego narodzenie.

Uznał-ci woł a i osieł,
Iż nam (się) narodził Pan,
Eja, eja, jego narodzenie.

Anjoł pastucham objawił,
Osieł i woł jest ji falił,
Eja, eja, Boże narodzenie.

Trzej Krolewie przyjechali,
Dary mu ofierowali,
Eja, eja, jego narodzeniu.

[1/32] AUGUSTUS KIEDY KROLOWAŁ

De nativitate Dominini

Przedruk za Stefanem Vrtcel-Wierczyńskim *Wybór tekstów staropolskich. Czasy najdawniejsze do r. 1543*, Warszawa 1950, wyd. II, s. 185–187. Transliteracja Wierczyńskiego z rękopisu Biblioteki Krasińskich w Warszawie. Pierwodruk: Franciszek Pułaski *Pieśni religijne XV w*. w: „Sprawozdania z Posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego", t. V, 1912, s. 3 n. oraz l 8–21. Tekst pochodzi z końca XV lub początku XVI w.
Tekst w formie abecedariusza, dlatego zachowano w ww. 61 : Q, 81 : X i 85 Y. Nie zachowuje się wtórnej nosowości, ponieważ pisarz oznacza ją niekonsekwentnie. Po w. 75 w rękopisie przekreślone: Jidąc, Bogu dziękowali.

Augustus kiedy krolował,
Wszytkiemu światu panował;
Świat wszystek popisać kazał
A czynsz od każdej głowy brał.

Betleem, miasto niewielgie,
Miało goście tedy mnogie;
Tamo Jozef (z) swoją oblubienicą
Poszedł z Maryją brzemienną.

Ci, iże ubodzy byli,
Gospody w mieście nic mieli:
Przeto do stajniej stąpili,
Tamo w ubostwie mieszkali.

Dziewica tedy przeczysta
Porodziła Jezu Krysta.
W poł nocy się Bog narodził,
A wszystek świat uwiesielił.

Emanuel się narodził,
A żywota nie otworzył.
Izaijasz prorokował,
A to znamię krolowi dał.

Fałszywi żydowie błądzą,
Pisma świętego nic widzą.
Zwierzęta Boga poznały,
Gdy na kolana klękały.

Gdy dzieciątko jest płakało,
Na gołej ziemi leżało,
Tedy Matka poklęknęła,
Dzieciątku modłę dawała.

Ha, ha, ha – dziecię krzyczało,
Za grzechy ludzskie płakało,
Matuchna je z ziemie wzięła,
A (w) płacie je powijała.

Iże stajnia ciasna była,
Dziecię w jasłki położyła.
35 Żadna niewiasta tam była,
Ktora by Matce służyła.

Kłamając, niektorzy mowią,
A w tem Matce urągają,
Aby tam niewiasty były,
40 Ktore by Matce służyły.

Ludzie wsz(y)tcy się wiesielcie,
A piesnkę nową śpiewajcie,
Bo Krystus się nam narodził,
Ktoryż niebo nam otworzył.

45**M**aryja, Matuchno Boża,
Ty jeś woniająca roża,
Proś za nami Syna twego,
By nam dał Ducha Świętego.

Nasze grzechy by odpuścił,
50 Ten, ktory się dziś narodził,
Proś za nami, Panno czysta,
Oświeci nas, gwiazdo morska.

O Jezu, wieczna światłości,
Łaską twoją nas oświeci,
55 Przez twe święte narodzenie,
Daj nam grzechom odpuszczenie.

Pastyrzowie kiedy czuli,
A gdy trzod swych przyglądali,
Anjoł światły je przestraszył,
60 A przestraszone ucieszył.

Quiatek polny się narodził,
Czujnem pastyrzom się wzjawił,
Pastyrzowie się wiesielcie,
A do Betleem biegajcie.

65 Rzysza anjelska śpiewała,
A Pana Boga chwaliła:
Chwała Bogu bądź na niebie,
A pokoj ludziem dobrej wolej.

Słuch ten pastyrze ucieszył,
70 Jeden do drugiego mowił:
Podźmy do Betleem rychło,
Oglądajmy takie słowo.

Tedy pastyrzowie biegli,
Matkę, Jozefa naleźli,
75Dzieciątko w jasłkach widzieli,
A modłę jemu dawali.

Wielebna Matuchna Boża
Słowa w siercu swem chowała.
Pastyrzowie się wrocili,
80 Idąc, Bogu dziękowali.

Xryste, przez twe narodzenie,
Daj nam duszne ucieszenie,
Odpuści nam nasze winy,
Przez twoje naświętsze krcinył

85 **Y**uże wszystcy się radujcie,
Pies(n)kę nową zaczynajcie,
Bo się nam Pan Bog narodził,
Nasze naturę wielbił.

Żywot wieczny, Jezu, nam daj,
90 Od nagłej śmierci zachowaj,
Daj nam spokojne bydlenie,
Po śmierci wieczne zbawienie.

→

[I/40] DZIECIĘ SIĘ NAM NARODZIŁO

Tekst ogłosił Aleksander Bruckner (*Przyczynki do dziejów języka polskiego* w: „Rozprawy Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności", t. XLIX, 1911, s. 37); odnalazł go w *Wokabularzu rozmaitych i potrzebnych sentencji r. 1539*. Egzemplarz jest w Bibliotece Czartoryskich (sygn. 60911), k.Z3. Właściwy tytuł starodruku: *Polskie książeczki wielmi potrzebne ku uczeniu się polskiego, przy tym i po niemiecku wyłożone*, na końcu: Wybijano w Krakowie przez Jeronima Wietora 1589. Oto podany na k.Z3 -Z3v równoległy tekst niemiecki: Das kindleyn ist vns geboren /hat die gantze welt erfrewet/ von ciner Keuschen vnnd demuctigen Junckfrawe zu trost vns allen. Vnnd wan ehr nicht geborn were so werenn wir alle verloren sonder ist vnser allcr seligkeit. Dorumss durch deyne sucsse geburt /mit menschenheit vmbfangen/ crbarmc dich vnser.

Dziecię się nam narodziło,
Wszystek świat zwiesieliło,
Z Panny czystej, pokornej,
Nam na pocieszenie.
Aby nie jego narodzenie,
Byłoby nasze zatracenie,
Ale jest nasze wszystkich zbawienie,
Przez twe słodkie narodzenie,
Człowieczeństwem ogarnione,
Smiłuj się dziś nad nami.

1. KANCJONAŁ BIBLIOTEKI CZARTORYSKICH

[II/l] WITAJ, JEZU MALUTKI

(Pieśń o dzieciń)stwie Pana Jezusowym radując się
i weseląc z jego narodzenia

Tekst na k.5–6 (oprawione jako 3, l 1). Tytuł w klamrach dopełniono, gdyż rękopis jest uszkodzony.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. 181–183.

Witaj, Jezu malutki,
Zbawicielu nasz miły,
Królu niebieski,
Stworzycielu wszytkich rzeczy
Na rodzony z czystej Panny,
Ciebie chwalą zawżdy wszyscy anjeli.

Piękne, miłe dzieciątko,
Moje miłe paniątko,
Czemu tak leżysz na ziemi,
Niczem nic przyodziany,
Między wołem i też osłem,
Któryś wszytko swe stworzenie przyodział?

Chwalmy Boga wesele,
Śpiewajmy mu w kościele:
Panna Syna powiła,
Panną czystą została.
Krό(l) niebieski i anjelski
Zstał się dla człowieka malutki.

Dzieciątko w jasłkach leży,
A Józef jemu służy;
Anjeli się weselą,
Bogu chwałę dawają,
Ludziem wszytkim głosem wielkim
Pokój wieczny na ziemi objawiając.

Stworzenie się dziwuje,
Wszytko mu usługuje,
Osieł i wół poznawa,
Swemu Panu cześć dawa.
Lud niewierny, niedostojny
Tego nie dba, Bogu chwały nie dawa.

O panieńskie rodzenie,
O Boskie ukorzenie,
Wejrzy na swe stworzenie,
Krześcijańskie modlenie.
Przez twe święte narodzenie
Wszytkim grzechom naszym daj nam odpuszczenie.

O dziwne to rodzenie,
Od wieków niesłychane:
Który ma wszytko w mocy,
Jako piszą prorocy,
A tak leży, dla zimna drży,
Który się narodził z Panny w pułnocy.

Przystąpmyż dziś do niego,
Tego Syna Bożego,
Oglądajmy tu jego,
Pokornie leżącego,
Którego wszytko stworzenic
Chwałą swoją wyz(na)wa się być jego.

I my ciebie wielbiemy,
Cześć i chwałę dajemy,
Bogiem wiernem wyznawamy,
Tobie z łaski dziękujemy,
Któryś dla nas raczył zstąpić
I z mocy nieprzyjacielskiej wybawić.

(11/9] EJ, DZIECIĄTKO Z PANNY CZYSTEJ JEST SIĘ NARODZIŁO

Druga pieśń o dzieciątku panieńskim, Jezusku namilszym, nabożna i pocieszna. Ma własną nótę.

Edycja według Rl k. 20–21.
Przekaz: R2 k. 44–4.1) v.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. l97–l98.

Ej, dzieciątko z Panny czystej jest się narodziło,
Którego niebo nie zmierza, stworzenie się lęka.
Ej, weselcie się krześcijani, swemu odkupieniu,
Dajcie chwałę Jezusowi w jasłkach leżącemu.

Ej, to-ć narodzony król, którego osieł i wół
Bogiem wiernym być wyznali, gdy go zagrzewali.
Ej, dziwujmy się krześcijani, z uczynku takiego,
Chwalmy wszyscy z wesołością Pana naszego.

Ej, jeden jest dziś dzień taki z nocy przemieniony,
Co gdy królowie uznali, z nieba nauczeni,
Ej, przyjechali, dary dali Panu niebieskiemu,
Zdziwili się Stwórcu swemu tak ukorzonemu.

Ej. w stajni leży dzieciątko, w mocy mając wszytko.
Niebo, świat, piekło rządzi, tak o nim świadczy pismo.
Ej, król nad królmi, Pan nad pany, Jezus namilejszy,
(Z) swej miłości gładząc złości, stał się najboższy.

Ej, nie chciejcie zapominać tej wielkiej miłości,
By Jezusek namilszy k nam obrócił swe oczy.
Ej, zaśpiewajmy, chwałę dajmy Synu panieńskiemu,
Da odpłatę i swą łaskę wszelkiemu wdzięcznemu. Amen.

[II/12] JUŻ CIĘ ŻEGNAMY, O ROZKOSZNE DZIECIĘ

Pieśń Pana Jezusowe dziecińst(w)o kołysając, pożegnając i, Matuchnie się polecić jego. Ma nótę.

Edycja według R l k. 2G v – 27 v.
Przekazy: R2 k. 67 v – 68 oraz w *Kancjonałach Staniąteckich*: z r. 1586, k. 39 v – 40 (R3); w drugim z r. 1586, k. 57–58 (R4); z drugiej polowy(?) XVI w., k. 4l v–42, z nutami (R5).
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. 203–204.

Już cię żegnamy, o rozkoszne dziecię,
Polecamy się twej naświętszej łasce.
Ninaj, ninaj, ninaj,
A na nas racz być łaskaw,
Kiedy zemrzemy,
Racz przyjąć nas na gody
Wiekujistej chwały.

Już cię żegnamy, o naświętsza Panno,
Ubłagaj grzesznym to miłe dzieciątko,
Niechaj nina, nina,
A nas nie zapomina,
Kiedy zemrzemy,
Aby nas przyjął na gody
Do swej wiecznej chwały.

[11/13] CZEMU PŁACZESZ, JEZU?

Druga pieśń Pana Jezusa płaczącego w dzieciństwie cicszyć. Ma nótę.

Edycja według R l k. 27 v – 28.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. 204– 205.

Czemu płaczesz, Jezu?
Aza zimno czujesz?
Azali cię Matka nie odziała?
Azali cię miła nie przyjęła?
Azali cię miła nie piastuje?
Azali cię słodko nie miłuje?

Czemu płaczesz, Jezu?
Aza domu nie masz?
Betleem cię, miasto twe, wzgardziło,
Przyście twoje stworzenie poznało,
Ta noc ciebie słońcem jest wyznawa,
Ta czeladka twoja ci (e) bie żąda.

Czemu płaczesz, Jezu?
Aza łóżka nie masz?
Dusza moja ciebie przyjąć żąda,
Dusza moja ciebie trzymać żąda,
Dusza moja tobie serce dawa,
Dusza moja ci (e) bie poznać żąda.

→

[11/14] W JASŁKACH LEŻY

Druga pieśń o dzieciątku, Panie miłym,
Jezusie nasłodszym,
i o Pannie Maryi Matuchnie jego miłej.
Ma nótę

Edycja według R l k. 28 9.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*,
s. 205.

W jasłkach leży
Kwiatek śliczny,
Panieńskie porodzenie.
Jego tolą anjołowie:
Ninu, ninu, ninu,
Nic płacz, panieński Synu.

Panna klęczy, Serce wznosi,
W ciele Bóstwo chwali.
Jego toli z anjoły:
Ninu, ninu, ninu,
Nic płacz, mój namilejszy Synu.

Bo tej nocy
Od słodkości wilkiej
Panna się nie czuła.
Dzieci tolili anjeli:
Ninu, ninu, ninu,
Nic płacz panieński Synu.

Światłość Boska,
Mądrość wieczna
Żywot jej przeniknął.
Jego tolili anjeli:
Ninu, ninu, ninu,
Nic płacz, panieński Synu.

Józef święty
Głos anjelski
Tamo usłyszaw,
Pokornie przystąpiwszy, jego tolil:
Ninu, ninu, ninu,
Nie płacz, panieński Synu.

Wół i osieł
Tam u jasłek
Na kolana poklęknęli,
Dziecię grzejąc, tolili:
Ninu, ninu, ninu,
Nie płacz, panieński Synu.

[II/15] W BETLEEM TEJ NOCY

Druga pieśń o narodzeniu Pana Jezusowym. Ma nótę.

Edycja według R l k. 2!) v - 30 v.
Prlckttz: R2 k. 89 – 89 v.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. 205–206.

W Betleem tej nocy
Dziecię Boskiej mocy
Z Panny jest się narodziło.
Z anjoły weseląc się śpiewajmy,
Bogu cześć, chwałę; dajmy.

O dziwne rodzenie!
Nic było złamanie
Panieństwa Maryi.
Z anjoły radując się, śpiewajmy,
Bogu cześć, chwałę dajmy.

Jako promień przez śćkło,
Tak to słońce wyszło
Z żywota panieńskiego.
Z anjoły weseląc się, śpiewajmy,
Bogu cześć, chwałę dajmy.

O naświętsze dziecię,
Oświęć nasze serce
Przez zasługę; Matuchny twej.
My grzeszni k tobie wołamy,
Smiłujże się nad nami.

Grzech to nasz udziałał,
Ześ się tak małym zstał
I Pannię się pod moc poddał.
Z weselem, radując (się), śpiewajmy,
Bogu cześć, chwałę dajmy.

Jezu miłościwy,
Odpuść nasze winy,
Po śmierci nas k sobie przymi,
Z anjoły bysmy-ć śpiewali:
Święty Pan Bóg wszechmocny!

→

[II/31] ANJOŁ PASTERZOM MÓWIŁ

Edycja według R 2 k. 94 v–96.
Przedruk: Mikołaj Bobowski *Polskie pieśni katolickie...*, s. 309–310.

Anjoł pasterzom mówił:
Chrystus się nam narodził,
W Betlejem, nie barzo podłym mieście.
Narodził się w ubóstwie,
Pan wszego stworzenia.

Chcąc się dowiedzieć tego
Poselstwa wesołego,
Bieżeli do Betlejem spieszliwie,
Naleźli dziecię w chlewie,
Maryją z Józefem.

Taki Pan chwały wielkiej
Uniżył się wysoki!
Pałacu wysokiego żadnego
Nie miał zbudowanego
Pan wszego stworzenia.

O dziwne narodzenie, Nigdy nie wysławione!
Poczęła Panna Syna w czystości,
Porodziła w całości
Panieństwa swojego.

Już się ono spełniło,
Co też figurą było.
Aaronowa rózga zielona
Zstała się rozkwitn (i) ona
I owoc mająca.

Nuż wy, przeklęci żydzi,
Mówcie, co się wam widzi,
Zowiecie Jezusa synem cieśle,
W czym się barzo mylicie,
Przeuczyliście się.

Słuchajcie z nieba Ojca,
jako Syna zaleca:
Ten-ci to jest mój on Syn jedyny,
Wam w raju obiecany,
Tegoż wy słuchajcie.

[XI/2] BRACIA, SIOSTRY, POSŁUCHAJCIE

Druk według R l k. l6 v–l 7; drugi zapis na k.86 v–88, z nutami. Przekazy: R2 k.32v–33; R3 k.23 v– 24, z nutami; R 4 k. l4 – 15.
Strofy 2–3 są parafrazą kolędy *Quem pastores laudavere* (Xl/l).

Bracia, siostry, posłuchajcie,
O Jezusie się pytajcie,
Którego jest porodziła
Maryja przez boleści.

5Trze Królowie przyjechali,
Jemu cześć i chwałę dali.
Przynieśli mu dary za to:
Mirrę, kadzidło, złoto.

Weselmy się dziś z Maryją,
Iż nam dała światłość wieczną
Narodzenim Syna Bożego,
Jen nas zbawił wszego złego.

Jezu, królu narodzony,
Od Boga Ojca zesłany,
l5 Tobie cześć i chwałę dawamy,
Racz się zmiłować nad nami.

[Xl /88] WITAJ, JEZU UKOCHANY

Druk według R 4 k. 7 v–8
Przekaz R2 nieczytelny.

Witaj, Jezu ukochany,
Na zbawienie nasze dany,
Witaj, miłe dzieciąteczko,
Witaj, wdzięczne paniąteczko,
5Witaj, miłe dzieciąteczko, witaj.

Witaj, z dawna pożądany,
Od proroków obwołany,
Witaj, nasz krasny panicu,
Witaj, niebieski dziedzicu,
10 Witaj, nasz krasny panicu, witaj.

Opuściłeś święte trony,
Nawiedziłeś ziemskie strony,
Abyś człowieka ratował,
Który dla grzechu szwankował,
15Abyś człowieka ratował.

Leżysz w żłobie położony,
Pieluszkami uwiniony.
Cóż ja to widzę, mój Boże ?
Żłób – majestat, żłób – twe łoże,
20Cóż ja to widzę, mój Boże?

Cierpisz zimno i głód srogi,
Nam otwierasz śpiklerz drogi;
Któryś w niebie nagotował,
Gdzieś się nam wszytkim darował,
25 Któryś w niebie nagotował.

Płaczesz, leżąc na tym sienie,
Abyś smutnym dał zbawienie.
Przestań płakać, wdzieczne dziecię,
Przestań truchleć, śliczny kwiecie.
30 Przestań płakać, wdzieczne dziecię.

Matka cieszy cię piersiami
I ogrzewa pieluszkami,
Nynaj, mówiąc, nynaj nynie,
Nadobnisieńki mój Synie,
35 Nynaj, nynaj, mówiąc, nynie.

Lilaj, lilaj, me dzieciątko,
Lilaj, wdzieczne pacholątko,
Lilaj, lilaj, królewicu,
Lilaj, niebieski dziedzicu,
40 Lilaj, lilaj, królewicu.

→

Jan
Orłowski

Ostatnie lata życia Lwa Tołstoja
w zwierciadle prasy lubelskiej

Na początku XX wieku Lew Tołstoj był twórcą dobrze znanym wśród polskich czytelników, szczególnie po ukazaniu się w druku przekładów jego głośnego opowiadania *Za co?* (1906), w którym ten wielki pisarz i moralista ukazał zbrodnicze prześladowania Polaków, jakich reżym Mikołaja I dopuszczał się wobec uczestników powstania listopadowego (jak wiadomo, sceny przedstawiające okrucieństwa władz carskich wobec Polaków umieścił też Tołstoj w *Zmartwychwstaniu* i w opowieści *Hadżi Murat*). Wspomniane opowiadanie *Za co?* uznawane jest za najbardziej propolski utwór, jaki wyszedł spod pióra pisarza rosyjskiego. Nic tedy dziwnego, że niemal natychmiast zostało ono dostrzeżone w piśmiennictwie polskim. Lubelski dziennik „Kurier" drukował je w odcinkach już w roku 1906 pod niefortunnie przełożonym tytułem *Po co?* Był to – jak się zdaje – przedruk tłumaczenia tegoż opowiadania, które opublikował krakowski dziennik „Czas"[1]. Śledząc wątki polskie w twórczości Lwa Tołstoja, lubelski „Kurier" zamieścił dwa lata później przekład opowieści Krylcowa ze *Zmartwychwstania*. Jak wiadomo, ten epizod ostatniej wielkiej Tołstojowskiej powieści zawiera opis śmierci dwóch polskich bojowników przeciw caratowi, których powieszono w Kijowie 18 marca 1880 roku. Tłumacz Józef Mondschein opatrzył ów fragment powieści następującym przypisem: „Wstrząsający opis tej właśnie egzekucji daje nam Leon Tołstoj w *Zmartwychwstaniu*. Fragment niniejszy nieznany był dotychczas ogółowi naszemu, z przyczyn łatwo zrozumiałych"[2].

Duże zainteresowanie w Polsce pozostającej pod władzą zaborców wywoływały poglądy Tołstoja na kwestię polską. Jak wiadomo, pisarz wyłożył je w liście do Mariana Zdziechowskiego w roku 1895 (??????????????????), w którym potępiał – „Te straszne gwałty, jakich się dopuszczają dzikie, głupie i okrutne władze rosyjskie nad wiarą i językiem Polaków..."[3]. List ten był wielokrotnie przedrukowywany i komentowany w ówczesnej prasie polskiej i w wielu późniejszych pracach polskich autorów o Tołstoju[4].

Echo listu Tołstoja do M. Zdziechowskiego i poglądów pisarza na kwestię polską dotarło też do prasy lubelskiej. Stało się to w roku 1910 w związku ze zgonem autora *Wojny i pokoju*. „Gazeta Lubelska" zamieściła wówczas anonimowy artykuł pt. *Lew Tołstoj*, zaznaczając, że życiorys „tego sławnego męża" podaje za „Kurierem Warszawskim"[5]. „Gazeta Lubelska" charakteryzowała społeczno-polityczny ideał Tołstoja, którym było „braterstwo ludów, złożonych z równych sobie obywateli". Autor tego artykułu stwierdzał, iż pisarz potępiał wszelkie nacjonalizmy i podejrzliwie odnosił się do idei patriotyzmu, które oddalają narody od wzajemnego braterstwa. O stosunku Tołstoja do Polaków autor tak pisał w tym artykule:

[...] Tołstoj w Liście do Polaka zganił przywiązanie do tradycji i odrębności narodowych. Gorącą życzliwość dla nas okazał jednak w opowiadaniu *Za co?*, malującym cierpienia zesłanego na Sybir powstańca polskiego[6].

Trzy dni później ta sama gazeta (z dnia 25 listopada 1910) zamieściła anonimowy artykuł *Tołstoj o Polakach*. Autor streszczał w nim szkic Mariana Zdziechowskiego o jego pobycie w Jasnej Polanie, o rozmowie z Tołstojem i wypowiedziach pisarza o Sienkiewiczu i jego głośnej ankiecie na temat germanizacyjnej polityki Prusaków

[1] L. Tołstoj, *Po co?* Opowiadanie z czasów powstania polskiego w roku 1830, „Czas" 1906, nr 122-137; zob. też: P. Grzegorczyk, *Lew Tołstoj w Polsce. Zarys bibliograficzno-literacki*, Warszawa 1964, s. 146. Praca ta nie uwzględnia jednak druku tego opowiadania w lubelskim „Kurierze" (nazwiska tłumacza nie podano).

[2] Leon hr. Tołstoj, *Opowiadanie Krylcowa* (Nieznany fragment „Zmartwychwstania"). Tłum. Józ. Mon., „Kurier" (Lublin) 1 908, nr 207, s. 2. Ten przekład z Tołstoja „Kurier" drukował wtedy w trzech odcinkach (nr 207–209), ale nie został on odnotowany w pracy Piotra Grzegorczyka (J. Mondschein zamieścił wcześniej to tłumaczenie w krakowskim dzienniku „Nowa Reforma" 1907, nr 361; zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 11 7).

[3] Cyt. za: P. Grzegorczyk, op. cit., s. 117.

[4] Zapatrywania Tołstoja na sprawy Polski i jego relacje z Polakami (wśród nich z prof. Marianem Zdziechowskim) wyczerpująco omawiał Bazyli Białokozowicz m.in. w następujących pracach: *Lwa Tołstoja związki z Polską*. Warszawa 1966; *Z polskiej karty Lwa Tołstoja. Nowe i zapomniane o Tołstoju i jego percepcji w Polsce*, Olsztyn 2003; *Marian Zdziechowski i Lew Tołstoj*, Białystok 1995 (ostatnia z tych prac zawiera korespondencję M. Zdziechowskiego z L. Tołstojem, s. 69-145).

[5] Chodziło w tym przypadku o obszerny artykuł młodopolskiego poety Zdzisława Dębickiego *Lew Tołstoj* („Kurier Warszawski" 1910, nr 322; zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 248).

[6] *Lew Tołstoj*, „Gazeta Lubelska" 1910, nr 142, s. J.

w Wielkopolsce[7]. Obydwa wymienione wyżej artykuły z tej gazety nie zostały odnotowane w bibliografii autorstwa Piotra Grzegorczyka.

Tołstoj budził bardzo żywe zainteresowanie prasy lubelskiej z początku ubiegłego stulecia nie tylko ze względu na jego przyjazny, pełen zrozumienia i współczucia stosunek do spraw bardzo żywotnych dla narodu polskiego. Jego głos w kwestii polskiej dużo ważył w ówczesnej Rosji i dlatego Polacy przywiązywali duże znaczenie do opinii, które pisarz wypowiadał na temat Polski. Wynikało to z ogromnego moralnego autorytetu, jakim cieszył się Tołstoj w swojej ojczyźnie i na całym świecie. Lubelski „Kurier" napisał po śmierci pisarza, że „trony drżały od skrzypienia jego pióra". Tołstojowskie potępienie moralnej obłudy, bezduszności i nadużyć władzy państwowej, bezprawia i niesprawiedliwości społecznej, prześladowań politycznych, terroru policyjnego, pogromów i ucisku mniejszości narodowych w imperium carów zjednywało mu uznanie i wielki szacunek wśród Polaków. Potwierdza to treść wielu ówczesnych publikacji prasowych, które polskie czasopisma poświęcały wielkiemu Rosjaninowi. Wyraźnie uwidoczniło się to także i w prasie lubelskiej.

O znaczeniu, jakie w owym czasie przywiązywano do opinii i poglądów Tołstoja na różne kwestie społeczno-polityczne i etyczne, świadczą tytuły poświęconych mu artykułów prasy lubelskiej. Oto niektóre z nich: *Tołstoj o socjalistach*, *Tołstoj o konstytucji*, *Lew Tołstoj o teatrze*, *Lew Tołstoj o religii*, *Tołstoj o aneksji Bośni i Hercegowiny* i inne. O Tołstoju pisała prasa różnych orientacji politycznych, starając się dla własnych celów wykorzystać jego wypowiedzi i autorytet. Wspomniany artykuł *Tołstoj o socjalistach*, wydrukowany w roku 1906, czyli po rewolucyjnych wydarzeniach roku poprzedniego, posłużył endeckiej gazecie „Ziemia Lubelska" do dyskredytacji idei socjalizmu. Oto fragment tego artykułu, w którym anonimowy autor przytacza wypowiedź Tołstoja skierowaną do działaczy ruchu socjalistycznego (autor relacjonował doniesienia prasy rosyjskiej):

Paru przywódców partii socjalistycznej wybrało się niedawno do Jasnej Polany, aby zapytać sędziwego pisarza o różne bieżące sprawy społeczne i, przystosowawszy do swych potrzeb jego słowa, poprzeć nimi swą agitację. Spotkał ich jednak zawód, bo hr. Tołstoj, wysłuchawszy ich, odparł krótko i dobitnie: „Wy panowie socjaldemokraci jesteście bardzo dalecy od natury... Popatrzcie, jak się w niej wszystko stopniowo rozwija […] Ale wy chcielibyście mieć wszystko zaraz.

Zasiedliście po miastach i fabrykach, chcecie stamtąd przewrócić świat do góry nogami. O ludność rolną nie dbacie, a przecież w niej wszystka siła. Nie można zerwać z naturą i ziemią. W naturze, w ziemi cała prawda. Dajcie chłopu więcej ziemi, uwolnijcie jego pracę z niewolnictwa, a całe życie ulegnie zmianie. Wtedy także życie robotnika poprawi się[8].

I tak oto Tołstoj, przeciwnik radykalnych przewrotów społecznych, apologeta chłopskiej Rosji i wytrwały propagator przebudowy życia społecznego poprzez moralne doskonalenie człowieka, okazywał się przydatny w antysocjalistycznej propagandzie środowisk polskiej prawicy.

Dziennik „Lublinianin" w swojej rubryce doniesień „Z Cesarstwa" zamieścił w roku 1907 krótki anonimowy artykuł *Tołstoj o konstytucji*. Autor omawiał w nim drukowaną w prasie rosyjskiej rozmowę z Tołstojem na temat przygotowywanej w Rosji konstytucji (w istocie chodziło o nową ordynację wyborczą do III Dumy Państwowej, która wyłoniona została jesienią 1907 roku i sankcjonowała okres rządów „monarchii przedstawicielskiej"[9]). Autor informował, że Tołstoj uważał rządowy projekt „konstytucji" za twór oszukańczy, urzędniczy i niedający ludowi prawdziwego przedstawicielstwa w Dumie Państwowej. W swoich wywodach cytował też następującą sceptyczną opinię pisarza: „Ja jestem już za stary i widziałem zbyt wiele życia i ludzi, abym brał polityczną margarynę za masło"[10].

Głośnym echem w piśmiennictwie polskim odbiła się ogłoszona drukiem w roku 1908 słynna broszura Tołstoja *Nie mogę milczeć!* (??????????)[11] Sędziwy już wtedy pisarz wyraził w niej płomienny i odważny protest przeciwko szalejącemu w stołypinowskiej Rosji terrorowi policyjnemu i nadużywaniu kary śmierci wobec działaczy politycznej opozycji i rewolucyjnego podziemia. Autor owej broszury – a tylko on ze swoim rozgłosem i moralnym autorytetem mógł sobie na to pozwolić – chciał wstrząsnąć sumieniem Rosji i świata w obliczu krwawych gwałtów i bezprawia. O tym wystąpieniu Tołstoja obszernie informował lubelski „Kurier" w artykule *Nie mogę milczeć!* Anonimowy autor cytował w nim (na podstawie tekstu z rosyjskiej gazety „Речь") fragmenty tej broszury Tołstoja i przytaczał jego opinię o moralnych spustoszeniach, jakie w społeczeństwie pociąga za sobą szafowanie wyrokami śmierci przez władze państwowe[12]. Polacy, którzy na co dzień stykali się z surowymi represjami ze strony władz

[7] *Tołstoj o Polakach*, „Gazeta Lubelska" 1910, nr 145, s. J. Szkic Zdziechowskiego pod tym samym tytułem ukazał się w warszawskim dzienniku „Słowo" 1910, nr 533 (zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 247).

[8] *Tołstoj o socjalistach*, „Ziemia Lubelska" 1906, nr 67, s. 2–3. Ten artykuł lubelskiego dziennika o Tołstoju nie został uwidoczniony w pracy P. Grzegorczyka.

[9] Zob. L. Bazylow, *Dzieje Rosji 1801–1917*, Warszawa 1977, s. 499–501 (rozdz. Rosja jako monarchia „przedstawicielska")

[10] *Tołstoj o konstytucji*, „Lublinianin" 1907, nr 30, s. 2–3.

[11] Zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 152–156.

[12] Zob. *Nie mogę milczeć!*, „Kurier" 1908, nr 163, s. 3 (z 21 lipca 1908). Artykuł ten nie figuruje w pracy P. Grzegorczyka.

→

rosyjskich, zapewne przyjmowali z uznaniem ów doniosły głos protestu proroka z Jasnej Polany.

Rok 1908 obfitował w ważne wydarzenia w życiu Tołstoja. Był to – jak już wspomniano – czas jego głośnych wystąpień publicznych w obronie ludzi prześladowanych i gnębionych. Pisarz zabierał też głos w sprawach międzynarodowych, o czym świadczyła jego wypowiedź na temat aneksji Bośni i Hercegowiny, dokonanej przez Austrię w październiku 1908 roku. Aneksja ta wywołała oburzenie w Rosji, które podzielał również Tołstoj. W prasie lubelskiej informował o tym „Kurier" w doniesieniu pt. *Z Cesarstwa. Tołstoj o aneksji Bośni i Hercegowiny*[13]. Tołstoj był w owym czasie wybitną i znaną osobistością nie tylko w Rosji, ale i poza jej granicami. Dlatego uważnie wsłuchiwano się w jego słowa i informowano opinię publiczną o jego życiu i wystąpieniach w kwestiach społecznych i w sprawach sztuki. Znamienny był jego wywiad na temat sztuki dramatycznej, w którym pisarz z właściwą sobie pasją akcentował współczesne dramaty i cierpienia:

[...] *Czyż była kiedykolwiek epoka, tak obfitująca w okropne cierpienia, tak pełna wzajemnego niszczenia się?* [...] *Ile okropności przesunęło się przed naszymi oczyma przez ostatnie 3-4 okropne lata! Ile egzekucji, samobójstw i obłąkań*[14].

Jak widać, pisarz z żarliwością publicysty wciąż powracał do kwestii brutalnych policyjnych represji w ówczesnej Rosji. I w tym widział prawdziwe dramaty, których, według niego, nie odzwierciedlała ówczesna dramaturgia modernistyczna.

Wiosną 1908 roku Tołstoj poważnie zachorował. To zdarzenie z jego życia również nie pozostało bez echa w prasie lubelskiej. Dziennik „Kurier" z 23 kwietnia 1908 roku, który szczególnie dużo uwagi poświęcał temu pisarzowi, donosił w dziale „Ostatnie wiadomości": „Lew Tołstoj chory. Z Jasnej Polany nadeszły wieści, że hr. Lew Tołstoj znów zapadł ciężej na zdrowiu. Choroba żołądka i kiszek nie ustępuje, lecz przeciwnie, cierpienia się wzmagają. Niebezpieczeństwo jednak choremu nie grozi"[15].

Najważniejszym wszakże wydarzeniem roku 1908 w życiu Tołstoja był jubileusz osiemdziesięciolecia jego urodzin, który przypadał 28 sierpnia (według nowego stylu 9 września) i wywołał duże zainteresowanie w ówczesnym świecie, w tym także i w prasie polskiej[16]. Jubileusz ten uczcili okolicznościowymi artykułami m.in. Henryk Sienkiewicz, Eliza Orzeszkowa i Bolesław Prus (autor *Lalki* kilka razy wypowiadał się o Tołstoju[17]). Jest rzeczą oczywistą, że rocznicę urodzin Tołstoja dostrzegły również dzienniki lubelskie – „Ziemia Lubelska" i „Kurier". Na uwagę zasługiwał zwłaszcza entuzjastyczny rocznicowy artykuł miejscowego poety i krytyka Jana Iwańskiego, zamieszczony w „Kurierze" (szkoda, że nie jest on wymieniony w bibliografii P. Grzegorczyka). Oto co Iwański pisał wtedy o Tołstoju (artykuł ten wydrukowano na pierwszej stronie dziennika):

W dniu dzisiejszym cała Rosja kulturalna, a z nią cały cywilizowany świat obchodzi święto złotych godów z literaturą jednego z największych pisarzy współczesnych, Lwa Tołstoja. [...] W rzędzie pisarzy mu współczesnych, owych największych, jakich pamięć czci świat cały, obok Turgieniewa i Dostojewskiego stoi Tołstoj jak kolos tamtym równy, jak oni całe światy wierzeń, pragnień i smutków w duszy noszący. Jak tamci, dawno zmarli, dzisiejszy jubilat jest dumą i chlubą ojczyzny swojej, której imię po całym świecie rozsławił, lecz nie jest jej własnością wyłączną; nie jedną Rosję, lecz świat cały, zewnętrzny zdarzeń i wewnętrzny dusz ludzkich ogarnął duch wielkiego twórcy i dlatego imię Lwa Tołstoja jest własnością świata cywilizowanego.

Sfera jego wpływów była ogromna; śmiało rzec można, że niewielu w ogóle, a z rosyjskich pisarzy żaden takiego uznania poza ojczyzną swoją, jak Tołstoj, nie dosięgli. [...1 W szeregu tych, co dzień dzisiejszy jako dzień święta uznali, i my stajemy, głosząc sercem całym: cześć wielkiemu bojownikowi prawdy, cześć Tołstojowi[18].

W ciągu roku 1909 dzienniki lubelskie dość rzadko pisały o Tołstoju. Informacje o jego wystąpieniach opierały się głównie na aktualnych doniesieniach ówczesnej prasy rosyjskiej. Dotyczyły one m. in. jego stosunku do religii, nękania go przez władze sądowe i policyjne oraz jego wskazań higieniczno-zdrowotnych Jak wiadomo, pisarz, będąc w starszym wieku, prowadził i zalecał prosty tryb życia, hartowanie ciała i pracę fizyczną, powstrzymywanie się od alkoholu). Wśród tych doniesień na uwagę zasługiwała notatka w „Kurierze" Spotkanie sit szczytów myśli rosyjskiej, podpisana inicjałami E. S. (Eugeniusz Sokołowski?). Autor informował w niej o wizycie w Jasnej Polanie prof. Iłji Miecznikowa i jego rozmowie z Tołstojem (powoływał się przy tym na prasę rosyjską). Według autora ten znany w świecie mikrobiolog, twórca podwalin nowoczesnej profilaktyki zdrowotnej oraz Tołstoj byli zgodni w sprawie troski o zdrowie społeczne i higieniczny sposób życia. Autor pisał również o tym, że wbrew rozpowszechnionym opiniom, Tołstoj nie jest wrogiem nauki, ale wrogiem sztuki oderwanej od życia ludu[19].

[13] „Kurier" 1908, nr 295, s. 3.

[14] *Lew Tołstoj o teatrze*, „Kurier" 1908, nr 217, s. 3.

[15] „Kurier" 1908, nr 92, s. 4.

[16] Zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 235–244.

[17] Zob. na ten temat: A. Semczuk, *Bolesław Prus jako krytyk Lwa Tołstoja* [w:] *O wzajemnych powiązaniach literackich polsko-rosyjskich*, pod red. S. Fiszmana i K. Sierockiej, Warszawa 1969, s. 143–158.

[18] J. Iwański, *Jubileusz Tołstoja*, „Kurier" 1 908, nr 205, s. l.

[19] Zob. E. S., *Spotkanie się szczytów myśli rosyjskiej*, „Kurier" 1909, nr 142, s. 2.

Najliczniejsze i najważniejsze publikacje dzienników lubelskich o Tołstoju ukazały się jesienią 1910 roku i miały bezpośredni związek z tajemniczą ucieczką pisarza z Jasnej Polany i jego śmiercią, która nastąpiła na stacji kolejowej Astapowo 20 listopada. Jak wiadomo, Tołstoj, będąc już schorowany i stary, udręczony rodzinnymi niesnaskami, nękany napastliwą krytyką ze strony różnych środowisk, m.in. przez przedstawicieli Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, postanowił ostatnie lata swego życia spędzić w samotności i spokoju. Wśród wielu przyczyn jego ucieczki z rodzinnego domu Antoni Semczuk wymienia też „konflikty sumienia z powodu niezgodności własnego życia z głoszoną doktryną etyczną"[20].

Co o owej Tołstojowej „ucieczce w nieznane" pisano w ówczesnej prasie lubelkiej? Samo to zdarzenie – jak wiadomo – wywołało wielkie poruszenie w Rosji i w świecie. Traktowano je w kategoriach swoistej i niezrozumiałej sensacji. Nie inaczej było też i w redakcjach lubelskich gazet, o czym świadczyły tytuły artykułów: *Zaginienie hr. Lwa Tołstoja* i *Ucieczka Tołstoja*. Obszernie o zniknięciu pisarza donosiła „Gazeta Lubelska" z 14 listopada 1910 roku (źródłem informacji były niezmiennie czasopisma rosyjskie):

Tuła. Książę Oboleński, najbliższy sąsiad Jasnej Polany, donosi, że 10-go b. m. Lew hr. Tołstoj wraz z przybocznym lekarzem swym, doktorem Makowickim, zniknęli z Jasnej Polany.

Wychodząc o godz. 5 z rana ze swego pałacu, znakomity pisarz pozostawił list, w którym wypowiada życzenie spędzenia schyłku swego życia w samotności i odosobnieniu.

Do Jasnej Polany wezwano telegraficznie całą rodzinę Lwa Tołstoja.

Zarządzone w całej okolicy poszukiwania hrabiego dotychczas nie dały żadnego wyniku.

Wiadomość o zniknięciu Lwa hr. Tołstoja, lubo zaskoczy świat niespodzianką sensacyjną, nie wyda się nieprawdopodobną, ze względu na mistyczną, niesłychanie oryginalną organizację duchową wielkiego starca z Jasnej Polany.

Moskwa. Tołstoja dotychczas nie odszukano. Hrabia pozostawił list do żony, w którym pisze, że „nie może dłużej żyć w przepychu i pragnie dokonać żywota wśród skrzywdzonych przez los". Hr. Tołstoj prosi dalej, aby zaniechano wszelkich poszukiwań. Są one bezcelowe: hrabia do Jasnej Polany nie wróci już nigdy[21].

Te anonimowe redakcyjne doniesienia „Gazety Lubelskiej" właściwie wyjaśniają niektóre szczegóły i okoliczności porzucenia Jasnej Polany przez Tołstoja. Inne szczegóły podawał w tym samym czasie „Kurier":

Ucieczka Tołstoja. Tołstoj, uciekłszy z domu, udał się najpierw do klasztoru optińskiego i zapytał przełożonego, czy klasztor, mimo wyklęcia – przyjmie go. Przełożony odpowiedział twierdząco. Mimo to Tołstoj udał się do żeńskiego klasztoru szamardyńskiego, gdzie przebywa jego siostra [...].

Jako bezpośrednią przyczynę ucieczki Tołstoja podają niesnaski rodzinne, a zwłaszcza przykre zajście z żoną, która robiła mu ciągle wyrzuty, że nie przyjął nagrody Nobla i odrzucił propozycję pewnego nakładcy rosyjskiego, ofiarującego mu milion rb[22].

Kolejne numery wymienionych tu dzienników lubelskich, ukazujące się w następnych dniach, przynosiły różne wieści dotyczące Tołstoja. Informowały one o poszukiwaniach pisarza, odnalezieniu go w klasztorze szamardyńskim na południu Rosji, spotkaniu z rodziną, ciężkiej chorobie na zapalenie oskrzeli, wreszcie o śmierci i pogrzebie w Jasnej Polanie.

Najwięcej wieści o Tołstoju podawał postępowo-radykalny „Kurier". Już po śmierci sławnego pisarza dziennik ten donosił 21 listopada 1910 roku:

[...] *Petersburg. Wieczorem w komnatach metropolity Antoniusza odbyło się nadzwyczajne posiedzenie synodu w sprawie pogrzebu Lwa Tołstoja. Orzeknięto, iż przedstawiciele cerkwi prawosławnej nie mogą uczestniczyć w pogrzebie, ani też nie należy zezwalać na nabożeństwa żałobne. Wobec takiej uchwały, powziętej na nadzwyczajnym posiedzeniu synodu świątobliwego, pogrzeb odbędzie się tylko cywilny, nabożeństw żałobnych w cerkwiach nie będzie*[23].

Wiadomość ta była potwierdzeniem wrogiego stosunku Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej do Tołstoja, którego Synod ekskomunikował w roku 1901. Jak wiadomo, powodem wyłączenia pisarza ze wspólnoty wiernych była jego krytyka moralnej obłudy najwyższych hierarchów Cerkwi i ich usłużnej postawy wobec reżymu carskiego. W jednym z dalszych numerów „Kurier" pisał, iż władze policji carskiej, idąc śladem zaleceń Synodu, zakazały odprawiania w cerkwiach nabożeństw za spokój duszy Tołstoja[24].

Echa śmierci Tołstoja w prasie lubelskiej nie ograniczały się jednak tylko do krótkich doniesień i telegramów. Pojawiły się również dłuższe artykuły omawiające jego osiągnięcia literackie, oryginalną spuściznę myślową i oddziaływanie jego idei na społeczeństwo rosyjskie. „Gazeta Lubelska" zamieściła cytowany już wyżej przedruk artykułu *Lew Tołstoj* z „Kuriera Warszawskiego". Z kolei „Kurier" przedrukował z warszawskiego „Kuriera Porannego" obszerny artykuł *Śmierć Tołstoja*, w którym anonimowy

[20] A. Semczuk, *Lew Tołstoj* [w:] *Historia literatury rosyjskiej*, t. II, pod red. M. Jakóbca, Warszawa 1976, s. 309–310.

[21] *Zaginienie hr. Lwa Tołstoja*, „Gazeta Lubelska" 1910, nr 134, s. 4.

[22] *Ucieczka Tołstoja*, „Kurier" 1910, nr 265, s. 3. Rosyjska gazeta „Речь" pisała wtedy, że Tołstoj oznajmił, iż nie przyjmie Nagrody Nobla, w razie gdyby mu ją przyznano (zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 252).

[23] *Lew Tołstoj,* „Kurier" 1910, nr 268, s. 4.

[24] Zob. „Kurier" 1910, nr 271, s. 3 (dział „Telegramy").

→

autor nie szczędził słów najwyższego uznania dla wielkości tego pisarza:

Stare wielkie serce Lwa Tołstoja bić przestało, genialny jego mózg zakrzepł na wieki. Dnia 20 listopada nadeszła pewna wiadomość o jego śmierci. Wiadomość ta okryje żałobą nie tylko Rosję. W całym świecie, wszyscy, którzy myślą i czują, wszyscy, którzy wielbią poezję i porywy ducha ludzkiego wzwyż, wszyscy, którzy pracują nad lepszą i szlachetniejszą dolą dni jutrzejszych i dążą do odrodzenia treści i celów życia ludzkiego, poruszeni będą do głębi wieścią, że zgasł jeden z najpotężniejszych świeczników idealizmu ludzkości [...]. Dźwigał go nie tylko geniusz potężnego poety, nie tylko umysł szlachetnego myśliciela, ale także i natchnienie entuzjastycznego proroka. Olbrzymi artysta, znawca ludzi i natury, przenikliwy psycholog i mistrz plastyki pisarskiej, zdumiewający odtwórca środowiska społecznego, miał już dosyć tytułów, aby zapewnić sobie posłuch świata. Ale Tołstoj wystąpił przed nim przede wszystkim jako apostoł obyczajowomoralny – podjął dzieło nie poezji i myślicielstwa, ale mesjanizmu i proroctwa [...]. *W Jasnej Polanie żyło sumienie Rosji współczesnej*[25].

„Kurier" nie poprzestał na tym przedruku i ogłosił też w dwóch odcinkach artykuł miejscowego literata Eugeniusza Sokołowskiego *Psychologiczne momenty w życiu Tołstoja*. Autor koncentrował swoją uwagę na długotrwałym duchowym rozwoju pisarza, jego moralnych poszukiwaniach i złożonej drodze do życia według prawdy i wiekowej mądrości ludu. E. Sokołowski kończył ten artykuł słowami, które umierający Tołstoj podobno wyrzekł do otaczających go pięciu lekarzy: „Miliony po świecie ludzi potrzebujących waszej pomocy, a wy koło mnie tu jednego"[26].

Nie miał związku ze śmiercią Tołstoja umieszczony w „Kurierze" trzy tygodnie później polemiczny artykuł *Tołstoj i jego krytycy* autorstwa niejakiego Aleksandra Kuropatwińskiego z Błędowa. Była to odpowiedź na artykuł pt. *Tołstoj – reformator*, który Tomasz Oset (pseudonim Leona Choromańskiego) ogłosił w warszawskim tygodniku „Prawda"[27]. Autor ośmieszał w nim moralne ideały Tołstoja, jego wezwania do bierności i pokory, twierdził, że owe nauki zagorzałego moralisty, jakim był pisarz, nie zbawią ludzkości i nie uchronią jej przed mocą zła w otaczającym świecie. Kuropatwiński okazał się ostrym polemistą i z prawdziwą żarliwością bronił Tołstoja przed napastliwą krytyką:

[...] *Przeczytałem i zostałem zdumiony: tak dzikiego tańca na mogile wielkiego starca nie zdarzyło mi się spotkać nawet na łamach „Kuriera Warszawskiego"*[...] *Ależ p. Tomaszu, Wy chyba jesteście w błędzie i w błąd wprowadzacie czytelników „Prawdy"; ten starzec świat myśli ludzkiej całej kuli ziemskiej poruszył, trony drżały od skrzypienia jego pióra, a Wam się on wydaje komicznym samolubem. Chybaście go zmierzyli tylko w ten sposób, że wypadł Wam po kostki*[28].

Przegląd opinii prasy lubelskiej z roku 1910, które dotyczyły Tołstoja, warto zakończyć przypomnieniem artykułu Antoniego Millera *Książka... w Polsce*. Artykuł ten ukazał się w „Gazecie Lubelskiej" przed śmiercią Tołstoja, który w oczach autora był przykładem twórcy przekraczającego ciasne granice ideologii nacjonalizmu, myślicielem poruszającym umysły elit kulturalnych na całym świecie. Antoni Miller przeciwstawił Tołstoja polskim pisarzom, którym zarzucał narodową megalomanię i zaściankowe uleganie nakazom posłannictwa wobec narodu i społeczeństwa. Autor zdawał się chyba nie rozumieć, na czym polegała ówczesna patriotyczna misja literatury polskiej, którą w czasach Tołstoja dławiło jarzmo obcej niewoli wrogiej cenzury. Atencja, z jaką A. Miller odniósł się do Tołstoja, nie wydaje się wszakże przesadzona i dlatego jego wysoka ocena światowego znaczenia tego pisarza zasługuje na uwagę nawet po stu latach:

[...] *Polakowi wciąż się zdaje, że on ma wielką własną kulturę, – że ta kultura imponuje Europie, że w końcu istnienie jej jest potrzebne dla Zachodu* [...]. *żaden z wielkich pisarzy polskich ostatniej doby nie wywarł wpływu na umysłowość narodów zachodnich. Tymczasem jeden Tołstoj wycisnął na myśli ludzkiej piętno swej wielkości, pomimo że go prasa polska uważała za azjatę-anarchistę. Dowodzi to siły geniuszu jako jednostki, która pomimo rzekomej niekulturalności swego narodu – trafił do serc narodów historycznie kulturalnych. Dowodzi to potęgi Tołstoja jako człowieka, co wzniósł się ponad ideologię narodowości i nacjonalizmu i stał się prawdziwym synem i ojcem ziemi, ojcem ludzkości współczesnej...*[29]

Apogeum sławy literackiej Lwa Tołstoja w prasie lubelskiej – i nie tylko lubelskiej – przypadło na lata 1908–1910. Wtedy najczęściej o nim pisano, wtedy też powstały najbardziej interesujące artykuły o jego twórczości literackiej, poglądach społecznych i kontrowersyjnie ocenianych doktrynach etycznych. Po roku 1910 dzienniki lubelskie coraz rzadziej pisały o Tołstoju, a zamieszczane o nim doniesienia gazet miały zwykle charakter drobnych ciekawostek dotyczących jego życia i losów pozostałej po nim spuścizny. Prasa informowała więc o sprzedaży wydawcom przez żonę Tołstoja praw do jego dzieł powstałych przed rokiem 1881, o jej odmowie udostępnienia rękopisów męża Muzeum Historycznemu, o nazwaniu imieniem

[25] *Śmierć Tołstoja*, „Kurier" 1910, nr 268, s. 1–2.

[26] E. Sokołowski, *Psychologiczne momenty w życiu Tołstoja*, „Kurier" 1910, nr 278, s. l.

[27] Zob. P. Grzegorczyk, op. cit., s. 247.

[28] A. Kuropatwiński, *Tołstoj i jego krytycy*, „Kurier" 1910, nr 298, s. 2–3.

[29] A. Miller, *Książka… w Polsce*, „Gazeta Lubelska" 1910, nr 152, s. l.

Cena 4 grosze. Lublin, Wtorek 21 Listopada 1910 r. Rok V.

KURJER

Administracja otwarta od godziny 10-ej do 3-ej popoł. i od 5-ej do 7-ej wiecz. || Redaktor lub jego zastępca przyjmuje od godziny 12-ej do 2-ej popołudniu.

Redakcja i Administracja ulica Krak.-Przedm. № 60. Telef. № 282.

Cena Prenumeraty: W Lublinie z odniesieniem do domów: rocznie 5 rb. 40 kop., półrocznie 2 rb. 50 kop., kwartalnie 1 rb. 70 kop., miesięcznie 45 kop., tygodniowo 15 kop. Z PRZESYŁKĄ POCZT. Rocznie 6 rb., półrocznie 3 rb. kwartalnie 1 rb. 50 kop., miesięcznie kop. 50 Zagranicą 8 rb. rocznie. Zmiana adr. zamiejscow. 20 k.

Cena Ogłoszeń: Na 1 stronie wiersz jednoszpaltowy petitem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo—4 rb., następne razy 3 rb. Nekrologi za wiersz 25 k. Rękopisy nie zwracają się. Skrzynka pocztowa № 62.

№ 268.

Stosunki robotnicze na czarnym lądzie.

Wiadomo, że w kolonjach, należących do państw europejskich, dumnych ze swej wysokiej kultury, panują stosunki spotykane na „starym lądzie", tylko w czasie stanów wojennych lub rządów dyktatorskich, kiedy to akt konstytucyjny gwarantujący obywatelom jaką taką złudę wolności i swobód obywatelskich wisi sobie w archiwum państwowym na kołku, a natomiast działają sprawnie i szybko; szubienica, kula karabinowa i pięść.

Kolonjalna polityka to; „romans kryminalny", pisany przez państwa cywilizowane w zamorskich kolonjach. Jego karty obficie krwią, potem i łzami spryskane przyzwyczaiły nas do wielu „purpurowych niespodzianek", tak, że coraz trudniej w tej dziedzinie, zadziwić lub wstrząsnąć wybrykiem dzikości i rozkielznania.

A jednak... zdarza się to jeszcze od czasu do czasu. Ot, świeżo opinja Europy została wstrząśnięta niezwykłą taktyką Niemców w stosunku do Kaffrów, którzy są od jakiegoś czasu poddanemi rządu, przechowującego w tradycjach swych, kult dla krzyżackiego systemu cywilizowania barbarzyńców, nietylko krzyżem... ale ogniem, mieczem, kajdanami, głodem, syfilisem i alkoholem. Przyjrzyjmy się tej gospodarce niemieckiej, w południowo-zachodniej Afryce.

Tym razem, mamy do czynienia nie z objawem uproszczonego do zwykłego mordu militaryzmem, nie z wyrafinowaną zbrodnią seksualną, lecz z zatargiem na tle ekonomicznym, z importowanym ze starej Europy, na czarny ląd—dziewiczy zdawaćby się mogło—bo ze strajkiem.

Tak, wyobraźcie sobie czytelnicy, że dzikim Kaffrom zachciało się naśladować kolejarzy francuskich i tramwajarzy warszawskich i o dziwo,—zrobili to w tym samym czasie co i tamci, tylko o tym, co się na krańcach czarnego lądu stanie, miesiąc temu, dowiadujemy się w Europie dopiero dzisiaj.

A ów niezwykły zaiste strajk czarnych Kaffrów, da się opowiedzieć w paru słowach treściwych jak raport wojskowy.

Buduje się na kaffryjskim terytorjum kolej, między Karibid a Winduk. Do pracy tej, niemiecki przedsiębiorca Orestein-Koppel sprowadził krajowców, którzy podobno stanowią doskonały materjał robotniczy.

Kaffrowie pracowali sumiennie—no a firma niemiecka miała im za tę ich pracę, płacić podług umowy uroczyście zawartej uprzednio.

Gdy przyszło do wypłaty, okazało się, że firma Orestein Koppel ma zwyczaj zawierać uroczyste umowy z barbarzyńcami, ale nie myśli się z nimi liczyć.

I słusznie—przecież nawet mistrze krzyżaccy tak czynili ze słowiańską dziczą, za starych dobrych czasów, a przecież to byli mężowie duchowni, z jakiej więc racji przeciętny świecki kapitalista niemiecki, rzucony zdala od łagodnych wpływów kultury współczesnych Niemiec, ma w pochodzie swym do Fortuny, odbywanym w dalekiej krainie, „czarnych ludzkich" skór i „białej kości słoniowej"—nieść balast tak niepotrzebny jak—sumienie. To też zostawiło go w starej ojczyźnie i owo Tow. budujące nową kolej na afrykańskim lądzie „czarnemi rękami" Kaffrów. Gdy robotnicy niezadowoleni z obciętej płacy porzucili pracę, chwytając się broni tak nowoczesnej jak strajk—kapitaliści niemieccy postąpili z nimi tak, jak przystało na potomków narodu, który wydawał w przeszłości krwawych margrafów i żelaznych komturów.

Wzięto po prostu czarnych robotników w oblężenie, odcięto im dowóz żywności i wody, co w klimacie afrykańskim było mocno—nie miłe, ale nader—celowe.

Skazani przez wielkoduszny „chlebodawców" na śmierć z głodu i pragnienia „czarne dzikusy", w porywie instynktu samozachowawczego rzucili się w chwili bezrozumnego szału na swych dozorców pracy. Obeszli się z nimi nawet b. niegrzecznie bo ich poturbowali, pisma piszą; że „dozorców czynnie zaczepili". Wówczas, energiczna firma dla ukoronowania zaczętego dzieła, sprowadziła wojsko rycerskiego cesarza Wilhelma z najbliższego garnizonu, które z wielką gorliwością w zatargu pracy z kapitałem stanęło jak na rycerzy przystało, w obronie „uciemiężonej niewinności"—kapitału.

Od celnych salw podkomendnych cesarza Wilhelma, czternastu murzynów momentalnie przeszło na „tamten brzeg", łącząc się z duchami przodków, wielka ilość pozostałych przy życiu odniosła ciężkie lub lekkie rany.

A co czytelnicy? nie przypuszczaliście, że przedsiębiorcy niemieccy, na terenie afrykańskim takimi „junakami" być potrafią wobec czarnych, zbrojnych tylko w pracowitą pięść—robociarzy.

Jakże blado wyglądają przy tych zuchach afrykańskich „wyfrakowani", „umundurowani" poskramiacze strajków europejskich, w rodzaju p. Brianda... i jemu podobnych.

St. Poraj.

Zanoszę skargę na wszystko, lecz za wszystkim się wstawiam.

(Duma o hetmanie). *Żeromski.*

Pamiętajmy o potrzebach szkolnictwa naszego.

Smierć Tołstoja.

Stare wielkie serce Lwa Tołstoja bić przestało, genjalny jego mózg zakrzepł na wieki. Dnia 20 listopada nadeszła pewna wiadomość o jego śmierci. Wiadomość ta okryje żałobą nie tylko Rosję. W całym świecie, wszyscy którzy myślą i czują, wszyscy, którzy wielbią poezję i porywy ducha ludzkiego wzwyż, wszyscy, którzy pracują nad lepszą i szlachetniejszą dola dni jutrzejszych i dążą do odrodzenia treści i celów życia ludzkiego, poruszeni będą do głębi wieścią, że zagasł jeden z najpotężniejszych świeczników ideal zmu ludzkości. Pozostanie już tylko odtąd potężna łuna blasku bijącego z dzieł wiekopomnych, i rozpraszająca mroczne przestrzenie powszedniczi, przesyconej wyziewami krwi, potu i błota.

Imię Tołstoja od lat z górą trzydziestu pięciu było sztandarem epoki współczesnej. Powiew tego sztandaru zaszumiał zrazu jakąś obcą, niepokojącą melodją. Wśród powszechnego wyziębienia uczuć, rozkiełznanej walki o użycie, wśród zimnego sceptycznego cynizmu, wicher tołstojowych idei przyniósł wraz z ostatniemi rozdziałami „Anny Karenin" wstrząśnienie o przedziwnej mocy odnawiającej. Chorążowie sztandarów zachodu i północy ówczesnego świata próbowali stłumić ten krzyk o pokoju i szczęściu opartym na mistycznej neochrześcijańskiej rezygnacji; przeszkadzał im w krwawej walce o dobro doczesne, zespolone z rozkwitem indywidualizmu, w krwawej walce, w której już, już spodziewali się odnieść zwycięstwo...

Ale sztandar Tołstoja górował nad innemi i opanował najgórniejsze wyżyny, do jakich wzbić się mogło uczuciowe marzenie ludzkie. Dźwigał go nietylko genjusz potężnego poety, nietylko umysł szlachetnego myśliciela, ale także i natchnienie entuzjastycznego proroka. Olbrzymi artysta, znawca ludzi i natury, przenikliwy psycholog i mistrz plastyki pisarskiej, zdumiewający odtwórca środowiska społecznego,—miał już dosyć tytułów, aby zapewnić sobie posłuch świata. Ale Tołstoj wystąpił przed nim przedewszystkim jako apostoł obyczajowo-moralny—podjął dzieło nie poezji i myślicielstwa, ale mesjanizmu i proroctwa. Nauki jego znów nanizały lekceważoną już nić moralizatorskiego uświęcania ducha ludzkości. Za dotknięciem jego ręki otworzyły się nanowo olśniewające karty Ewangelji, i trysły z nich nowe źródła krynicane, których się ani nie domyślali powołani tych kart tłómacze. Stopy jego poszły ścieżkami „prawdziwych dróg życia", tych których szukał prastary Buddha i przedwiekowy Mahomet, tylko, że drodze tej przyświecał już współczesny, wyzwolony z mgły zabobonów i przesądów światopogląd.

Odtąd każde nowe wystąpienie Tołstoja było sensacją dla cywilizowanego świata. Bardzo silne wrażenie sprawiły; nowela „Śmierć Iwana Iljicza", dramat „Potęga ciemnoty" powieść „Sonata Kreutzera (1890), komedja „Owoce oświaty, (1891), oraz opowiadanie „Pan i sługa" i wreszcie ostatnie arcydzieło „Zmartwychwstanie".

Życie zewnętrzne Tołstoja zaczęło przybierać coraz niezwykłejsze formy. Ubierał się po chłopsku, zajmował się osobiście orką i siejbą. Pogią-

„Kurjer" z 21 listopada 1910 r.

→

Tołstoja ulicy w Wiedniu, o powstaniu w USA konsorcjum milionerów, które chciało nabyć Jasną Polanę i urządzić tam stałą wystawę amerykańskich maszyn rolniczych. Na początku roku 1911 „Kurier" podał za prasą rosyjską informację o tym, że w guberni pskowskiej pojawił się samozwańczy Lew Tołstoj. Był to – jak pisano – łudząco podobny do pisarza pewien żebrak, który zaczął głosić, że niedawna śmierć Tołstoja została upozorowana, aby uniknąć aresztowania go i zgładzenia przez policję. Prawdziwy zaś Tołstoj nadal żyje i jest nim właśnie ów żebrak (znany chłopski strój Tołstoja mógł wszak ułatwić podobną mistyfikację). Równocześnie doniesiono, że tenże samozwaniec został zdemaskowany i musiał salwować się ucieczką[30]. Historia ta, dziś może postrzegana jako zabawna, świadczyła niewątpliwie o dużej ówczesnej popularności pisarza wśród ludu rosyjskiego. „Kurier" informował też wcześniej, że gubernialne władze rosyjskie w Lublinie zakazały wygłoszenia w Lubelskim Towarzystwie Higienicznym odczytu pt. *Lew Tołstoj, jego życie i dzieła*. Ten odczyt prelegenta Jana Muszkat-Muszkowskiego z Warszawy, redaktora czasopisma „Społeczeństwo", miał się odbyć 15 stycznia 1911 roku[31]. Jak widać, Tołstoj i po śmierci mógł być groźny dla władzy carskiej w Polsce.

„Kurier", który tak ochoczo popularyzował Tołstoja w Lublinie, zamieszczał też recenzje przedstawień jego dramatów w miejscowym teatrze. Wystawiano tu zaś z powodzeniem *Potęgę ciemnoty* (????????????) w okresie od listopada 1911 do stycznia 1912 roku oraz *Żywego trupa* (??????????????) w styczniu 1913 roku (ta sztuka wywołała znacznie mniejsze zainteresowanie lubelskich widzów)[32]. Te lubelskie inscenizacje dramatów Tołstoja – podobnie jak zamieszczane tu artykuły o nim – nie zostały wymienione w bibliografii Piotra Grzegorczyka.

Tołstojana drukowane w prasie lubelskiej lat 1906–1911 świadczą o tym, że w owym czasie sławny starzec z Jasnej Polany cieszył się dużym uznaniem i popularnością wśród wykształconych kręgów społeczeństwa polskiego. Jeśli tak było w niezbyt prężnym środowisku literackim ówczesnego Lublina, to mogło być podobnie i w innych miastach Królestwa, zwłaszcza tych, które były siedzibami władz gubernialnych (oprócz Lublina wymienić tu trzeba Kielce, Radom, Kalisz, Piotrków, Płock, Łomżę, Suwałki). Można więc z całą pewnością twierdzić, że dotychczas nie wszystko wiemy o całym bogactwie recepcji spuścizny Tołstoja w polskim życiu literackim przed rokiem 1918. Wielokrotnie wymieniana w tej pracy bibliografia *Lew Tołstoj w Polsce* P. Grzegorczyka opiera się bowiem głównie na materiale drukowanym w znanych czasopismach Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna (wymienić tu warto zwłaszcza tytuły: „Czas", „Krytyka", „Nowa Reforma", „Świat", „Świat Słowiański", „Słowo", „Słowo Polskie", „Ziarno", „Prawda", „Przegląd Polski", „Kurier Warszawski", „Tygodnik Ilustrowany" i in.), natomiast prasa wychodząca wtedy w mniejszych miastach – jak dowodzi tego chociażby przykład Lublina – nie została w pełni wykorzystana przez autora wspomnianego zarysu bibliograficzno-literackiego. Sam zaś autor, nazywając swoją pracę „zarysem", z pewnością był o tym przeświadczony.

Artykuły prasy lubelskiej o Tołstoju były niekiedy przedrukami z innych czasopism (przeważnie warszawskich) lub omówieniami publikacji innych autorów, w tym ukazujących się w periodykach rosyjskich. Lubelscy autorzy rzadziej pisali o wielkich literackich walorach spuścizny Tołstoja, ich uwagę przykuwały głównie społeczne i moralne idee, które pisarz głosił, wyznawał i praktycznie realizował w swoim życiu. Tak też właśnie postrzegano Tołstoja w większości ówczesnych polskich publikacji o nim, które ukazywały się poza Lublinem. Traktowanie tego pisarza głównie jako szermierza prawdy i sprawiedliwości, myśliciela i moralisty bezkompromisowo potępiającego przemoc i bezprawie, bezduszność i moralne zakłamanie na szczytach władzy państwowej, oficjalnej Cerkwi Prawosławnej i klas uprzywilejowanych – wszystko to sprawiało, że Polacy na początku wieku XX chętniej sięgali nie do prozy artystycznej Lwa Tołstoja (działo się tak nie tylko w Lublinie), lecz do jego głośnej publicystyki, listów otwartych (*List do cara Mikołaja II*, *Odpowiedź na wyrok Świątobliwego Synodu*, *List do Henryka Sienkiewicza*, *List do Polaka o patriotyzmie* i in.) i traktatów etyczno-społecznych (*Na czym polega moja wiara*, *Odezwa do ludzkości* i in.). W ten sposób autor Spowiedzi bardzo wyraźnie oddziaływał na treść ówczesnej polskiej publicystyki (było to szczególnie widoczne w publicystyce na temat tzw. „kwestii polskiej"), a także i na zwiększające się zainteresowanie Polaków literaturą rosyjską. Myśl Tołstoja była „sumieniem Rosji" i ona właśnie otwierała szerzej kulturze rosyjskiej drogę do polskich odbiorców w każdej z trzech części rozszarpanej Polski.

Jan Orłowski

[30] Zob. *Samozwańczy Lew Tołstoj*, „Kurier" 1911 , nr 30, s. 3.

[31] Zob. „Kurier" 1911, nr 11, s. 4 (z 14 stycznia 1911 r.).

[32] Zob. S. Kruk, *Życie teatralne w Lublinie* (1782–1918), Lublin 1982, s. 187–188 i 191.

Auctor. Stanisław Weremczuk i jego twórczość literacka

Jarosław Cymerman

Truizmem jest stwierdzenie, że trudno mówić o autorze w oderwaniu od czasów, w których żył. Warto jednak w tym przypadku od takiej oczywistości zacząć. Biografia Stanisława Weremczuka to bowiem zapis pewnego charakterystycznego dla drugiej połowy XX wieku szlaku polskiego losu, dziś nieco pozbawionego legendy, w dużym stopniu wypartego z powszechnej świadomości. Gdyby zastosować wobec tej biografii utrwaloną w historii literatury chronologię, to można zaliczyć Weremczuka do pokolenia 1956 roku, wtedy to bowiem na dobre zaczęła się jego dojrzała twórcza droga. Inne zjawisko, w którym na pierwszy rzut oka wydaje się mieścić twórczość autora *Mieczów ognistych*, to tak zwany nurt chłopski w literaturze, wyznaczany nazwiskami Juliana Kawalca czy Wiesława Myśliwskiego (ten drugi był *nota bene* kolegą Weremczuka z polonistycznych studiów na KUL). W gruncie rzeczy konsekwentne trwanie w prowincjonalnym Lublinie i dystans wobec wszelkiego rodzaju etykiet sprawiają, że przywołane powyżej klasyfikacje więcej mówią o kontekście niż o istocie tej twórczości, literatura bowiem stanowi jej ułamek, czy inaczej – jedno z jej ogniw. Katarzyna Smyk wspominała na łamach „Twórczości Ludowej":

Dedykacja, z jaką mi ofiarował książkę o Licheniu, zawiera życzenia „zawojowania świata". To „zawojowanie" przywołuje na pamięć obraz. Janów Lubelski. Obydwoje na początku XXI wieku jesteśmy jurorami tamtejszego konkursu poetyckiego. Pan Stanisław uroczyście, dobitnie, z powagą, z szacunkiem dla początkujących poetów i dla ich marzeń o wielkim pisaniu, pokazuje warsztat swoich mistrzów. Porusza problem nadrzędny: powołanie pisarza. Wywodzi je z etymologii słowa autor. Przypomina, że pochodzi ono od łacińskiego słowa auctor i znaczy pomnożyciela, sprawcę, twórcę, mistrza, ale także – zdobywcę. Przekonuje, że każdy zatem autor ma „zawojowywać świat" i zdobywać tym sposobem nowe ziemie, nowe przestrzenie[1].

Takie „zawojowanie", działanie czy – jak pisał w jednym z ostatnich swoich wierszy: „toczenie kuli ziemskiej po wyboistej drodze" – nie było jednak w PRL-u sprawą łatwą, wymagało niekiedy niebezpiecznych kompromisów. Weremczuk był tego świadomy; nie uznając postawy *splendid isolation*, często zadawał sobie i innym pytanie o granice publicznego zaangażowania w komunistycznym ustroju. Po latach jego wieloletni przyjaciel, Józef Zięba, wspominał:

Nie był też skłonny […] *do dwuznacznych moralnie ustępstw. Z całym zaangażowaniem przystąpił do organizacji i pracy w Wojewódzkiej Poradni, a następnie pełniąc obowiązki wicedyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury, ale zrezygnował z tego stanowiska, gdy wzmogły się naciski na propagandowe „upartyjnienie" działalności kulturalno-oświatowej.*

Objął stanowisko zastępcy kierownika Wojewódzkiego Wydziału Kultury z nadzieją, że w szerszym zakresie poprzez działalność administracyjną będzie mógł wpływać na w miarę niezależny rozwój życia kulturalnego. Wiele wysiłku i trudu poświęcił nie tylko na wspieranie aktualnej działalności zespołów artystycznych, placówek i kulturalnych organizacji, ale i na mozolne opracowywanie perspektywicznych wieloletnich planów rozwoju kultury w lubelskim województwie. Kiedy jednak doszedł do wniosku, że trud jego staje się tylko „dobrym życzeniem", postanowił zająć się bardziej bezpośrednią i konkretną działalnością[2].

Przyjrzyjmy się zatem nieco dokładniej tej biografii pełnej „bezpośredniej i konkretnej działalności". Autor *Ciemności* urodził się 19 sierpnia 1932 roku w Derewicznie koło Komarówki Podlaskiej i choć większość swego życia spędził w Lublinie, czuł zawsze szczególną więź z południowym Podlasiem. Tam przeżył dzieciństwo i trudne lata drugiej wojny światowej, w czasie której zmarł jego ojciec. Tam również ukończył gimnazjum i liceum, które powstały jako spółdzielnia oświatowa założona przez okolicznych chłopów pod kierunkiem Waleriana Batki – wybitnego regionalisty i działacza ludowego.

Niezwykły duch tego miejsca dał o sobie znać przede wszystkim w drugiej połowie XIX wieku, kiedy wielu mieszkających tam unitów, opierających się próbom zmuszenia ich do przejścia na prawosławie, zginęło lub

[1] Katarzyna Smyk, *Po owocach go poznacie. Stanisław Weremczuk (1932–2008)*, „Twórczość Ludowa" 2008, nr 3–4.

[2] Józef Zięba, *„Pro publico bono". Rzecz o Stanisławie Weremczuku, społeczniku, działaczu kultury, pisarzu, publicyście i moim Przyjacielu*, „Lublin. Kultura i społeczeństwo" 2009, nr 1 (24).

→

Nota biograficzna [Stanisław Weremczuk]

Urodziłem się zbyt dawno, bo 19 sierpnia 1932 roku w Derewicznie, w województwie lubelskim. Gimnazjum i liceum ukończyłem w legendarnej Komarówce Podlaskiej, a następnie studia polonistyczne we wspaniałym Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach najgłębszego stalinizmu. Pracowałem początkowo w szkole, później w instytucjach kultury, m. in. jako zastępca dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, a następnie w prasie, w tygodnikach: *Nasza Wieś, Wieści,* byłem redaktorem naczelnym kwartalnika *Twórczość Ludowa,* z-cą red. naczelnego *Tygodnika Współczesnego* i *Głosu Niezależnego.* Od 1991 roku pełnię funkcję redaktora naczelnego gazety Parafii św. Józefa w Lublinie *Ku Wspólnocie,* drukowanej systematycznie w nakładzie 6500 egz.

Opublikowałem tomiki poetyckie: *Bezdroża* (1957), *Wierność cieni* (1961, współautor J.W.Zięba), *Trakty* (1968), opowieść *W obronie skarbów wawelskich* (1974). Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił mój dramat nagrodzony na ogólnopolskim konkursie na sztukę teatralną o Koperniku – *Syn słońca* (1972). W ostatnich latach opublikowałem powieści: *Miecze ogniste* (wydanie I – 2001, wydanie II 2002), *Słup ognia* (2002) oraz opowieść literacką *Tajemnice Lichenia* (2004).

Za popularyzację literatury i sztuki ludowej otrzymałem w 1988 r. Nagrodę i Medal im. Oskara Kolberga. W 2000 r. Metropolita Lubelski abp Józef Życiński wyróżnił mnie archidiecezjalnym odznaczeniem *LUMEN MUNDI,* czym się niezasłużenie chlubię. Mieszkam z niepoprawną konsekwencją w stołecznym Lublinie.

Prace redakcyjne z ostatnich lat:

Chrześcijanie świadkami nadziei. I Archidiecezjalny Kongres Akcji Katolickiej, Lublin 2002

Wojciechów – wieś przy wieży. Ocalić od zapomnienia, Wojciechów 2004

Wejdźmy na górę Pana. Kościół i parafia św. Józefa w Lublinie, Lublin 2005

Wojciechowskie śpiewanie, Wojciechów 2006

Z. Jośko, Z. Kowalska, Z. Sulima, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje ziemi wojciechowskiej*, Wojciechów 2008

stało się obiektem dotkliwych represji. Uciekając od carskich ukazów, zmieniali oni zwykle obrządek na rzymskokatolicki, wykazując jednocześnie niezwykłą świadomość swej religijnej i narodowej tożsamości. W gruncie rzeczy bowiem poza dążeniem do zachowania unii z Rzymem opór podlaskich grekokatolików był również świadectwem przywiązania do polskości, o tyle istotnym, że wyrażonym tuż po powstaniu styczniowym, które boleśnie uświadomiło polskim elitom brak poczucia u części chłopstwa przynależności do narodu. Prosta i silna wiara, kształtująca całe pokolenia zamieszkujące południowe Podlasie, była również dla Stanisława Weremczuka fundamentem spojrzenia na świat.

W 1951 roku podjął studia polonistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, po tym, gdy jako „kułackie" dziecko nie został przyjęty na Uniwersytet Warszawski. I to kolejne ważne, kształtujące jego osobowość miejsce, o którym pod koniec życia w wierszu *Moje błogosławieństwa* pisał:

Błogosławię cię moja Alma Mater żeś w latach ciemności

jasną podała latarnię, bym mógł wyraźnie odczytać: *Deo et Patriae*![3]

Wybór takiego kierunku studiów był naturalną konsekwencją literackich zainteresowań młodego Weremczuka. Już bowiem jako gimnazjalista zaczął pisać (zachowało się kilka zeszytów z końca lat czterdziestych, zawierających juwenilia w postaci wierszy, nowel, prób dramatycznych), żywo interesował się współczesną poezją (wspominał wielokrotnie o odkryciu już wówczas poezji Czesława Miłosza), zaczął pasjonować się teatrem (ułożył scenariusz herodów, do końca życia pamiętał szkolną wycieczkę do Teatru Polskiego w zrujnowanej Warszawie, podczas której miał okazję oglądać Juliusza Osterwę grającego Ślaza w *Lilli Wenedzie* Juliusza Słowackiego). Studia polonistyczne pomogły mu te pasje rozwijać – to w przepisywanym na maszynie i ręcznie zdobionym czasopiśmie studenckim „Polonista" w grudniu 1953 roku opublikował swoje pierwsze wiersze, grał również w przedstawieniach Teatru Akademickiego, w tym w głośnych *Dziadach*, które stały się przyczyną zamknięcia teatru przez komunistyczne władze w 1954 roku.

Pracę magisterską, napisaną pod kierunkiem Profesor Ireny Sławińskiej na temat *Baśń dramatyczna w epoce Młodej Polski*, obronił w 1955 roku, wtedy też podjął pracę nauczyciela, ale, jak sam mawiał, nie do końca się w niej odnajdował, bo jego niespokojny duch trudno mieścił się w szkolnej rutynie. Dlatego już w 1957 roku rozpoczął pracę w organizowanym wówczas Miejskim Domu

[3] Stanisław Weremczuk, *Moje błogosławieństwa*, „Ku Wspólnocie. Gazeta Parafii św. Józefa w Lublinie", nr 4 (72), grudzień 2008–luty 2009.

Kultury w Lublinie na Zamku, w którym pełnił kolejno role instruktora, kierownika Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej i zastępcy dyrektora.

Trudno jednak to zajęcie nazwać tylko pracą. Aktywnie animował amatorskie życie teatralne, w czym chciał nawiązać do przedwojennych tradycji teatru ludowego Jędrzeja Cierniaka. Był jednym z pomysłodawców i pierwszych organizatorów do dziś istniejących imprez, w tym tak znanych, jak Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym czy krasnostawskie Chmielaki. Obok tej działalności kontynuował twórczość liryczną, opublikował trzy tomiki poetyckie: *Bezdroża* (1957), *Wierność cieni* (wspólnie z wieloletnim przyjacielem Józefem Ziębą, 1961), *Trakty* (1968). W licznych czasopismach ukazywały się jego teksty publicystyczne. W latach 1967–1969 pełnił funkcję zastępcy kierownika Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. Jednak kariery w PRL-u nie potrafił i nie chciał robić. Dlatego odszedł z WRN, by zaangażować się w organizowanie i prowadzenie biura Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych, którego był współzałożycielem.

W tym czasie przychodzą sukcesy literackie. W 1972 roku jego dramat pod tytułem *Syn słońca* zdobywa drugą nagrodę na organizowanym w Olsztynie konkursie na sztukę o Mikołaju Koperniku, a w roku następnym zostaje wystawiony na deskach lubelskiego Teatru im. Juliusza Osterwy. W 1974 roku ukazała się z kolei (w serii „Miniatury" Wydawnictwa Lubelskiego) opowieść historyczna *W obronie skarbów wawelskich*, opisująca niezwykłe losy narodowych relikwii (między innymi Szczerbca i arrasów) w pierwszych tygodniach drugiej wojny światowej. Pomimo osiągnięć w dziedzinie literatury, w latach siedemdziesiątych Stanisław Weremczuk zajął się głównie pracą dziennikarską – w tygodnikach „Nasza Wieś" i „Wieści" oraz w kwartalniku „Twórczość Ludowa", w którym pełnił funkcję redaktora naczelnego.

Zainteresowanie kulturą ludową znalazło swój wyraz w jego licznych pracach redakcyjnych. Wydał między innymi tomiki poetyckie Alfredy Magdziak, Mariana Karczmarczyka, Eugenii Kosowskiej (wspólnie ze Stefanem Aleksandrowiczem), a także antologię współczesnej poezji ludowej *Ojczyzna*. W latach 2004–2008 zredagował również cztery publikacje poświęcone kulturze, tradycji i historii podlubelskiego Wojciechowa.

Po 1989 roku zajął się redagowaniem licznych czasopism, między innymi: gazety Parafii św. Józefa Oblubieńca Najświętszej Marii Panny w Lublinie „Ku Wspólnocie", miesięcznika „Medicus", pism lubelskiej Akcji Katolickiej („Ogniwo", „Wiara i Życie"). Angażował się również w szereg inicjatyw prasowych podejmowanych w Lublinie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i na początku XXI wieku, jak na przykład „Tygodnik Współczesny" czy

Rodzina Weremczuków, rok 1938. Stanisław pierwszy z lewej

„Głos Niezależny", współtworzył Lubelskie Wydawnictwo Literackie, publikował na łamach pisma „Lublin. Kultura i społeczeństwo".

Wydawać by się mogło, że praca dziennikarska i redaktorska całkowicie wypełniała jego czas, od 1974 do 2001 roku nie ukazała się bowiem żadna jego autorska książka. Okazało się jednak, że pomimo wielu zajęć nadal pisał wiersze, dramaty czy szkice literackie, które wypełniają liczne bruliony. Niestety, w zasadzie żaden z tych utworów nie został opublikowany. Do literatury na dobre Stanisław Weremczuk powrócił dopiero w ostatnich dziesięciu latach życia. W 2001 roku opublikował powieść historyczną *Miecze ogniste*, osnutą wokół wydarzeń związanych z objawieniami w Licheniu, która pomimo niewielkiej promocji i ograniczonej dystrybucji doczekała się dwu wydań i łącznie dwudziestotysięcznego nakładu. Już w roku następnym ukazała się kolejna powieść, *Słup ognia*, której akcja toczy się współcześnie w Lublinie i okolicach, a w 2004 roku – zbiór gawęd *Tajemnice Lichenia*.

Jego twórczość i działalność przyniosły mu szereg nagród i odznaczeń, spośród których, jak sam mówił, najwyżej cenił sobie Medal imienia Oskara Kolberga, przyznany mu w 1988 roku za popularyzację literatury i sztuki ludowej, oraz archidiecezjalne odznaczenie *LUMEN MUNDI*, którym wyróżnił go w 2000 roku Metropolita Lubelski abp

→

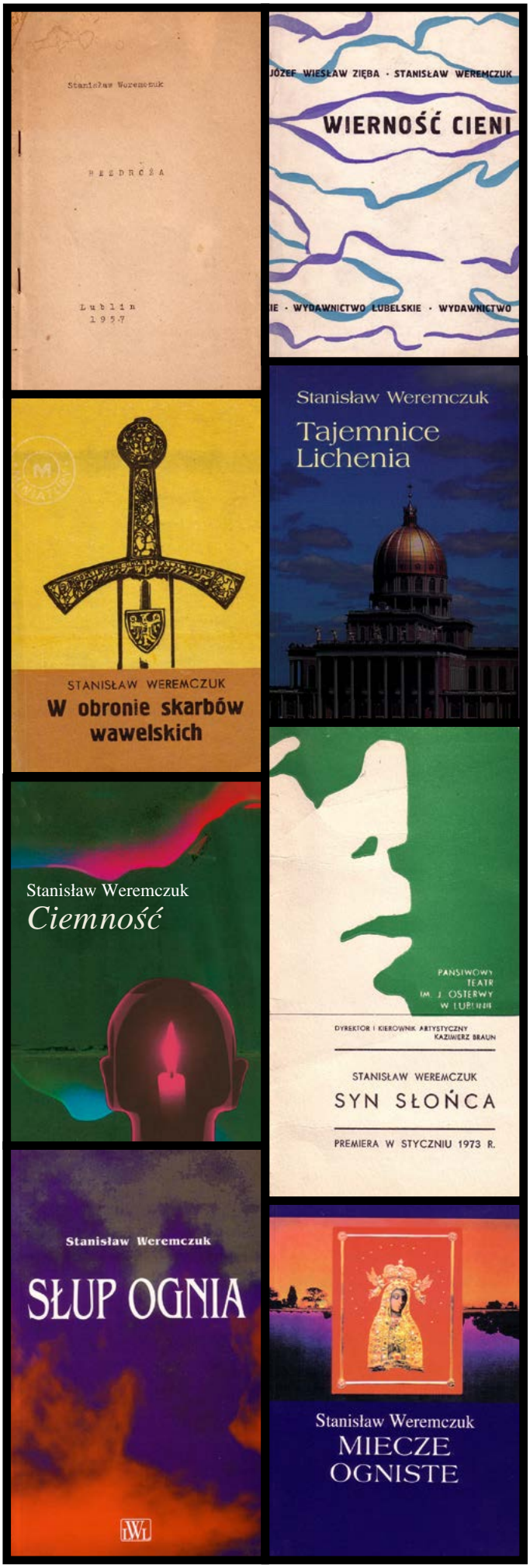

Józef Życiński. Stanisław Weremczuk zmarł 6 października 2008 roku w Lublinie, gdzie został również pochowany na Cmentarzu Rzymskokatolickim przy ulicy Lipowej.

Poeta

Swoje pierwsze wiersze Weremczuk opublikował w piśmie studentów filologii polskiej KUL „Polonista" w grudniu 1953 roku. Było to czasopismo przepisywane na maszynie i ręcznie ilustrowane, wydawane bez ingerencji cenzury, poza oficjalnym obiegiem. W czasach, gdy powszechnie czczono geniusz „wodza ludzkości", podliczano w wierszach wytopioną surówkę, tudzież liczbę śrubek wyprodukowanych w ramach kolejnych „pięciolatek", w „Poloniście" studenci publikowali typowe dla młodego wieku wiersze o miłości czy pierwszych egzystencjalnych niepokojach. Takie też są trzy wiersze Weremczuka, które można znaleźć we wspomnianym wyżej numerze. Przytoczmy tytułem przykładu w całości jeden z nich:

Czy zawsze?

Chmury
gaszą promienie słońca,
płaczą rozkołysane anteny.
Słyszysz?
Czyż zawsze do końca
życie będziemy mierzyć
żółtym listowiem
i… jękiem wichury?

Jeśli odcedzi się młodzieńczą egzaltację, można w tych tekstach znaleźć charakterystyczne dla całej twórczości poetyckiej Weremczuka cechy. Pierwszą z nich jest organiczna wręcz więź z naturą. Dzieciństwo spędzone na wsi sprawiło, że podstawowe dla ludzkiej egzystencji pytania podmiot tych wierszy stawia zwykle w kontekście przyrody – towarzyszy ona jego emocjom, życiowym wyborom i przemianom nie tylko jako krajobraz czy tło. Wyraźnie utożsamia się on z tym, co dzieje się wokół, swoje życie wpisuje w cykl natury, nie potrafi mówić o swojej miłości inaczej, niż zestawiając ją z „żółtym listowiem" i „jękiem wichury". Cecha ta sprawiła, że w syntezach dziejów lubelskiej poezji Weremczuka zalicza się zwykle do „nurtu wiejskiego", jak uczynił to na przykład Waldemar Michalski, który jednocześnie jednak zauważył, że w przypadku autora *Ciemności* konflikt dwu kultur: wiejskiej i miejskiej jest „bardziej dramatyczny, ponieważ rozgrywa się w ramach tej samej osobowości «ja» lirycznego"[4]. W podobny sposób wiersze Weremczuka interpretował Wiesław Paweł

[4] Waldemar Michalski, *Od Przybosia do „Przebudzenia", czyli o poezji w Lublinie w latach 1944–1976*, [w:] *Lublin literacki 1932–1982. Szkice i wspomnienia*, pod red. W. Michalskiego i J. Zięby, Lublin 1984, s. 137.

Szymański, pisząc w recenzji z tomiku *Trakty* (1968) na łamach „Życia Literackiego":

Najważniejsza […] *opozycja tej poezji ukrywa się w warstwie znaczeniowej. Jest nią przeciwstawienie dwu kultur i cywilizacji: wiejskiej i miejskiej. Opozycja ta wskazuje na wyraźne związki z tym nurtem literackim, który reprezentują Ożóg czy Kawalec.* […] *Stąd powstaje pewne rozdarcie: niedawna tradycja, jak i współczesność egzystują w psychice równie silnie. Sądzę, że rozdarciem tym można wytłumaczyć tytuł tomiku – „Trakty". „Trakty" to jak gdyby proces ustawicznego przechodzenia z jednego kręgu cywilizacyjnego w drugi*[5].

I właśnie to zderzenie, stałe podkreślanie swojego przywiązania do świata wsi przy jednoczesnym twardym stąpaniu po miejskim bruku, chroni tę poezję przed pułapką przesadnej uczuciowości.

Drugą bowiem cechą wierszy Weremczuka jest ich swoisty sentymentalizm. To chyba nie przypadek, że właśnie z Lubelskiem związani byli najwięksi sentymentaliści polscy (Franciszek Karpiński czy Franciszek Dionizy Kniaźnin), że nuty te dają się dostrzec również i w lubelskiej poezji XX wieku (by wspomnieć chociażby Józefa Czechowicza czy głośną w latach dziewięćdziesiątych, wydaną przez Lampę i Iskrę Bożą, antologię *Lubelscy sentymentaliści*). U Weremczuka ów sentymentalizm wydaje się polegać (poza oczywiście już wspomnianym związkiem z naturą) na bardzo poważnym, a jednocześnie ciepłym, pozbawionym nawet śladów ironii, traktowaniu uczuć. Wyraźnie stara się on zachować czystość i prostotę języka, jakby po to, by ocalić w nim właśnie czystość i prostotę uczucia. Tak jest chociażby w innym z publikowanych w „Poloniście" wierszy – *Czy ujrzę?*, w którego zakończeniu w prostych słowach, odwołujących się do konwencjonalnych metafor, podmiot liryczny pyta:

Czy ujrzę kiedy
w jasnych twoich oczach
serce
ukryte na dnie?

Trzecia z kolei cecha – stosunkowo jeszcze mało widoczna w debiutanckich wierszach – to wprowadzanie w świat poetycki rzeczywistości nadprzyrodzonej. Jej obecność dużo mocniej zaznacza się w niepublikowanych wierszach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jednak już w juweniliach to, co wydawać się na pierwszy rzut oka może retorycznym ozdobnikiem, równie dobrze może być znakiem czegoś więcej, jakby nieco nieśmiałym trącaniem wieczności. I tak w zakończeniu miłosnego wiersza *Chciałbym*, opublikowanego w „Poloniście", podmiot

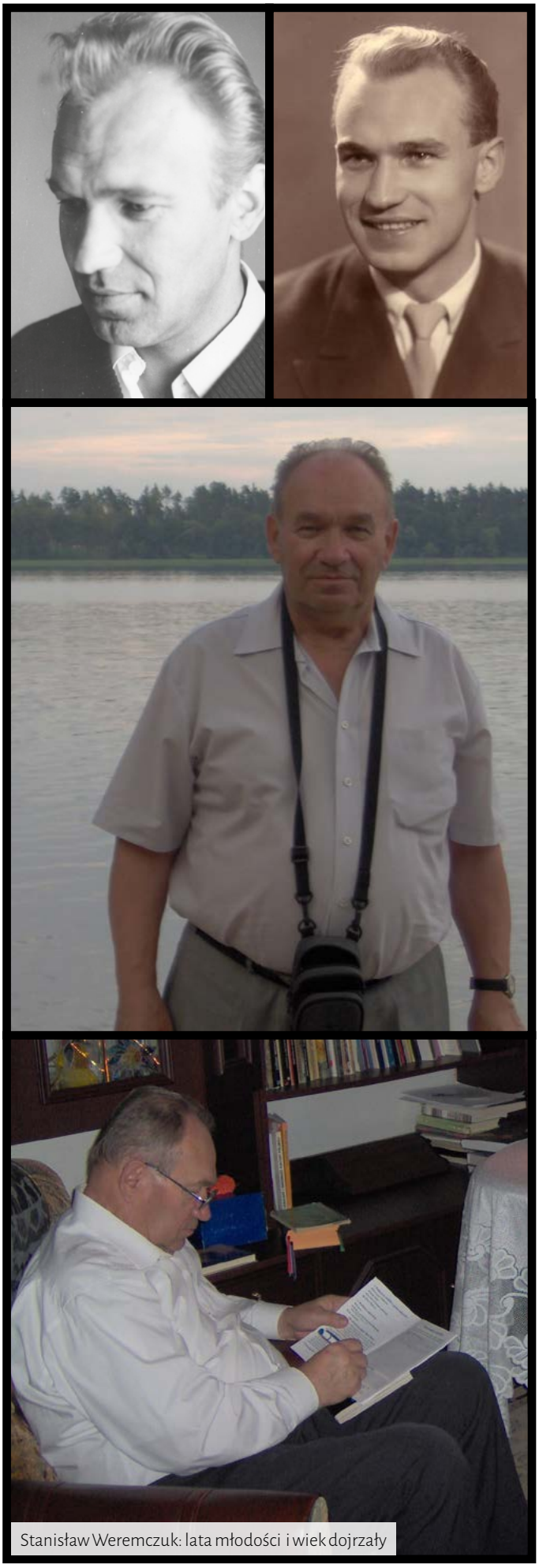

Stanisław Weremczuk: lata młodości i wiek dojrzały

[5] Wiesław P. Szymański, *Dwojakie jest życie*, [w:] idem, *Między ciemnością a świtem. Wybór artykułów i recenzji z lat 1953–1969*, Kraków 2005, s. 346.

→

liryczny na pierwszy rzut oka z typową dla młodości egzaltacją deklaruje:

Chciałbym widzieć cię znowu
być z tobą
…wiecznie!

Podobną „wieczność" w podobnym kontekście (adresatką wiersza jest żona) znajdujemy w napisanym pod koniec życia wierszu *To co w środku*:

Czas zatoczył koło, nie ma teraz początku
ani końca tylko to co w środku.
Wieczne, niezmienione
jak ty i ja.

I choć wiadomo, że wieczność inaczej traktuje dwudziestolatek, a inaczej człowiek siedemdziesięcioletni, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że Weremczuk nie potrafił patrzeć na wszelkie ludzkie doświadczenie bez uwzględnienia metafizycznej perspektywy. Wyraźnie to widać w trzech opublikowanych tomikach wierszy: *Bezdroża*, *Wierność cieni* (wspólnie z Józefem Ziębą) i *Trakty*.

Pierwszy z tomików stanowił ciekawe świadectwo przełomu 1956 roku – powielaczowe *Bezdroża*[6] to efekt inicjatywy Lubelskiego Klubu Literackiego, którego młodzi członkowie, korzystając ze względnej swobody, mogli wydać swoje debiutanckie tomiki.

Już nie pamiętam, kto na zebraniu LKL rzucił pomysł – wspomina Józef Zięba – by wydać debiutanckie tomiki na powielaczu, gdyż żadnych innych wydawniczych możliwości w Lublinie nie było. […] *Dobrą radą służyły Lala Księska i Elka Kuśmicka, urzędniczki Wojewódzkiego Wydziału Kultury, który nasze przedsięwzięcie gotów był sfinansować. Otrzymałem pieniądze na zakup papieru i matryc białkowych, opłacenie maszynistki i powielarni. Zgromadziłem rękopisy: Jurka Księskiego, Anny Markowej, Zbyszka Stepka, Jana Stanisława Stefaniaka i Staszka Weremczuka. Dołączyłem własny tomik* […].

Teksty zostały przepisane na matrycach i powielone w Urzędzie Wojewódzkim za łaskawym przyzwoleniem miejscowej cenzury. Przecinanie, składanie i zszywanie drutem powielaczowych tomików odbyło się w introligatorni Biblioteki Głównej KUL. Prace te wykonywali sami autorzy. Efekt nie był imponujący. Wydawnictwo nosiło wyraźne cechy improwizacji i amatorstwa. Na mankamenty te nie zwracaliśmy wcale uwagi. Nasza inicjatywa potwierdzała, że w Lublinie istnieje żywe i twórcze środowisko literackie młodych[7].

Bezdroża to przede wszystkim zapis uczuć człowieka, który został przeniesiony ze swojskiego, bliskiego świata wsi w przestrzeń miasta. W tytułowym wierszu Weremczuk pisał:

Łażę po bruku i liczę okrągłe kamienie,
zapisuję czas na tablicach,
bym mógł odnaleźć chwilę,
z której wyszedłem,
bym błądząc doszedł do wsi
zgubionej w dzieciństwie.

To przeniesienie jednak ma wymiar nie tylko społeczny czy obyczajowy. Podmiot liryczny w wielu wierszach z tomiku to również ktoś, kto szuka ładu w świecie i w sobie samym. Niepokojony uczuciami, rozkłada je na części pierwsze, tłumacząc sobie w wierszu *Miłość*:

Ty i ja
– nie kochamy się może,
albo
kochamy w nas dziwną pieśń
wieczorów i dni.

Przyniosę ci uschłą trawę –
zwiędła jesienią.
Pewnie zabrakło jej
oddechu twej piersi
i ust.

Kochana,
zagony biegną do mnie
pasmem
i nie wiem za kim tęsknią
za tobą?
za mną?
za nami?

Mając świadomość zagubienia, podmiot liryczny wytrwale szuka sensu i odkrywa go (a raczej na powrót znajduje) w wierze przodków. Ostatni wiersz w *Bezdrożach – Przeddzień*, z cyklu *Świat* – to zapis dramatycznego poszukiwania wyjścia z metafizycznego mroku, mozolnego „układania drogi" (zapewne z tych samych kamieni, o których pisał w cytowanym wyżej wierszu):

Jest noc. Gwiazdy świecą w połowie nieba.
Po omacku idę nieukończoną drogą
w moją dal
z pragnieniem na ustach.
Idę słuchać dużych ptaków
i krzyży po wioskach.
Rano słońce dzwony obudzi w kościołach,
a ja muszę ukończyć drogę,
nim wezwą mnie na „Anioł Pański".

[6] Stanisław Weremczuk, *Bezdroża*, Lublin 1957.

[7] Józef Zięba, *Lublin. Miasto przeznaczenia. (Część pierwsza). Wspomnień tom III*, Lublin 2007, s. 129.

Jest noc.
Przynieś mi ostatni kamień
i zgaś mrok.
Później będą tylko świątynie
i wiosna, której nie zapomnę.

Kolejny zbiór wierszy – *Wierność cieni* – Stanisław Weremczuk opublikował wspólnie z Józefem Ziębą (jako dziesiąty tom Biblioteki Poetów Lubelskich) w 1961 roku[8]. Zamieścił w nim dwanaście utworów, których część znalazła się już wcześniej w *Bezdrożach*. W porównaniu z poprzednim tomikiem trudno nie zauważyć pojawienia się tekstów stylizowanych na ludowe (*Wesele*, *Gorzolicka*, *Dziewczyna*), a także nowej, nieco ironicznej nuty, jak chociażby w wierszu *Sosny na piaskach*:

Wiatrak na przemiał zabierał czas
a ja mu skrzydła obracałem
wkoło
i by się księżyc nie czepiał zza płotu
śpiewałem
– zagrajmy w karty serca wygrają
na karty życie rzucam
jak snop

I oszukałem księżyc nad drogą

A las szedł za mną
jak wierne zwierzę
aż do rogatek

zagrajmy w karty

O wielkoludy przy jednym stole
kawa cebrami płynie jak czas
przy jednym stole zagrajmy w karty
okawim świat

A las
wciąż szumi

Ostatni z opublikowanych przez Weremczuka tomików – *Trakty*[9] – to, zgodnie z semantyką tytułu, swego rodzaju antyteza *Bezdroży*, zapis już nie poszukiwań, a raczej tego, co udało się odnaleźć człowiekowi, który młodzieńcze niepokoje ma już za sobą i który dojrzał do tego, by w zamęcie współczesności stanąć z boku, a jednocześnie przypilnować tego, co dla niego jest ważne.

Metaforyczny opis powrotu do świata tradycyjnych wartości, do „domu mocno spojonego bez fuszerki", znaleźć można już w otwierającym tom wierszu *Odpust zielony*, ale szczególnie mocna deklaracja postawy podmiotu lirycznego wobec cywilizacyjnych przemian pojawia się w wierszu *Rozrywka*:

Dobra ojczyzna błyszczy samochodami
w dobrej ojczyźnie miast piłki kopie się bochenki chleba
każdą bramkę strzelając szampanem

Zła – różowi się od jarzębin wysyła świątki na rozstaje
każe kochać choć miłość wyrasta krzyżami u wrót zagajników
odkrajać skiby razowej ziemi
a kominom dymami użyźniać glebę

Dwie ojczyzny przy jednym stole do gardła skaczą
a kiedy druga fartuch przywdziewa i usługuje
jak przystało rzetelnie z nawyku
stół biało nakrywa półmiski podaje –

poeci na cytrach big-beatem mamrocą –
tu za rozrywkę się dolicza

Tym poetom, którzy „na cytrach big-beatem mamrocą", Weremczuk przeciwstawia twórców ludowych, tych „świętych", co wbrew przysłowiu „garnki lepią", jak w autotematycznym utworze *O wierszu*. Podmiot liryczny, pytając siebie: „Gdzież tu migdały niebieskie wypiekać", kreśli ciepły portret ludowego artysty, w którego dziele znajduje odpowiedź na postawione na początku pytanie:

stary Piotr czeka zapomogi,
dzieci odeszły, żona chora, a on garnki lepi, wazy toczy,
z ptakami gwarzy, a później je w glinie wypala, by lżej
fruwały. We wsi pokazują go palcem i pukają w czoło –
taki zwyczaj – a on dalej toczy wazy wysmukłe, wazy za bezcen.

W *Traktach* pojawia się również (choć chyba już nieco bardziej wyciszona) nuta osobista, widać wyraźnie, że podmiot liryczny ma już za sobą młodzieńczą burzę uczuć. Jej miejsce zajmuje za to – na razie jeszcze wciąż szyfrowana, ale coraz wyraźniejsza – tematyka religijna. To przejście jest widoczne w środkowej części tomiku *Gałąź ułamana*, w której opisowi relacji dwojga ludzi zaczynają towarzyszyć religijne odniesienia, jak na przykład ogród oliwny czy katakumby, a w intymnej rozmowie z matką w wierszu *Bez słów* pojawiają się akcenty przypominające modlitwy maryjne:

Matko pozwól rozmawiać
dalej
tarczą jesteś która broni

→

[8] Stanisław Weremczuk, Józef Wiesław Zięba, *Wierność cieni*, Lublin 1961.

[9] Stanisław Weremczuk, *Trakty*, Lublin 1968.

lustrem odbijającym świat
który przedłużasz
Oto słońce zachodzi i usnę
Znasz ręce które zamykają oczy
weź je w dłonie
Będę szukał dotknięcia
Mądrości
i łzy
którą zostawiłaś

Świadectwem wrażliwości Weremczuka na puls współczesności jest trzecia grupa wierszy zatytułowana *Polowanie na przechodnia*. W tej części tomiku podmiot liryczny wielokrotnie deklaruje swoją osobność, nie chce być jednym z pajaców, którym ktoś manipuluje. Tym, co daje mu poczucie niezależności, jest doświadczenie bliskiego, autentycznego kontaktu z rzeczywistością, z prawdziwym światem, jak pisze w wierszu zaczynającym się od słów „Przyjaciele moi barankowie…":

Dla darcia wnętrz
jak pierza na tłoce
was nie prosiłem
dla zabawy was nie wołałem
dla nazywania sosny niepotrzebniście
bo ją czuję igliwiem

Chcecie się – cacka na choince
uwieszać – wiście sobie zdrowo
pajacyki święte

Trzecią część i cały tomik zamyka wiersz *Oblot ziemi*, w którym Poeta rozmawia z Ojcami zapraszającymi do tego, by usiąść z nimi „wespół na przekąskę poobiednią", która zamienia się w swego rodzaju apel poległych – od Grunwaldu przez Racławice, Mławę po Wał Pomorski. Nawiasem mówiąc, wiersz ten, w którym codzienna, swojska atmosfera łączy się z historycznym i metafizycznym spojrzeniem na dzieje Polski i Polaków, bardzo przypomina zawarty w *Ciemności* opis ostatniej Rezurekcji w życiu Teodora.

Po *Traktach* Stanisław Weremczuk nie opublikował już żadnego tomiku poetyckiego, co nie oznacza jednak, że zerwał z pisaniem wierszy. Pisał je w zasadzie aż do śmierci, o czym świadczy bardzo pokaźna liczba niepublikowanych tekstów poetyckich zachowana w jego archiwum. Jest wśród nich zeskanowany zbiór wierszy (plik nosi nazwę *Poezja*) ułożony w pewnym tematycznym porządku, który pozwala przypuszczać, że autor *Ciemności* mógł myśleć o publikacji tego zbioru zawierającego teksty powstałe przede wszystkim w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych[10]. W komputerze zachowało się również kilka wierszy napisanych pod sam koniec życia, a wśród nich przejmujące i pogodne zarazem *Moje błogosławieństwa*, którymi Weremczuk w pewnym sensie żegnał się z ludźmi i światem.

W tej niepublikowanej części poetyckiego dorobku autora *Mieczów ognistych* już bardzo wyraźnie dominuje tematyka religijna i metafizyczna. Weremczuk odsłania w niej to, co we wcześniejszych wierszach pulsowało gdzieś między słowami, przy czym ta religijność nie sprowadza się do prostych aktów i wyznań, jest raczej fundamentem jego spojrzenia na świat, fundamentem, który stale próbuje zrozumieć i wpisać w doświadczenie swojej egzystencji. Dobrym tego przykładem wydaje się być wiersz *Nad ranem*, w którym podmiot liryczny zwraca się do Jezusa w ogrodzie Getsemani:

Wypoczywaj przed męką na moim ramieniu,
nie chcę, by Cię rzucono do ciemnicy.

Jest noc, gwiazdy nad nami,
jak w ogrodzie Getsemani.
Wszyscy śpią, dom cały w ciszy,
Apostołowie śpią.

Ty tylko i ja czuwamy.
Dziś zrozumiałem, że wieczność
i teraźniejszość to jedno,
u Ciebie, Panie, nie ma wczoraj i jutro.

Męka Chrystusa staje się tu doświadczeniem wspólnoty z Bogiem, a jednocześnie pozwala podmiotowi zrozumieć to, kim jest i jakie jest jego miejsce w kosmosie, że to w nim właśnie spotyka się wieczność i teraźniejszość. Weremczuk nie poprzestaje bowiem jedynie na dążeniu do poetyckiego oddania religijnego przeżycia, dla niego chrześcijaństwo jest gwarancją ładu, harmonii, zasadności każdego ludzkiego losu i działania. Zachował on bowiem w swej twórczości przekonanie o strukturze i sensie świata charakterystyczne dla tych poetów, których z braku lepszego określenia nazwę pierwotnymi. I nie jest to określenie deprecjonujące. Chodzi mi tu raczej o tę postawę, którą Czesław Miłosz dostrzegł w Adamie Mickiewiczu, gdy w *Ziemi Ulro* stwierdzał:

„Pana Tadeusza" mógł napisać tylko poeta, który – kiedy, w 1849 roku! – powiedział do Seweryna Goszczyńskiego: „Kalendarz i brewiarz są to najważniejsze książki dla człowieka", a więc poeta, w którym głęboko tkwiły

[10] Zapewne właśnie ten zbiór wierszy miał na myśli, gdy w 1973 roku w wywiadzie przy okazji premiery *Syna słońca* w lubelskim Teatrze imienia Juliusza Osterwy mówił, że ma już przygotowany tomik poezji (zob. Wojciech Woźniak, *Fascynował geniusz Kopernika… Rozmowa z kol. Stanisławem Weremczukiem – autorem sztuki scenicznej „Syn słońca" poświęconej życiu Mikołaja Kopernika*, „Zielony Sztandar" 1973, nr 6, [s. 20]).

przyzwyczajenia rytualizujące czas: rok rolniczy, rok liturgiczny. I ostatecznie tylko czas uporządkowany, nie mechanicznie, według zegarka, ale sakralnie, pozwala nam naprawdę wierzyć w istnienie rzeczy. Wschody i zachody słońca, zwykłe czynności, jak przyrządzanie kawy czy zbieranie grzybów, są więc i tym, za co bierze je czytelnik, i powierzchnią, pod którą ukrywa się wielka akceptacja, która ożywia i podtrzymuje opis[11].

Podobna „wielka akceptacja" pojawia się w wielu wierszach twórców ludowych, których teksty drukował, opracowywał i popularyzował Stanisław Weremczuk, a także i w kolejnym niepublikowanym dotąd jego wierszu *Stwarzanie*:

Nie ma rzeczy, która nie miałaby nazwy
i nie ma nazwy, która nie mogłaby
stać się rzeczą –
tak dokonuje się co dnia stwarzanie
obok nas, w nas.

Kto jesteś – pytam ciebie?
Jestem – mówisz zdziwiony,
bo tyle wiesz na pewno.
I to, że ja nie jestem tobą,
a różnica między mną a tobą
to świat.

Niebo kwitnie słońcem, sączy się
w ciebie, karmi,
aż sam staniesz się niebem –
wiesz to, chociaż nie wyprowadzasz
dowodu, o który cię pytają.

Zawieszony w próżni czy nieskończony?

Odpowiedzi nie ma.
Topole tylko wieczorami podchodzą
pod dom, by strzec tajemnicy,
granatowe niebo sypie gwiazdami
i tonie, tonie w wieczności.

I chyba właśnie to zanurzenie w wieczności stanowi zarówno zasadę, jak i podstawowy temat liryki Weremczuka. Dlatego nie brak w jego późnej poezji również i mistycyzmu, opisów ponadzmysłowych doświadczeń stanowiących potwierdzenie tego ładu świata, który dostrzega w naturze i historii. Wspominając w wierszu *Przejście* tragiczną śmierć swojego najmłodszego brata Wawrzyńca (zginął w wypadku motocyklowym), opisał znak, jaki został mu wówczas dany:

Pozwoliłeś mi przekroczyć pierwszą granicę
i spojrzeć na przejście z tamtej strony
przez szczelinę rozłupanego bólem świata.
I byłem tam przez krótki czas,
przetrwałem zwalający się ogrom
ciężaru umierania
aż do nieporównanej nagłej radości
po drugiej stronie.
Oglądałem siebie w podwójnym wymiarze
i opłakujących mnie bez potrzeby niżej.
Kiedy stanąłem w przestrzeni bez granic
jak na wielkiej scenie, której kontury
w na wpół liliowej poświacie
zdały się sięgać nieskończoności,
a były miejscem – sam, wyniesiony
gdzieś przy wielkiej wadze bez nazwy,
całą osobą wołałem w radości:
To prawda! Nadal jestem, więc Ty jesteś!
I stanąłem przed drugą granicą,
do której pchała mnie siła nieprzeparta,
jak ciążenie wszechświata,
ale wolą moją objawiona i rozpoznana.

Jest zatem poezja Weremczuka zapisem drogi człowieka – zaczynającej się od burzy młodzieńczych uczuć, poszukiwań swojego miejsca w życiu, a docierającej do zrozumienia wiecznego ładu ukrytego nie tylko w przyrodzie, ale nawet i w okrutnych lekcjach XX wieku. Pomimo wielu trudnych doświadczeń autor *Traktów* potrafił zakończyć swoją poetycką twórczość gestem, który chyba najlepiej mówi o jego życiowej postawie. Ten gest to nie zawsze dobrze dziś rozumiane błogosławieństwo, stanowiące najgłębszy wyraz wdzięczności i zgody na taki, a nie inny kształt świata, nawet jeśli nie wszystko w nim jest takie, jak w naszym mniemaniu być powinno. I właśnie taki gest znajdziemy we wspominanym już wyżej, napisanym kilka miesięcy przed śmiercią wierszu *Moje błogosławieństwa*, który kończy się słowami:

Błogosławię was wszystkich na mojej drodze,
co i waszą była,
przyjaciele i przechodnie, z którymi kulę ziemską
toczyć nam przypadło
po wyboistej drodze, chleb ziemi wydzierać
i Ojczyznę wyłuskiwać z nieprzyjaznych sieci[12].

Dramaturg

Choć Stanisław Weremczuk debiutował i przez pierwsze kilkanaście lat swojej literackiej działalności

[11] Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, Kraków 1994, s. 130.

[12] Stanisław Weremczuk, *Moje błogosławieństwa*, op. cit.

→

Stanisław Weremczuk i Bieszczady

znany był przede wszystkim jako poeta, to jednocześnie przez cały ten czas próbował swych sił również jako dramaturg. Fascynacja teatrem pojawia się u niego już w latach nauki w gimnazjum w Komarówce, tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej. W jednym ze swoich niepublikowanych zapisków poświęconych temu okresowi wspomina oglądaną w 1946 roku w Teatrze Polskim w Warszawie *Lillę Wenedę* Juliusza Słowackiego:

Celem naszej wycieczki, poza zwiedzeniem, czy może lepiej – zapoznaniem się z nieujarzmioną, aczkolwiek tonącą w gruzach stolicą, była wizyta w teatrze. Być może był to nawet główny cel wyprawy. Zaprowadzono nas do Teatru Polskiego […]. Wystawiano *Lillę Wenedę* Juliusza Słowackiego w reżyserii Juliusza Osterwy. On też grał z pozoru drugorzędną rolę Ślaza, w roli tytułowej występowała Elżbieta Barszczewska. Przedstawienie, niezbyt mile widziane przez władze, cieszyło się ogromną popularnością, grano codziennie przy kompletach publiczności. Niewiele wiedzieliśmy wówczas o Słowackim, a jeszcze mniej o sławnych aktorach. Ale widocznie dobrze nas przygotowano do tego spektaklu, skoro Osterwa-Ślaz pozostał mi w pamięci, i do dziś mogę sobie wyobrazić, jak dźwiga na plecach, zgięty w połowie, pudło z harfą przesłaną przez mściwą Gwinonę królowi Lirowi, a w rzeczywistości trumnę z Lillą Wenedą[13].

Zapewne ta niezwykła wrażliwość na sztukę sceniczną sprawiła, że już jako młody chłopak zaczął próbować swych sił w teatrze. Józef Zięba wspominał, że w szkole średniej przygotował scenariusz do wiejskich herodów, w zachowanych brulionach z końca lat czterdziestych znaleźć można kilka jego prób dramatycznych. Nic zatem dziwnego, że później jako student zaangażował się w działalność Teatru Akademickiego KUL – grał między innymi w *Dziadach* z 1954 roku, które po pięciu przedstawieniach zostały zdjęte z afisza przez cenzurę jako przedstawienie godzące w ustrój i sojusze Polski Ludowej. Trudno w tym nie dostrzec zapowiedzi tego, co stanie się w kilkanaście lat później z *Dziadami* wyreżyserowanymi przez Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym w Warszawie. Weremczuk grał w tym przedstawieniu rolę Frejenda w scenie więziennej. Pewnie wiedziony tymi zainteresowaniami wybrał teatrologiczne seminarium prof. Ireny Sławińskiej, pod której opieką napisał pracę magisterską.

Po ukończeniu studiów jego teatralna aktywność nie wygasła. W zachowanym dzienniku Stanisława Weremczuka z lat 1955–1957, pod datą 8 czerwca 1955 roku znaleźć można następujący zapis:

Wczoraj rzuciłem na papier szkic obrazka scenicznego. Nie wiem, czy wykończę go. Chyba tak. Zechcę go posłać do opublikowania. Może to będzie pierwszy mój krok do dzieła.

Warto podkreślić, że początkujący twórca właśnie w dramacie widział zalążek swego przyszłego „dzieła". Później wspomina o kilku „próbkach obrazków scenicznych", a także o planach pisania dla radia. 3 sierpnia odnotowuje, że „Tygodnik Powszechny" opublikuje kilka jego tekstów poetyckich, natomiast nie ukaże się na łamach tego pisma obrazek sceniczny *Powrót*, który według autora jest od tych wierszy lepszy. Ostatnią wzmianką na temat tego dramatu jest zapis z 14 czerwca 1956 roku, o tym, że

[13] Stanisław Weremczuk, *Półwiecze*, mps komputerowy, ok. 2007 r.

został on wyróżniony w konkursie literackim Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich.

Wyraźnie zatem już od samego początku w teatralnej aktywności Weremczuka można dostrzec dwa nurty. Pierwszy z nich to praktyczna działalność – tworzenie scenariuszy widowisk oraz przygotowywanie ich realizacji w duchu przedwojennej tradycji polskiego teatru ludowego Jędrzeja Cierniaka i Jerzego Zawieyskiego. Drugi natomiast to pisanie dzieł dramatycznych, których liczba i różnorodność świadczy o niezwykle intensywnych poszukiwaniach Weremczuka na tym polu.

Pierwszy ze wspomnianych nurtów działalności teatralnej wynikał częściowo z faktu, że po studiach autor *Ciemności* rozpoczął pracę jako instruktor w domu kultury, z czym wiązał się między innymi obowiązek sprawowania opieki nad teatralnymi inicjatywami podejmowanymi przez amatorów. Przyglądając się jednak licznym owocom tej pracy Weremczuka z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych trudno oprzeć się wrażeniu, że nie były one efektem jedynie rzetelnego wypełniania zawodowych obowiązków. W podejmowanych przez niego przedsięwzięciach widać ogromną pasję, dążenie do ożywienia i pokazania atrakcyjności teatru ludowego, sprawienia, by odrzucone w okresie stalinizmu idee Cierniaka wróciły jako jedno z najważniejszych świadectw artystycznych osiągnięć polskiej wsi, a jednocześnie pokazały, czym tak naprawdę ona jest. Jak pisał bowiem pod koniec życia:

Cierniak zachęca do drążenia ku górze i w głąb, by dostrzec w teatrze ludowym potrzebę wyrażenia dramatu ludzkiej duszy, bo człowiek wiejski, jak każdy, przeżywa konflikty, które domagają się wyrażenia w sztuce. […]

Najpełniej wyraził to w widowisku swojego autorstwa „W słonecznym kręgu" […]. *Zawarł w nim mistykę chłopskiej egzystencji wpisanej w przyrodę, ziemię ojczystą biorącą swe źródło z ojcowizny, czyli tego, co jest przekazywane z pokolenia w pokolenie nie tylko jako warsztat pracy, ale i sposób życia z jego wartościami, transcendentną podbudową odczytywaną z rytmu przyrody i jej celowego biegu, od siewu, przez wzrastanie, po plon doczesny i ostateczny, wieczny*[14].

Z myślą i praktyką teatralną Jędrzeja Cierniaka zapoznał się dokładnie w lipcu 1957 roku w Wejherowie podczas Centralnego Kursu Teatrów Ludowych prowadzonego przez uczniów autora *W słonecznym kręgu* (między innymi Bronisława Nycza, Jerzego Zawieyskiego, Zofię Solarzową, Henryka Ładosza) i wpływ tych idei widać wyraźnie w zachowanych scenariuszach widowisk: napisanym wspólnie z Jerzym Golińskim *Dziwowisku*, *Chmielakach krasnostawskich* oraz w *Bandosce*, która została wystawiona 5 czerwca 1961 roku w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie w oprawie scenograficznej Zenobiusza Strzeleckiego, w ramach obchodów 5-lecia Lubelskiego Domu Kultury. O tym zrealizowanym przez amatorów przedstawieniu „Kurier Lubelski" napisał, że „dużo w nim prymitywnej świeżości, ale zespołowi chodziło też o wydobycie autentyzmu"; pochwalił również „świetne pomysły inscenizacyjne"[15].

Jednocześnie jednak Weremczuk nie zaniedbywał drugiego nurtu swej teatralnej pasji – pisania dramatów. Tworzył je z różnym natężeniem niemal przez całe życie. W domowym archiwum zachowało się kilka pełnowymiarowych sztuk, kilkanaście drobnych tekstów scenicznych, scenariuszy filmowych, fragmentów nieukończonych sztuk. Niestety, dorobek ten pozostaje niemal nieznany – na łamach „Życia Literackiego" publikacji doczekał się jedynie fragment *Syna słońca*[16], który zresztą (również jako jedyny spośród dramatów Weremczuka) został zrealizowany na scenie w lubelskim Teatrze imienia Juliusza Osterwy w 1973 roku. Autor wspominał o tym, że w latach siedemdziesiątych proponowano mu wydanie pełnego tekstu tego utworu (być może również z kilkoma innymi), ale nie doszło to do skutku, a wobec późniejszego skupienia się przede wszystkim na pracy dziennikarza plany te zostały zarzucone. Jednocześnie jednak dramaturgia pozostawała wciąż w orbicie zainteresowania Weremczuka – brał on udział w konkursach dramaturgicznych, pisał kolejne teksty (części z nich niestety nie udało się do tej pory odnaleźć). Warto zatem przyjrzeć się zachowanym dramatom, bo pomimo tego, że w zasadzie nie były publikowane, to stanowią one istotne ogniwo literackiego dorobku autora *Mieczy ognistych*, są ciekawym świadectwem próby zbudowania własnej charakterystycznej formy, zaistnienia na mapie polskiej dramaturgii.

Wydaje się, że najstarszym z zachowanych ukończonych i dojrzałych tekstów dramatycznych Weremczuka (nie licząc wspomnianych wyżej scenariuszy widowisk) jest sztuka science-fiction *Hallo! Ziemia!!*, której pierwszą wersję znaleźć można w brulionie zawierającym zapiski z lat 1960–1962. Pojawia się w niej wątek podobny do tego, wokół którego Stanisław Lem zbudował swą głośną powieść *Solaris* (opublikowano ją w 1961 roku, zatem nie można wykluczyć pewnej inspiracji). Otóż na Ziemię przylatuje statek kosmiczny, który przywozi ze sobą tajemniczą epidemię wywołaną przez nieznane ludziom siły (być może jest to jakaś forma życia zakłócająca pole elektromagnetyczne mózgu). Nie bez znaczenia dla rozwoju choroby okazuje się również masowo wykorzystywane

[14] Stanisław Weremczuk, *Posłowie*, op. cit., s. 145.

[15] *5 lat LDK*, „Kurier Lubelski" 1961, nr 131.

[16] Zob. Stanisław Weremczuk, *Syn słońca*, „Życie Literackie" 1972, nr 22 (1061). Opublikowane zostały dwie pierwsze części dramatu, a ich kształt nieznacznie odbiega od wersji pozostawionej w maszynopisie.

→

Stanisław Weremczuk jako aktor

promieniowanie radioaktywne. Wobec zagrożenia całej cywilizacji władze Ziemi podejmują decyzję o ewakuacji ludzi statkami kosmicznymi, czemu przeciwstawia się główny bohater – Profesor – przekonany, że nasza planeta może zostać ocalona. Niestety, nie udaje się mu przekonać do swych racji Admirała i pozostałych przywódców. Po opuszczeniu Ziemi przez jedną dziesiątą mieszkańców glob ogarnia chaos, ludzie padają ofiarą nie tylko epidemii, ale i morderstw, szerzy się kult jakiegoś tajemniczego Wielkiego Brata. Córka Profesora, Oleńka, po śmierci narzeczonego również dołącza do jego wyznawców, po czym umiera w bliżej nieznanych okolicznościach. Jej osamotniony ojciec marzy już tylko o tym, by umrzeć na starej Ziemi, gdy w finale zjawia się jego asystent, który uśpiony na początku epidemii przez Profesora, zdołał dzięki hibernacji przeżyć i pokonać chorobę.

Sztuka, choć w niektórych miejscach robi wrażenie pewnego niedopracowania, zawiera fragmenty interesujące i świadczące o dramaturgicznym nerwie, jak chociażby przypominająca nieco teksty Jerzego Szaniawskiego początkowa rozmowa Admirała z Oleńką czy niepokojące sceny wizyjne (ten element stanie się jedną z charakterystycznych cech dramatopisarstwa Weremczuka), a jako całość stanowi interesujący wyraz przekonania autora o wyjątkowości każdego człowieka i tego, że dobro ludzkości nie zawsze równa się dobru ludzi.

Kolejny tekst pisany z myślą o scenie wydaje się być mniej udany. Jest to dramat zachowany w dwu niemal identycznych wersjach – pierwsza z nich nosi tytuł *Polanie*, a druga *Wolni*. Historia przedstawiona w tej sztuce osnuta jest wokół wojny Bolesława Chrobrego i Henryka II w 1005 roku. Akcja toczy się „na obszarze między Odrą a Poznaniem" i koncentruje się przede wszystkim na losach rodzeństwa, które oddzielone od rodziców podejmuje próbę oswobodzenia siostry – narzeczonej jednego z rycerzy Chrobrego – z rąk Niemców. Pomaga im w tym oswojony niedźwiedź. Nastoletni bohaterowie czy wprowadzenie wątku przyjaźni ze zwierzęciem może wskazywać, że dramat ten był adresowany do młodszych widzów. Zapewne właśnie ta formuła sprawiła, że jego bohaterowie są jednowymiarowi, a fabuła grzeszy pewną naiwnością i schematycznością. Weremczuk dołączył do obu wersji tekstu fragmenty z wydanej w 1964 roku książki Pawła Jasienicy *Trzej kronikarze*, zawierające cytaty ze średniowiecznych kronik, a także ocenę autora *Polski Piastów* wydarzeń z 1005 roku. Zawarta w tym swego rodzaju epilogu perspektywa spojrzenia na dość odległe dzieje stanowi chyba najciekawszy element tej sztuki. „Ocalił Polskę jej wcześniejszy dorobek – cytuje Jasienicę Weremczuk. – Technika obronna kraju nie ustępowała ani zachodniej, ani wschodniej". Szkoda, że to wyeksponowanie i podkreślenie polskiego dorobku (który pozwolił przetrwać przez

wieki naszemu narodowi w bardzo trudnym geopolitycznym położeniu), będące zapewne jednym z ideowych źródeł dramatu *Polanie/Wolni*, zostało w nim stłumione przez dążenie do stworzenia wartkiej fabuły i chyba zbyt głębokie ukłony wobec młodego widza.

Najbardziej znanym tekstem dramatycznym Weremczuka jest wspomniana już wyżej sztuka *Syn słońca* z 1972 roku, poświęcona Mikołajowi Kopernikowi. Została ona napisana na konkurs literacki ogłoszony z okazji 500. rocznicy urodzin astronoma przez wydział kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze", Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie oraz olsztyński oddział Związku Literatów Polskich. *Syn słońca* zdobył w tym konkursie drugą nagrodę *ex aequo* (pierwszej nie przyznano)[17]. Dramat ten składa się z czterech części (w maszynopisie określanych jako „akty"). Pierwsze trzy opisują Mikołaja Kopernika jako administratora dóbr kapituły warmińskiej, a przede wszystkim jego działania związane z organizacją obrony Warmii w czasie wojny polsko-krzyżackiej 1519–1521, czwarta natomiast przedstawia ostatnie chwile życia astronoma. Taki sposób prezentacji postaci Kopernika nie jest przypadkowy i stanowi przykład kilku istotnych dla jego twórczości tematów, wielokrotnie poruszanych przez Weremczuka. W jednym z wywiadów, jakich udzielił po otrzymaniu nagrody, mówił o *Synu słońca*:

Zajmuję się problemem moralnym, konfliktem sprowadzonym do zagadnienia wyboru i rezygnacji. Oczywiście nie sposób było pominąć walorów poznawczych, toteż w kanwie fabularnej zajmuję się trzema jakby faktami z życia Kopernika: okresem administrowania przez niego kapitułą, obroną przed Krzyżakami i wreszcie – pod koniec życia astronoma – rozterką wynikającą z zastanawiania się nad tym, czy to, co zostało napisane, należy pokazać światu[18].

Mamy tu zatem problem odpowiedzialności naukowca, a także w pewnym sensie twórcy za swoje dzieło i związane z nim konsekwencje (temat ten pojawia się zarówno we wczesnej sztuce *Hallo! Ziemia!!*, jak i – w nieco zmienionym kształcie – w napisanej pod koniec życia *Tabletce szczęścia*), mamy też problem „wyboru i rezygnacji" – pomiędzy zaangażowaniem na rzecz dobra wspólnego a realizacją własnych marzeń i ambicji, praktycznym wymiarem ludzkiego życia zmuszającym wielkiego astronoma do wysłuchiwania chłopskich żalów a rojeniami o gigantycznej przemianie ludzkiego spojrzenia na wszechświat.

(od lewej) Jerzy Cywoniuk, Józef Zięba, Stanisław Weremczuk

Wszechstronnie wykształcony Kopernik – pisze Weremczuk w tekście zamieszczonym w programie do lubelskiego przedstawienia *Syna słońca – doktor filozofii, prawa kanonicznego, medycyny, zyskujący sławę oryginalnością umysłu już we Włoszech, stronić będzie później od infuły biskupiej. Ale też wspominana przez kronikarzy jego wielka miłość do Anny nigdy nie zostanie spełniona. Zamiast tętniącej życiem umysłowym Akademii Krakowskiej wybierze obowiązek – daleką prowincję, Warmię. Tam pełnić będzie funkcję sekretarza biskupiego, lekarza, administratora Kapituły Warmińskiej.* […]

A gdzie miejsce i czas na to, by „wstrzymać Słońce, ruszyć Ziemię" […]*?*[19]

Weremczuk stara się pokazać, że te tak różne pola aktywności wcale nie muszą się wykluczać. W pierwszej części jego Kopernik tłumaczy założenia swojej teorii zwykłym prostym ludziom, a ich problemy zajmują go nie mniej niż wiekopomne odkrycia. I choć Dominik Novara mówi do astronoma: „Bo jest w tobie dwu, a każdy domaga się swych praw. To być nie może…"[20], to w gruncie rzeczy *Syn słońca* pokazuje, jak niezwykła jednostka potrafi pogodzić to, co wspólne, z tym, co indywidualne.

To światopoglądowe założenie znalazło swój wyraz zarówno w fabule dramatu, jak i w konstrukcji przestrzeni. Weremczuk w charakterystyczny dla siebie sposób podzielił scenę na dwa plany: realistyczny i wizyjny. W tym pierwszym rozgrywają się wydarzenia związane z administrowaniem przez Kopernika dobrami kapituły warmińskiej, z wojną polsko-krzyżacką, obrazy ostatnich chwil jego życia; w drugim natomiast powracają wspomnienia, ważne w jego życiu postaci – między innymi Anna (wzorowana na Annie Szyling będąca dawną, studencką jeszcze miłością astronoma, z której jako duchowny musiał zrezygnować), stryj i opiekun Łukasz Watzenrode czy wspomniany już astronom, współpracownik z czasów studiów w Bolonii, Dominik Novara. Obydwa plany różni również język – w pierwszym dominuje język żywy, potoczny,

[17] W olsztyńskim konkursie jury pod przewodnictwem Jana Marii Gisgesa w kategorii dramatu obok *Syna słońca* nagrodziło jeszcze *Obroty sfer niebieskich i ziemskich* Jerzego Ronarda Bujańskiego oraz *Śmierć Kopernika* Józefa Grudy.

[18] Gal [Alojzy L. Gzella], *Rozmówki Kuriera. Nagroda w konkursie*, „Kurier Lubelski" 1972, nr 110.

[19] Program przedstawienia w Państwowym Teatrze imienia Juliusza Osterwy w Lublinie: Stanisław Weremczuk, *Syn słońca*, premiera w styczniu 1973 roku.

[20] Stanisław Weremczuk, *Syn słońca*, Lublin 1972, mps, s. 52.

→

Irena Szypowska (dyrektor Lubelskiego Domu Kultury) Stanisław Weremczuk (kierownik Poradni)

odrobinę stylizowany na staropolszczyznę, w drugim natomiast do głosu dochodzi poezja, a nawet patos. Obydwie przestrzenie łączą się dopiero w finale – w chwili śmierci Kopernika. Charakterystyczny dla scenicznych wizji Weremczuka jest sposób przechodzenia z jednego planu do drugiego – dzieje się to przede wszystkim za sprawą muzyki i światła:

Stefan zaczyna grać liryczną melodię, po chwili Wanda śpiewa. Kopernik siada na uboczu wpatrzony w dziewczynę, pogrąża się w myślach. Światło przygasa, gubi całą scenę, jedynie Kopernika „wyciąga" punktowiec. Po chwili melodia skrzypiec przechodzi w klawesyn, gitarę, później organy. Po huku organów znowu liryczny klawesyn i śpiew dziewczyny jak poprzednio. W drugim planie, na podwyższeniu punktowiec z ciemności „wyciąga" piękną dziewczynę w stroju mieszczki. Światło narasta, staje się ostre. Śpiew zanika, dziewczyna gra na klawesynie[21].

Syn słońca bardzo szybko doczekał się scenicznej realizacji – stało się to zaledwie kilka miesięcy po otrzymaniu nagrody na olsztyńskim konkursie. Prapremiera dramatu odbyła się 13 stycznia 1973 roku na deskach Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie w reżyserii Józefa Jasielskiego. Na to tak szybkie przeniesienie dramatu Weremczuka na scenę złożyły się co najmniej dwie sprzyjające okoliczności. Po pierwsze, w roku 1973 przypadała 500. rocznica urodzin Mikołaja Kopernika i rok ten został ogłoszony przez UNESCO rokiem wybitnego astronoma, zatem dzięki realizacji *Syna słońca* lubelski teatr mógł się włączyć w te obchody. Po drugie, jednym z założeń programowych ówczesnego dyrektora naczelnego i artystycznego Teatru im. Juliusza Osterwy, Kazimierza Brauna, było prezentowanie na scenie dokonań autorów lubelskich. Sztuka Weremczuka była trzecią z kolei w ramach tego cyklu[22], ale, jak podkreślano po premierze, pierwszą powojenną premierą sztuki miejscowego autora na dużej scenie[23].

Jasielski podzielił *Syna słońca* na trzy części: spotkanie Kopernika z chłopami warmińskimi w karczmie, walkę z Krzyżakami i śmierć astronoma. Ujął je w klamrę wizji scen z różnych okresów życia Kopernika. Jak zauważyła Anna Klimalanka, reżyser „położył szczególny nacisk na wydobycie dynamiczności spektaklu poprzez wprowadzenie szeregu celnych pomysłów inscenizacyjnych"[24], do których zaliczyła przede wszystkim sceny zbiorowe. Podobne uwagi znaleźć można również w opublikowanej na łamach „Sztandaru Ludu" recenzji Wiery Korneluk, która pytała: „«Kaz się tylo luda zmieści»? Ano – w gościnnej chacie same ściany się rozsuwają, a pod ręką reżysera z inwencją dzieje się to samo ze sceną"[25]. Trzeba bowiem przypomnieć, że Weremczuk napisał tekst, w którym na scenie pojawiało się blisko czterdzieści postaci. Siłą rzeczy Jasielski został zmuszony nie tylko do ograniczenia liczby postaci, ale również do obsadzenia kilku aktorów w więcej niż jednej roli, tym samym jednak podkreślony mógł zostać tak istotny w tekście Weremczuka pierwiastek wizyjny. Scenografia i kostiumy Teresy Targońskiej, chwalone w recenzjach jako funkcjonalne („zalecają się dobrym smakiem i ułatwiają sugerowanie widzowi zmian w miejscu akcji") nie wychodziły jednak poza stereotypowe obrazy (Kopernik rodem z obrazu Matejki i ówczesnej dziesięciozłotówki czy Krzyżacy żywcem wyjęci z filmu Aleksandra Forda), tym samym budowanie wizyjności pozostawiono grze świateł i muzyce Jacka Popiołka.

Realizacja została przyjęta przez krytykę dość przychylnie, chwalono przede wszystkim sam temat, sposób ukazania postaci Kopernika na scenie. Wiera Korneluk, opisując grającego główną rolę Romana Kruczkowskiego, zauważyła:

Aktor nie monumentalizuje swego bohatera, odwrotnie – obdarza go ciepłym liryzmem i małymi, sympatycznymi słabostkami. W jego interpretacji Kopernik to człowiek towarzyski, wesoły, niegardzący czasem trunkiem w dobrej kompanii, a równocześnie jest to indywidualność wyraźnie górująca nad otoczeniem. Także wszystko to, co powiedział o nim autor scenariusza jako o uczonym, ekonomiście, patriocie i polityku nie zostało przez aktora zagubione[26].

Z kolei zwykle oszczędnie dozująca pochwały Maria Bechczyc-Rudnicka stwierdziła na łamach „Kameny":

„Syn słońca" miał na celu – wyznaje to autor w programie teatralnym – nie tylko odtworzenie posągowej postaci

[21] Ibidem, s. 12.

[22] Wcześniej na małej scenie Reduta 70 sam Braun zrealizował spektakl *Czasu jutrzennego* oparty na dramacie Józefa Czechowicza oraz *Sprawę majora Hubala* według scenariusza Mirosława Dereckiego.

[23] Zob. (gal) [Alojzy L. Gzella], *Prapremiera sztuki o Koperniku. „Syn słońca" St. Weremczuka w Teatrze im. J. Osterwy*, „Kurier Lubelski" 1973, nr 18.

[24] Anna Klimalanka, *„Syn słońca"*, „Tygodnik Powszechny" 1973, nr 12.

[25] Wiera Korneluk, *Rzecz o Koperniku*, „Sztandar Ludu" 1973, nr 29.

[26] Ibidem.

genialnego astronoma, lecz i ukazanie go jako człowieka biorącego czynny udział w obronie ojczyzny i w codziennych sprawach społecznych. Z przyjemnością stwierdzamy, że to się na pewno udało Weremczukowi, któremu życzymy dalszych sukcesów dramaturgicznych[27].

Natomiast w recenzji napisanej dla „Teatru" ta sama autorka podkreśliła, że spektakl spełnia bardzo dobrze założony cel, jakim było pokazanie Kopernika „za pomocą zobrazowania jak najszerzej i najgłębiej pojętego człowieczeństwa postaci, które powinno być nieprzemijającym wzorem po wszystkie przyszłe lata"[28]. Bechczyc-Rudnicka doceniła również wkład twórców przedstawienia, dzięki którym wizja Weremczuka znalazła swoje odpowiednie przełożenie na sceniczny konkret:

Józef Jasielski, inscenizator „Syna słońca", wyzyskał dla atrakcyjnej realizacji tekstu wiele możliwości kreacyjnych teatru. Zarówno dzięki jego inwencji reżyserskiej, jak talentowi Romana Kruczkowskiego, którego słusznie zaszczycono rolą Kopernika, a także dzięki pieczołowitemu potraktowaniu ogółu postaci przez innych aktorów, widowisko chlubnie spełnia swoje zadanie na lubelskiej scenie i w licznych objazdach.

Kruczkowski gra Mikołaja Kopernika, łącząc udatnie godność ze szlachetną prostotą wielkiego człowieka. Unika nadmiaru gestu. Kładzie natomiast nacisk na wyrazistość najważniejszych znaczeń tekstu. W odniesieniu do całej licznej obsady można na pewno mówić o starannie wypracowanej grze zespołowej[29].

Alojzy L. Gzella dość krytycznie ocenił rolę Romana Kruczkowskiego, pisząc o niej na łamach „Kuriera Lubelskiego":

Niejednolite wrażenia odnosi się, obserwując jego grę. W początkowych scenach aktor – wydaje się – zbyt sprowadził Kopernika z pomnikowej powagi. Jego Kopernik rechocze przy lada okazji i poklepuje każdego po ramieniu. Nie jestem przeciwny zdejmowaniu nawet wielkich z piedestału, ale musi to mieć uzasadnienie. W przypadku Kruczkowskiego nie znajduje dostatecznie przekonujących ku temu powodów. Znacznie bardziej odpowiada mi już propozycja aktora w stosunku do Kopernika starca[30].

Recenzenci zgodnie zarzucali Weremczukowi pewne przegadanie tekstu – pisali o uleganiu „pokusie dopowiadania" (Wiera Korneluk), „niewykraczaniu poza sferę informacyjną" (Alojzy L. Gzella), „akonfliktowości tekstu" (Maria Bechczyc-Rudnicka) czy „braku wyraźnego nerwu dramatycznego" (Anna Klimalanka). Jednocześnie wyżej wspomniani doceniali jednak walory językowe dramatu, aurę poetycką i teatralną wyobraźnię autora.

Sukces *Syna słońca* nie przełożył się na kolejne teatralne osiągnięcia Stanisława Weremczuka. Pomimo iż w jednym z wywiadów wspominał o napisanych kilku luźnych scenkach sztuki współczesnej[31], to kolejne lata nie przyniosły nowych tekstów (poza notatkami rozproszonymi w brulionach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych). Dopiero w 1996 roku, jak dowiadujemy się z notki w leksykonie Jana Smolarza *Współcześni pisarze regionu lubelskiego*, Weremczuk napisał obraz sceniczny poświęcony św. Stanisławowi Kostce *Grałbym dalej*, który został nagrodzony w konkursie organizowanym w Płocku i Przasnyszu. Niestety tego tekstu nie udało się jak do tej pory odnaleźć. Zachował się natomiast niewielki początkowy fragment (zapisany prawdopodobnie około 2005 roku) innego biograficznego dramatu *Błogosławiony* poświęcony beatyfikowanemu w 1999 roku przez Jana Pawła II Stanisławowi Starowieyskiemu – ziemianinowi z Łaszczowa na Zamojszczyźnie, działaczowi Akcji Katolickiej, zamordowanemu przez Niemców w obozie w Dachau.

Następne po *Synu słońca* ukończone i zachowane teksty dramatyczne Stanisława Weremczuka pochodzą z ostatnich lat jego życia. Są to dwie sztuki współczesne – wspomniana już *Tabletka szczęścia* i *Bóg jest samotny*. Pierwszy z utworów powstał na konkurs organizowany na przełomie 2006 i 2007 roku przez Centrum Jana Pawła II w Warszawie na dramat inspirowany życiem, myślą i twórczością Jana Pawła II. Z informacji na stronie internetowej Centrum można było się dowiedzieć, że został on zakwalifikowany do drugiego etapu otwartego konkursu (w którym brali również udział zaproszeni dramaturgowie). Sam Weremczuk wspominał, że pisał ten tekst pod dość dużą presją czasu, a gdy przeczytał antologię *Mrok jak światło* zawierającą nagrodzone w tym konkursie sztuki, skomentował fakt braku wyróżnienia *Tabletki szczęścia* stwierdzeniem, że widocznie jest ona zbyt tradycyjna jak na współczesne gusty.

Ten trzyaktowy dramat mierzy się z wieloma dylematami współczesności, które (podobnie jak w *Hallo! Ziemia!!* czy *Synu słońca*) ukazywane są w podwójnej perspektywie, widocznej również w podziale zarówno przestrzeni, jak i fabuły na dwa plany. W planie pierwszym sztuka przedstawia losy rodziny przedsiębiorców zajmujących się produkcją leków – Rafała i Sylwii Borowickich. Są oni zapędzonymi ludźmi sukcesu – świętują właśnie swoją dwudziestą czwartą rocznicę ślubu oraz niezwykle korzystny kontrakt zawarty z wielkim międzynarodowym koncernem na produkcję przeznaczonej dla kobiet tytułowej

[27] Maria Bechczyc-Rudnicka, *Na dobrej drodze*, „Kamena" 1973, nr 3; przedr. w: eadem, *Uchylanie masek*, Lublin 1974, s. 508.

[28] Maria Bechczyc-Rudnicka, *W stronę młodych*, „Teatr" 1973, nr 8.

[29] Ibidem.

[30] Alojzy L. Gzella, *„Syn słońca"*, „Kurier Lubelski" 1973, nr 24.

[31] Zob. Wiera Korneluk, *Przedstawiamy. Stanisław Weremczuk – działacz i poeta*, „Sztandar Ludu" 1973, nr 41.

→

tabletki szczęścia, która pozwala dłużej zachować młodość, daje dobre samopoczucie, a jednocześnie ma działanie antykoncepcyjne. Pomimo zastrzeżeń pobożnej matki Rafała, Borowiccy podpisują kontrakt i przy wsparciu zaprzyjaźnionego posła chcą rozpocząć produkcję. W tle słyszymy o przygotowaniach do pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski. Przez przypadek Rafał znajduje się na trasie przejazdu papieża i pod wpływem chwilowego spotkania przeżywa przemianę; najpierw zaszywa się w Bieszczadach, a później zrywa kontrakt. Oburzona Sylwia postanawia pozbyć się zdziwaczałego, jej zdaniem, męża i samodzielnie uruchamia produkcję. O dziwo sprzeciwiają się temu jej dzieci – studentka dziennikarstwa Paulina (na początku dumna ze swego zaangażowania w swój jak najbardziej politycznie poprawny bunt polegający na promowaniu tiszertów z hasłami typu „Nie chodzę do kościoła", „Jestem gejem" *etc.*) oraz syn Eryk – informatyk przekonany o tym, że najważniejszy w życiu jest indywidualny sukces. Dostrzegają oni w przemianie ojca autentyczne zaangażowanie i pomimo dystansu wobec Kościoła i papieża nie godzą się na cyniczne pozbawienie Rafała wpływu na losy firmy. Kiedy jednak okazuje się, że Sylwia, przejmując udziały męża w firmie, działała bezprawnie, a tym samym cały interes związany z produkcją tabletki szczęścia może zostać zaprzepaszczony, jej biznesowi i polityczni wspólnicy sprawiają, że Borowicki ginie w wypadku. Opuszczona przez dzieci *businesswoman* próbuje popełnić samobójstwo; uratowana przez sekretarkę, kilka miesięcy dochodzi do siebie, a w tym czasie jej stosunek do świata ulega diametralnej przemianie. Kończy produkcję tabletki, nawraca się i godzi się z dziećmi.

Równolegle na drugim planie pojawiają się demoniczne postaci, którym przewodzi Pierwszy. To one projektują i monitorują wprowadzanie zmian w życiu społecznym, eliminując z niego to, co wyrasta z tradycji i chrześcijaństwa. W krótkich patetyczno-groteskowych intermediach Weremczuk pokazuje swego rodzaju walkę o duszę świata. Największym przeciwnikiem Pierwszego i jego sług okazuje się być Biały (jak nazywają Jana Pawła II). W finale oba plany schodzą się przy łóżku chorej Sylwii, a siły zła, choć nie do końca pokonane, muszą zniknąć wobec twardej prostej wiary matki Karola i dochodzących z radia odgłosów liturgii pogrzebowej Jana Pawła II.

W tym dramacie Weremczuk zabrał wyraźny głos w światopoglądowych dyskusjach współczesności i choć momentami brzmi on może nieco zbyt deklaratywnie, zwłaszcza w wypowiedziach Babci[32], to jednocześnie tekst ten stanowi ciekawy przykład mierzenia się twórcy z niezwykle trudnym do opisania słowami głębokim przeżyciem religijnym, przy jednoczesnym zachowaniu wierności obyczajowemu szczegółowi. Dzięki temu żywe dialogi, choć w typowy dla Weremczuka sposób jednocześnie bardzo literackie, prowadzone przez ciekawie skonstruowane postaci nie tylko prezentują to, jak Borowiccy i ludzie z ich otoczenia piją kawę czy wino, prowadzą biznesowe rozmowy, ale również sugerują bogactwo lub ubóstwo życia duchowego. Dramat ten pokazuje wielowymiarowość ludzkiej egzystencji, to, że nie da się jej wyjaśnić wyłącznie dzięki politycznym, społecznym czy ekonomicznym prawidłom, bo tuż obok i w nas samych toczy się nieustanna walka o zbawienie. Ta umiejętność mówienia o głębokich metafizyczno-egzystencjalnych tematach w kontekście jak najbardziej współczesnych problemów momentami nieco przypomina dramaturgię Paula Claudela czy Romana Brandstaettera.

Podobną problematykę porusza drugi z późnych dramatów Weremczuka – *Bóg jest samotny*. Tym razem jednak autor napisał sztukę w pełni realistyczną, zrezygnował z wizyjności, a co za tym idzie także z podziału fabuły i przestrzeni sceny na dwa plany. Według didaskaliów „rzecz dzieje się współcześnie", pojawiające się w tekście realia wskazują na koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku lub początek wieku XXI. Fabuła osnuta jest wokół losów dwojga młodych ludzi – 26-letniej doktorantki Barbary Żarnowiec i 30-letniego biznesmena Karola Zagórnego. Oboje odnieśli już w życiu sukces – Basia zdobyła europejską nagrodę za swój doktorat, a Karol dorobił się sporego majątku, dzięki któremu przejął największe zakłady przemysłowe w mieście. W interesach cyniczny i bezwzględny, żywi jednak szczere uczucie wobec dziewczyny, która zamiast kariery naukowej postanawia wstąpić do klasztoru klauzurowego. Z jej decyzją nie zgadzają się rodzice i wobec braku ich zgody Basia angażuje się w działalność społeczną i zakłada fundację. Jej działalność hojnie wspiera Karol, który choć nie jest gorącym chrześcijaninem, z pewną przekorą wobec dominujących we współczesnej kulturze tendencji finansuje różnego rodzaju działania propagujące tradycyjne wartości. Niestety, jego sukcesy biznesowe sprawiają, że lokalni politycy – niejaki poseł Smółka i posłanka Zarakowska – postanawiają dzięki swym wpływom w mediach, urzędach, bankach i sądach zniszczyć dorobek Zagórnego. Po niespełna roku ciągłych kontroli, odmów udzielenia kredytów i kłamliwych insynuacji stale pojawiających się w prasie i telewizji Zagórny okazuje się być bankrutem. Na domiar złego Basia nagle zapada na tajemniczą chorobę i umiera, a Karol dobity tym nieszczęściem popełnia samobójstwo. Ich los sprawia jednak, że przyjaciel obojga – dziennikarz, mizantrop i (jak sam siebie przedstawia) „hreczkosiej" Wiktor – postanawia zaangażować się w sprawy publiczne, by kontynuować działalność fundacji Basi.

[32] Sam autor ustami Rafała komentuje słowa Babci: „Mama mówi jak ksiądz".

Choć sztuka ta może zbyt mocno odwołuje się do melodramatycznych schematów, to jednocześnie zawiera kilka interesujących elementów. Przede wszystkim znowu udaje się Weremczukowi w dość naturalny sposób, żywym językiem dać wyraz religijnym przeżyciom. Ciekawym tego przykładem jest rozmowa Basi z rodzicami, w której pojawia się tytułowa fraza:

BARBARA Tato, czy ty nic nie widzisz, czy udajesz? Świat rozpada się, materializuje, zamienia w materię. Ludzie nie mają czasu dla siebie, a cóż dopiero dla Boga, którego nie można dotknąć, zobaczyć, wykorzystać dla swojej kariery? Bóg czeka, że ktoś Go zrozumie. Tęskni za nami. Jak mogę Mu odmówić? Bóg jest dzisiaj samotny, jak stary, opuszczony człowiek. Nie chce użyć swojej władzy, bo nas kocha. I tak świat stacza się coraz szybciej. Tylko miłość może go zatrzymać.

MICHAŁ To herezja, dziecko. Jakże Pan Bóg może być samotny? Całe niebo wielbi Pana, patriarchowie, święci, chóry anielskie.

BARBARA Tak, ale Bóg jest samotny tu, na ziemi. Wśród nas. Pragnie przebywać z nami. Do kogo jednak zwróci się, każdy Go odtrąca. Mówi: A jakże, wierzę, chodzę nawet do kościoła. Ale zaraz biegnie do swoich spraw. Kiedy Pan chce z nim iść, pomagać, każdy mówi: Nie, nie! Będziesz mi tylko przeszkadzał! Może i stworzyłeś świat, ale jesteś taki zacofany. Poradzę sobie. I Pan zostaje sam. Nikt Go tak naprawdę nie chce. Nawet wy.

KATARZYNA Basiu, nie wygaduj takich rzeczy…

BARBARA Tak. Kiedy zamierzył zabrać wam córkę, wy mówicie Mu: Nie, nie! Zabierz sobie kogo innego, ona taka zdolna. Nie chcemy być samotni. A Pan mówi przecież do was: Zaufajcie mi, dopiero teraz będziemy radować się razem i nikt nie zostanie samotny[33].

Widać wyraźnie w tym fragmencie, jak Weremczuk nakłada doświadczenie religijne na diagnozę współczesności. Jednocześnie pokazuje, że nawet ludzie wierzący nie są w stanie zaakceptować tego, że Bogu może się ofiarować piękna, wykształcona i mądra dziewczyna, bo jak ironicznie zauważa bohaterka dramatu: „Bogu można oddać jedynie to, co świat odrzuci, co brzydkie i głupie". Jednak poza tak ważną dla autora *Ciemności* problematyką religijną dramat ten dość udanie oddaje również realia społeczne, obyczajowe i polityczne III RP. Postaci posłów jedynie na pierwszy rzut oka wydają się być przerysowane, nie trzeba niestety zbyt daleko szukać, by znaleźć wiele przykładów działań podobnych do tych, jakie podejmują w *Bóg jest samotny* Smółka i Zarakowska wobec niepokornego Zagórnego. Dość interesująco wypadają portrety młodych ludzi sukcesu w I akcie, szkoda tylko, że postać Wiktora, pełniącego rolę swego rodzaju rezonera, momentami za bardzo szeleści papierem. Zresztą warto tu dodać, że bohater ten wskazuje na wyraźny związek tej sztuki z wydaną w 2002 roku przez Weremczuka powieścią współczesną *Słup ognia*, będącą równie surowym rozrachunkiem z realiami III RP.

Inną odrębną grupę w zachowanym dorobku dramaturgicznym autora *Syna słońca* stanowią niewielkie dialogowe teksty o charakterze satyrycznym – ich przykładem jest przede wszystkim publikowany w kilku numerach pisma „Lublin. Kultura i społeczeństwo" *Kabarecik „Miś"*, podejmujący z ironią i dystansem współczesne problemy, zwłaszcza te objęte polityczną poprawnością, jak ekologia czy wielokulturowość. W komputerze zachował się również fragment komedii zatytułowanej *Króle*, której bohaterowie, grając w karty, prowadzą rozmowy na temat protestów obrońców praw zwierząt czy wyższości monarchii nad demokracją, a jednocześnie w aluzyjny sposób komentują aktualne w pierwszych latach XXI wieku wydarzenia i tematy.

Dramaturgia Stanisława Weremczuka stanowi zatem ciekawe i niejednolite zjawisko, jednocześnie jednak jej poetyckość i literackość sprawiają, że współczesny czytelnik czy widz może mieć poczucie jej anachroniczności. Przejrzyste konstrukcje fabularne, wyraziste postaci, dialog cechujący się pewną elegancją stylu nie są tym, co dziś w teatrze i literaturze jest modne. Autor *Ciemności* nie podążał jednak za modą, pisał z myślą o odbiorcy – także i tym, który nie podziela zachwytu nad nowinkami i niekoniecznie śledzi najnowsze dokonania najgłośniejszych scen. A jak uczy historia – nie tylko teatru – formułowane na bieżąco hierarchie i oceny są złudne i niejednokrotnie ulegały odwróceniu. W takiej perspektywie nie można wykluczyć, że dramatopisarstwo Weremczuka może jeszcze kiedyś zostać z szuflad wydobyte.

Prozaik

Podobnie jak poezja i dramaturgia, proza Stanisława Weremczuka również stanowi wielonurtowe i niejednolite zjawisko. Opowiadania, nowele, szkice scenariuszy, próby powieści zapełniają karty wielu pozostawionych brulionów i maszynopisów. Znaleźć można wśród tych tekstów zarówno utwory współczesne, jak i historyczne, a także *science fiction*, realistyczne i fantastyczne, pisane językiem codziennym i poetyzowane.

Wśród tych licznych niepublikowanych dzieł i fragmentów na wyróżnienie zasługuje zachowana w maszynopisie powieść *Rachunek*. Została ona napisana zapewne z myślą o jakimś konkursie literackim – trzy teczki zawierające ten tekst zamiast nazwiskiem podpisane są godłem „Szerszeń". Książka ta opisuje trudne relacje ojca i syna

→

[33] Stanisław Weremczuk, *Bóg jest samotny. Dramat w trzech aktach*, mps komputerowy, s. 10.

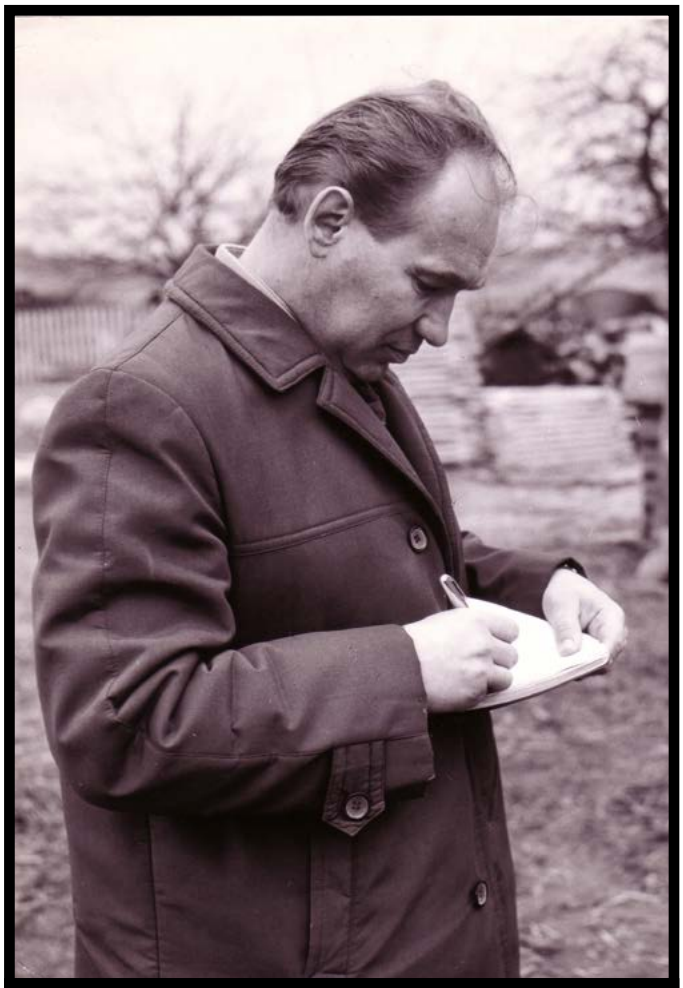

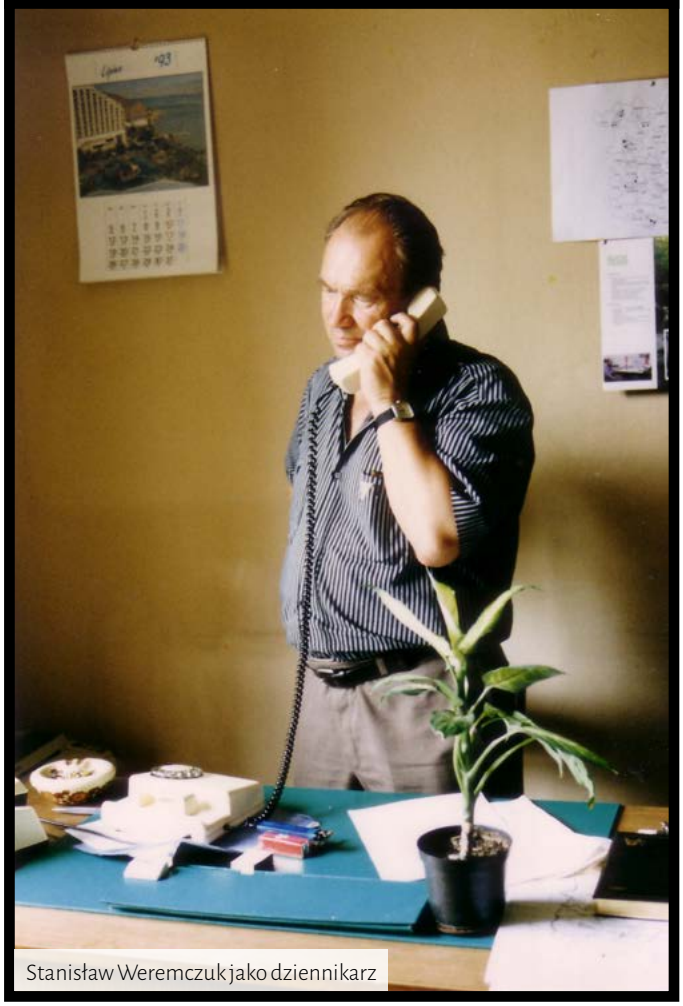

Stanisław Weremczuk jako dziennikarz

wpisane w realia polskiej wsi lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ojciec – gospodarz Marcin, weteran wojny 1939 roku – nie potrafi pogodzić się z marzeniami syna o przeprowadzce do miasta; Piotr z kolei z wolna dojrzewa do decyzji o przejęciu po ojcu gospodarstwa. Pomagają mu w tym trudności, jakie napotyka, gdy wraz ze świeżo poślubioną żoną próbuje sobie ułożyć życie w jakimś miasteczku. Powieść kończy opis pogrzebu Marcina i ostateczna decyzja Piotra o powrocie do rodzinnego domu. Weremczuk pokazuje w tym tekście dojrzewanie do zrozumienia etosu chłopskiego w pokoleniu wychowanym tuż po drugiej wojnie światowej, gdy Polska doświadczyła jednej z największych rewolucji społecznych, kiedy to miliony młodych masowo przenosiły się do miast, zaczynając życie zasadniczo odmienne od tego, jakie wiedli ich rodzice. Warto też wspomnieć, że w *Rachunku* pojawiają się wątki, do których Weremczuk wróci później, pisząc *Ciemność*. Rodzinna miejscowość Piotra nazywa się również Kąty, a niektóre fragmenty dotyczące wojennych losów Marcina zostały wykorzystane przy okazji opisywania udziału Zbyszka w kampanii wrześniowej.

Najważniejszą część dorobku prozatorskiego autora *Ciemności* stanowi proza bliska dokumentowi, bardzo mocno osadzona w realiach i faktach. W 1973 roku, przy okazji premiery *Syna słońca*, w jednym z wywiadów Stanisław Weremczuk mówił:

Można dwojako rzecz potraktować; umieścić postać historyczną w całkowicie fikcyjnej sytuacji, a wtedy łatwiej zająć się budową akcji, dbając o jej dramatyczność itd. Albo: starać się zachować możliwie jak największą wierność wobec autentycznych zdarzeń. Wybrałem tę drugą możliwość[34].

Podobny wybór widać w pierwszej opublikowanej książce prozatorskiej autora *Ciemności – W obronie skarbów wawelskich*, która została wydana w 1974 roku w ramach serii „Miniatury" przez Wydawnictwo Lubelskie. Zawiera ona zbiór reportaży, gawęd i relacji związanych z mało znanym epizodem z września 1939 roku, kiedy to krakowscy muzealnicy przy pomocy chłopów z podlubelskich wsi próbowali z powodzeniem ocalić najcenniejsze wawelskie zabytki (między innymi Szczerbiec i arrasy) przed wpadnięciem w ręce Niemców. W zawartej w tej niewielkiej książeczce krótkiej notce *Od Autora* Weremczuk tak scharakteryzował swoją metodę pisarską:

Opowieść niniejszą oparłem na bezpośrednich relacjach ustnych uczestników lubelskiego epizodu odysei skarbów kultury narodowej. Niech mi darują bohaterowie tej drogi, że w oparciu o fakty, o taśmę magnetofonową czy suchą informację, ustną czy pisaną, pozwoliłem sobie konstruować

[34] Wiera Korneluk, *Przedstawiamy. Stanisław Weremczuk – działacz i poeta*, „Sztandar Ludu" 1973, nr 41.

dialogi, rozwijać ich autentyczne słowa, kreślić atmosferę tamtych dni, a nawet próbować odgadywać myśli. Czy tak mówili? Po trzydziestu pięciu latach jest to pytanie retoryczne, bez odpowiedzi. A jeżeli w tej relacji obok zarysu faktów znajdą cząstkę swych myśli, uczuć i słów, autor będzie rad[35].

Do pisania prozy Weremczuk wrócił w ostatnich latach życia. Po 2000 roku opublikował trzy książki prozatorskie – dwie powieści: historyczną *Miecze ogniste* (2001) i współczesną *Słup ognia* (2002) oraz zbiór szkiców poświęcony dziejom objawień i sanktuarium w Licheniu *Tajemnice Lichenia* (2004). *Miecze ogniste* stanowią zbeletryzowaną wersję wydarzeń związanych z objawieniami Matki Bożej, jakie miały miejsce w połowie XIX wieku w okolicach Lichenia w Wielkopolsce. Książka Weremczuka odniosła spory sukces – doczekała się, jak do tej pory, dwu wydań o łącznym nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy. Napisana jest barwnym językiem, a akcja w niej toczy się zgodnie z najlepszymi konstrukcyjnymi regułami, jednak pod tą dobrze skonstruowaną warstwą fabularną kryje się bogactwo myśli, które mogą umknąć, jeśli skupimy się wyłącznie na burzliwych losach opisywanych postaci.

Miecze ogniste są w podtytule określane jako „powieść historyczna na kanwie wydarzeń grąblińsko-licheńskich". Autor, opierając się na strzępach relacji, notatkach prasowych, a także żyjącej wśród mieszkańców Lichenia, Grąblina i Izabelina tradycji, rekonstruuje historyczne wydarzenia, wplatając w nie losy fikcyjnych bohaterów i wprowadza czytelnika w wydarzenia związane z maryjnymi objawieniami z 1850 roku. Jednak w gruncie rzeczy wartka akcja, wątek miłosny, rzetelne odtworzenie realiów połowy XIX stulecia (na szczególną uwagę zasługuje interesujące przedstawienie codziennego życia wsi polskiej tamtej doby) służą przede wszystkim prezentacji mistycznego doświadczenia, jakie stało się udziałem mieszkańców Lichenia i okolic. Za pośrednictwem małego obrazu wiszącego w lesie i prostego pasterza Mikołaja w ich rzeczywistość wkroczył Bóg. I właśnie to wkroczenie transcendencji w zwykłe ludzkie życie stanowi najważniejszy temat *Mieczów ognistych*, które w swej najgłębszej warstwie są powieścią mistyczną.

Ku mistyce kieruje nas już tytuł książki – ogień, światłość niezwykle często pojawiają się w relacjach ludzi, którzy doznali łaski bezpośredniego objawienia Boga, i właśnie tytuł umożliwia wyjaśnienie roli, jaką mistycznym przeżyciom przypisuje autor. Zadawszy sobie trud odszukania tytułowych mieczy w powieści, znajdziemy je w kluczowym momencie mistycznej „akcji" – w opisie przeżycia, jakiego doznał Widzący Mikołaj po ostatnim objawieniu Matki Bożej:

Klęczał na granicy nieba, ujrzał teraz przed sobą Matkę Bożą w wielkim majestacie Królowej Nieba, z mocą wychodzącą od Boga, wśród błyskawic i iskrzenia mieczów ognistych, gotowych wypalić zło i grzech, Królową rozkazującą hufcom anielskim i mocom niebieskim w wielkiej chwale i wywyższeniu, potężną, niezwyciężoną […][36].

Ogniste miecze, będące atrybutem objawiającej się w całym swym majestacie Maryi, uświadamiają Widzącemu nadprzyrodzoną siłę, która przenika wszystkich i wszystko. Bohater klęczący na granicy nieba i ziemi rozpoznaje wielkość Boga i rzeczywistą wartość wszystkich doczesnych zabiegów.

Transcendencja, wkraczając w historię narodu i w życie pojedynczych ludzi, przywraca zatem utracony ład, porządkuje świat, jasno wskazując jego sens i cel. Tytułowe miecze ogniste oddzielają dobro od zła, są narzędziem przemiany doczesnej rzeczywistości w wieczną. Dotknięcie Boga nie tylko jest w stanie uzdrowić chore ciała i dusze, sprawić, by na miejscu zrujnowanego kościółka w podupadłej wiosce na końcu świata powstało jedno z największych w Europie sanktuariów, ale chyba przede wszystkim pokazać, że „to wszystko, co jest wokół, ma służyć wrastaniu w wieczność, że dzisiaj, każdego dnia zarabia się na wieczność, jak tu na dożywocie albo na strawę codzienną, co dobre zostanie i przyda szczęśliwości, co złe ciążyć będzie i domagać się pokuty"[37].

Podobna głęboka wiara w paralelność ludzkiej egzystencji, której nie można spłycić do jednego, materialnego wymiaru, pojawia się również w kolejnej powieści Weremczuka – w *Słupie ognia* z 2002 roku. Pozornie poza tytułem niewiele ją łączy z *Mieczami ognistymi*, jej akcja rozgrywa się współcześnie w Lublinie i okolicach (niektórzy próbowali się nawet doszukać w tej książce osobowego klucza) i opisuje przede wszystkim samotną konfrontację dziennikarza Wiktora z wszechwładnym lokalnym „biznesmenem", który obok legalnych interesów prowadzi szeroko zakrojoną działalność przestępczą. Daje się zauważyć także odmienność struktury *Słupa ognia* – w powieści tej jest znacznie więcej dygresji, komentarzy dotyczących otaczającej nas rzeczywistości, w narrację wplecione zostały listy obydwojga bohaterów, które retrospektywnie ukazują przeszłość oraz służą pełniejszej prezentacji ich portretów psychologicznych. Warto jest zwrócić uwagę na te fragmenty, gdyż nakreślony w nich obraz miłości dwojga ludzi – subtelnej i delikatnej, która ponad chwilowe uniesienia przenosi poczucie odpowiedzialności

[35] Stanisław Weremczuk, *W obronie skarbów wawelskich*, Lublin 1974, s. 142.

[36] Stanisław Weremczuk, *Miecze ogniste. Powieść historyczna na kanwie wydarzeń grąblińsko-licheńskich*, Lublin 2001, s. 160.

[37] Ibidem, s. 161.

→

i prawdziwy szacunek dla drugiego człowieka – stanowi niezwykłą rzadkość w dzisiejszej literaturze.

Jest to tym bardziej widoczne, że subtelność uczuć kontrastuje w powieści z prezentacją polskiej rzeczywistości po 1989 roku, która rozmija się z idealistycznymi oczekiwaniami głównych bohaterów. Jednak i w tym świecie skorumpowanych polityków, rozwichrzonych żądz tak naprawdę ostanie słowo należy do tego, co istnieje poza czasem. Punktem zwrotnym w życiu Wiktora okazuje się bowiem wypadek samochodowy, w wyniku którego poznaje on w bezpośrednim doświadczeniu, że śmierci nie ma, a czas i przestrzeń istnieją tylko jako ograniczone wymiary. Podobnie jak w poprzedniej powieści, tytułowy słup ognia odnajdujemy właśnie w kluczowym dla bohatera momencie. Tym razem płomień powstały po wybuchu samochodu uświadamia mu, że każdy z nas ma wytyczoną przez Boga drogę ku szczęściu, z której można zboczyć, by pójść własną drogą. Świadomości błędu (czy raczej grzechu) towarzyszy pełne rozpoznanie egzystencjalnej sytuacji bohatera, jakie osiąga on w mistycznym olśnieniu. Zatem podobnie jak w *Mieczach ognistych*, mistyka wprowadza ład w życie człowieka, wyznacza na nowo drogowskazy, przywraca właściwy sens i cel jego wędrówki.

Mistyczne przeżycia Wiktora – bohatera *Słupa ognia* – podobnie jak i niezwykłe wydarzenia, których świadkami są mieszkańcy Lichenia i okolic, nie zmieniają jednak doczesnego padołu łez w nowy Eden jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – nawet w czasie cudów w grąblińskim lesie znaleźli się i tacy, którzy chcieli na pielgrzymach zarobić, sprzedając im wódkę… Cud bowiem nie działa automatycznie, pozwala natomiast zetknąć się z tajemnicą, która wymaga od nas więcej niż tylko zwykłego zdziwienia czy bezmyślnego gapiostwa. Dlatego autor *Mieczów ognistych* i *Słupa ognia* nie pisze pocieszających baśni, lecz stara się czytelnikowi przybliżyć Nieznane, uzmysłowić, że bez „drugiej przestrzeni", by użyć określenia Czesława Miłosza, nasze życie nigdy nie osiągnie pełnego wymiaru.

To przenikające całą twórczość Stanisława Weremczuka dążenie daje się dostrzec również w ostatniej, wydanej już po śmierci autora, powieści *Ciemność*. Akcja tej powieści rozgrywa się we wsi, której położenie i topografia odzwierciedlają rodzinną wieś Weremczuka – Derewiczną k. Komarówki Podlaskiej. Jednocześnie jest ona swego rodzaju kosmiczną *axis mundi* – osią świata, wokół której ogniskują się najważniejsze wydarzenia przekraczające często zwykłe, doczesne doświadczenia bohaterów. Stąd tak wiele uwagi poświęcił autor na przykład niezwykłym zjawiskom na niebie obserwowanym przez Teodora w noc wigilijną w 1938 roku czy popularnej podczas okupacji tak zwanej „przepowiedni Wernyhory". Wszystko to jest nie tylko świadectwem wierzeń prostych ludzi, ale przede wszystkim pozwala na wprowadzenie do powieści innej, ponadhistorycznej perspektywy.

Sam Weremczuk o swojej książce niewiele mówił, nawet najbliższym (jak to zwykle zresztą miał w zwyczaju), tym cenniejsza wydaje się być krótka wzmianka, zawarta w liście do siostrzeńca – ks. Romana Wiszniewskiego, w której wyjaśnił nie tylko tematykę, ale przede wszystkim intencje powstającego dzieła:

Piszę książkę o latach okupacji w naszych stronach rodzinnych, przerwałem pisanie, ale teraz znowu wróciłem i wkrótce ją skończę. Nie jest to dokument, ale powieść historyczna (to już 65–70 lat dochodzi!), oparta na faktach, ale też rozszerzona o wątki, które można określić fikcją literacką, związaną jednak ściśle z tematem. Wszystko tak jak zapamiętałem, a później mogłem skorygować z dokumentami oraz pamięcią innych. Jednym z takich wydarzeń był mord w Rudnie. Chcę tę pamięć zostawić swoim dzieciom i młodemu pokoleniu, szczególnie z naszych stron.

Ciemność jednak nie jest wyłącznie książką wspomnieniową. To raczej powieść będąca zapisem stanu świadomości nie tylko autora (którego autoportretem jest postać chłopca – Piotrka), ale także całej galerii postaci zamieszkujących Podlasie na przestrzeni niemal stu lat. Pomimo bowiem, iż akcja powieści toczy się w latach 1939–1944, pamięć jej bohaterów obejmuje niezwykłe dzieje tych ziem, począwszy od prześladowań unitów w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Korzystając z wielu zasłyszanych opowieści, Weremczuk, zgodnie ze swą pisarską metodą, stworzył fabułę, w której ożywił osoby przywołane z pamięci i kart historii. Jedną z kluczowych postaci *Ciemności* jest bohater będący literackim portretem ojca autora – Wiktora Weremczuka, występujący tu pod rzadkim w prozie i dramacie autora *Słupa ognia* imieniem Teodor. Być może zatem imię to należy do kategorii tak zwanych „mówiących", a znaczy ono „obdarowany przez Boga". Dary te to nie tylko rodzina i wzrastająca dzięki ciężkiej pracy zamożność; to także niezwykłe spojrzenie bohatera na rzeczywistość – zarówno historyczną, jak i tę egzystencjalną – w kategoriach odwiecznego ładu wyznaczanego przemianami natury, stale na nowo odkrywanym i przeżywanym rokiem liturgicznym. I o takiej, ginącej niestety dziś umiejętności spojrzenia na świat i człowieka Stanisław Weremczuk przypominał nie tylko w swej twórczości.

Jarosław Cymerman

RYSZARD KORNACKI

Powroty w dzieciństwo

Pamiętam dni przed progiem Wigilii
gdy pisaliśmy list do świętego Mikołaja
na papierze bielutkim jak opłatek.
Mama urobiona po łokcie
piekła świąteczne ciasto,
którego nie wolno było nawet
polizać - owoc zakazany.

Pachniało wokół migdałami i rybą
a choinka miała jak zwykle
honorowe obywatelstwo w domu
niezależnie od pochodzenia
I zamieszkania.

Ona była lasem tajemnym,
schronieniem Dzieciątka
przed okropnym Herodem -
czarodziejem strachu.
Wołaliśmy wtedy
do pierwszej gwiazdki
tańczącej na niebie w takt
kolędy „Anioł pasterzom mówił"
aby go zaklęła.
Najlepiej w czarnego bałwana.

Tamten czas zatrzymał się
nie tylko na krawędzi wspomnienia.
Ciepło, które ukryło się wtedy
w sercach
trwa do dziś.

Dziewczynka z zapałkami

Motyw z baśni Andersena

Górami
Śnieżnymi wierchami
Śpiewnymi dolinami
Posrebrzanymi lasami
Wędruje bosa dziewczynka
z zapałkami.

Chce ogrzać w lichej stajence
Jezusiczkowe serce

Hej!

Pod progiem stajenki

Stasiowi i Poli - prawnukom poświęcam

Pod progiem stajenki
gwiazdy jak panienki.
Srebrne suknie noszą
i kolędę głoszą

Bo na sianie w żłobku
Misterium zaczyna
rączki wyciągając
Maleńka Dziecina
Do Maryi Matki
niczym dwa opłatki

Pasterze śpiewają
Królowie klękają
Pląsają Anieli
I świat się weseli.

Jan
Gurba

Jubileusz Alojzego Leszka Gzelli

30 czerwca 2017 r. Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki (LTMK) zorganizowało w Wojewódzkiej Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego przedwieczerz bibliofilską związaną z 85. rocznicą urodzin swego członka Alojzego Leszka Gzelli. A. L. Gzella jest popularnym w Lublinie dziennikarzem, publicystą, autorem wielu artykułów i książek o ludziach Lublina i Lubelszczyzny, współpracownikiem redakcji „Lublin. Kultura i społeczeństwo" od 1. numeru, który ukazał się w 2004 roku.

Urodził się 19 czerwca 1932 r. w Pelplinie (woj. gdańskie). Z rodziną, wypędzeni przez Niemców z Pomorza, znaleźli się w Warszawie. Późniejszy harcmistrz jako 12-letni chłopiec uczestniczył w Powstaniu Warszawskim w drużynie pocztowej Szarych Szeregów. Maturę zdał w liceum w Lubawie w 1950 r. W latach 1950–1955 studiował polonistykę na KUL. Po rocznej pracy w Centralnym Instytucie Dokumentacji Naukowo-Technicznej w Warszawie rozpoczął w 1956 r. pracę dziennikarską, początkowo w lubelskim oddziale „Słowa Powszechnego", a w latach 1957–1981 w „Kurierze Lubelskim", którego był współzałożycielem i jednym z pierwszych pracowników. Zajmował się przede wszystkim publicystyką kulturalną. Od 1980 r. (do 1992) był prezesem lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Był współzałożycielem „Solidarności" SDP. Jako działacz opozycji demokratycznej wchodził w skład Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego i działał w komisji ds. Komunikacji Społecznej. Po wprowadzeniu stanu wojennego utracił prawo wykonywania zawodu. Przez prawie 10 lat współpracował z Kurią Biskupią, redagował m.in. „Wiadomości Diecezjalne", działał w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych i w Klubie Katolickim.

Od 1990 do 1995 był redaktorem naczelnym „Dziennika Lubelskiego", następnie po przejściu na emeryturę w 1997 roku pracował jako dziennikarz w „Dzienniku Wschodnim". Był w 1990 roku współzałożycielem Lubelskiego Klubu Rotary, jego prezydentem (1990–1991) i gubernatorem polskiego dystryktu (1998–1999). W 1991 r. założył drugie w Polsce Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy w Lublinie. Przez 21 lat wykładał na KUL prasoznawstwo. Był pierwszym laureatem Akademickiego

Lauru Dziennikarskiego ustanowionego w 2014 r. przez trzy lubelskie uczelnie – KUL, UMCS i WSPA (Wyższą Szkołę Przedsiębiorczości i Administracji). Jest wieloletnim jurorem w konkursie Wojewódzkiej Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego na najpiękniej wydaną książkę roku.

Bibliofil, od 1965 r. jest członkiem LTMK (początkowo w Kole Miłośników Książki i Ekslibrisu PTAiN), był sekretarzem Zarządu (2002–2014). Należy do aktywu Towarzystwa, co uwidocznił Zbigniew Jóźwik w poczwórnym ekslibrisie wykonanym dla Niego, Stefana Wojciechowskiego, Henryka Gawareckiego i Jana Gurby. Był współinicjatorem odnowienia Orderu Białego Kruka, sam jest Kawalerem Orderu Białego Kruka ze Słonecznikiem (numer kolejny 7) przyznanym mu w 1976 r. i od tego roku jest członkiem Kapituły Orderu.

Uroczystą przedwieczerz rozpoczął Członek Zarządu LTMK Andrzej Malinga. W okolicznościowej laudacji odczytał z najnowszego numeru „Gazetki Pisanej Andrzeja Malingi […]" (nr 6/74, 2017) utwór „Starość Przychodzi" o rozczarowaniach, ale i pochwale starości. Zadeklamował również własny wiersz, w którym wyraził nadzieję, że Jubilat na swą uroczystość przyniesie nalewkę z tarniny. Jubilat przebił najśmielsze oczekiwania: przyniósł przepyszny wielki tort. W imieniu zebranych prezes Jan Gurba złożył Jubilatowi, wymieniając prawie wszystkie jego profesje, najserdeczniejsze życzenia. Następnie wiceprezes, Zbigniew Jóźwik, rozdał wszystkim obecnym okazjonalny druk, w którym uwypuklono ozdobione rysunkami trzy najważniejsze daty w życiu Jubilata: dzień urodzin, czas Powstania Warszawskiego i jubileuszowy rok bieżący. Jubilat obdarował zainteresowanych kilkunastoma książkami swego autorstwa.

A toastom i życzeniom nie było końca.

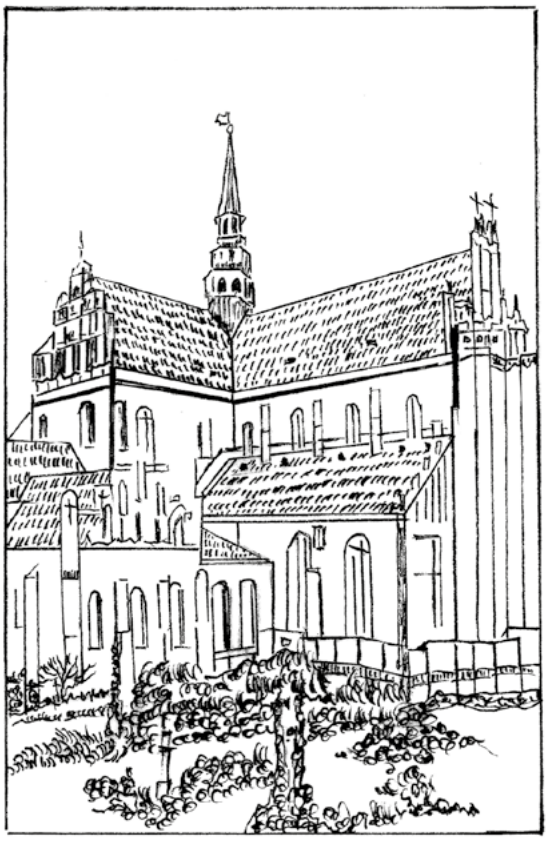

rys. Zbigniew Jóźwik

Pelplin 19 czerwca 1932 r.

rys. Zbigniew Jóźwik

Warszawa sierpień 1944 r.

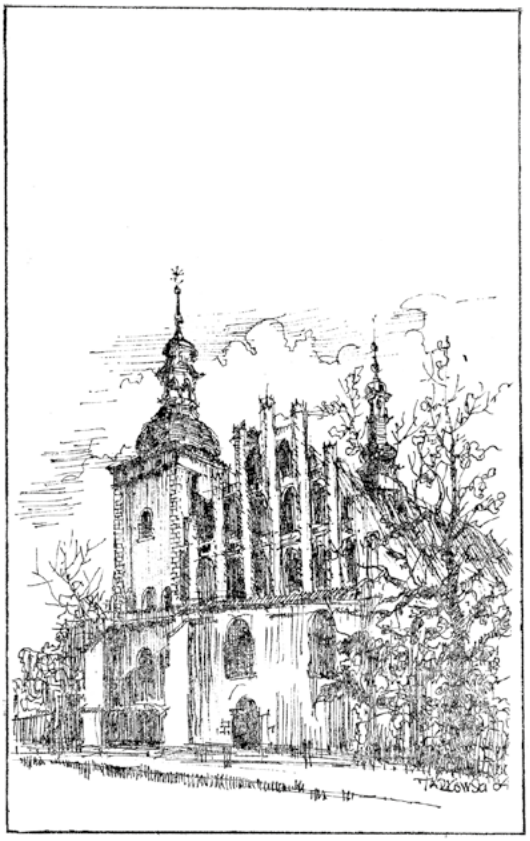

rys. Józef Tarłowski

2017
prawie już 70 lat w Lublinie

rys. Zbigniew Jóźwik

Zawód: dziennikarz

Rozmowa z Alojzym Leszkiem Gzellą

– Kiedy pan postanowił zostać dziennikarzem?

– To nie jest takie proste pytanie. Gdybym je trochę zmienił, odpowiedziałbym, że dość wcześnie interesowała mnie w ogóle prasa. W dzieciństwie miałem dostęp do czasopism przeznaczonych dla najmłodszych. Były to pisma katolickie ukazujące się w Poznaniu, a dostępne w całej Polsce. Na półce regału, tej najniższej, stały oprawione roczniki „Małego Katolika", „Pielgrzyma". Przeglądałem je z zainteresowaniem. Ale może najbardziej intrygowały mnie – to już nieco później – konspiracyjne biuletyny w okupowanej Warszawie, gdzie w czasie wojny mieszkaliśmy wygnani z Pomorza. Znajdowałem się w kręgu ludzi związanych z konspiracyjnym Związkiem Zachodnim. W domu egzemplarze biuletynu były ukrywane przez rodziców w ciemnym przedpokoju pod szafą. Zaglądałem do nich z dużymi emocjami. Nie chodziło o treści biuletynów, ich nie czytałem, ale o sam fakt ich posiadania.

A w czasie Powstania Warszawskiego kilkakrotnie w ramach obowiązków służby jako „listonosz" w Szarych Szeregach z konspiracyjnej drukarni przy ul. Kruczej do naszej harcówki na Wilczą 41 przynosiłem powstańczy biuletyn. Czasami trzeba było czekać na zakończenie druku. Z maszyny drukarskiej uruchamianej przez drukarza pedałami pojawiały się arkusze zadrukowanej gazety. Zapach farby, stukot maszyny, uwijanie się drukarzy… To było coś fantastycznego. Z wydrukowanymi gazetami szybko się biegło uliczkami, żeby dostarczyć je do pocztowej bazy. Może to wpłynęło na późniejsze decyzje wyboru profesji?

Po studiach polonistycznych w KUL (ze specjalnością bibliotekarską, edytorską i pedagogiczną) w moim rodzinnym regionie szans wielkich na pracę nie miałem. Po kilku miesiącach starań udało mi się, dzięki kolegom, dostać pracę w warszawskim CIDNT (Centralny Instytut Dokumentacji Naukowo-Technicznej) przy al. Niepodległości 122. W zespole bibliotecznym byłem jedynym magistrem, dyrektor obdarzał mnie przyjaznym zaufaniem. Zajmowałem się m.in. korektą biuletynu CIDNT. Ale trwało to stosunkowo krótko, bo w grudniu 1955 r. pojawiła

Fot. Marek Dybek

się możliwość uczestnictwa w wysokogórskiej wyprawie taternickiej granią Tatr. To była pierwsza po latach taka szansa i taka wyprawa wzdłuż granic państwowych. Ona mnie skusiła. Byłem członkiem Klubu Wysokogórskiego i jego współzałożycielem w Lublinie, którego prezesem był tu dr Paweł Czartoryski z KUL. Miałem możliwość uczestniczenia w tej wyprawie. Kłopot w tym, że jeszcze nie minęły trzy miesiące od rozpoczęcia pracy w Instytucie. Urzędnik w administracji, personalny, odmówił mi udzielenia urlopu, nawet bezpłatnego, na czas górskiej ekspedycji. Nie przysługiwał mi. Niewiele zastanawiając się, złożyłem wymówienie z pracy.

Dzięki wsparciu kolegów podjąłem pracę w redakcji „Słowa Powszechnego", tworząc realny pretekst funkcjonowania oddziału w Lublinie. Już w czasie studiów ukazały się w dwutygodniowym dodatku dziennika pt. „W Oczach Młodych" m.in. moje informacje, recenzje wydanych książek. Teraz był rok 1956, rok prawie rewolucyjnych zmian w kraju. W jesieni wśród dziennikarzy lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pojawił się projekt utworzenia drugiej, obok „Sztandaru Ludu", gazety lokalnej. Istniała mutacja „Życia Warszawy" wychodzącej jako „Życie Lubelskie", ale to była tylko jedna kolumna gazety macierzystej. Po wojnie Lublina nie stać było na dwa dzienniki. Teraz rodził się pomysł utworzenia lokalnego pisma, popołudniowej ekspresówki, któremu nadaliśmy tytuł wywodzący się z tradycji – „Kurier Lubelski". Tę propozycję

zgłosił red. Jerzy Turżański. W sumie do zakończenia II wojny było w Lublinie 13 czasopism o tym tytule. 24 marca 1957 r. ukazał się pierwszy numer naszego „Kuriera". Znalazłem się w gronie prawie 20 osób tworzących nową gazetę i zajmowałem się od początku sprawami kultury. W zespole był jeszcze jeden absolwent polonistyki KUL Czesław Klepacki oraz studiujący filozofię na tej uczelni Andrzej Malinowski. Fakt, że aż trzech absolwentów katolickiej uczelni, w nowo powstającej redakcji, to był znak owych zmian w tamtym czasie. Wcześniej „pokulowscy" mieli poważne trudności w znalezieniu pracy.

– Pański pierwszy tekst w „Kurierze"…

– Były to drobne informacje, a większy materiał poświęciłem ówczesnemu Domowi Kultury na Zamku Lubelskim. Tam, po likwidacji więzienia, zlokalizowano WDK kierowany przez wspaniałą działaczkę w instytucjach kulturalnych Irenę Szczepowską. W moich zbiorach mam komplet „Kuriera Lubelskiego" od pierwszego numeru do „ostatniego", tzn. do 13 grudnia 1981 r., kiedy stan wojenny przerwał tok pracy i zakłócił normalność. Dodam, że również w tym zestawie są pierwsze wersje redakcyjne dziennika i te numery, w których cenzura dokonała ingerencji i trzeba było informację czy jej część wymienić.

– Nie wszystko się udaje w pracy dziennikarskiej. Czy dotknęły Pana przykrości z powodu publikacji?

– Raczej mogę mówić o zdarzeniach czy wręcz przygodach z racji prasowych publikacji. Zapowiadaliśmy w „Kurierze" różne imprezy organizowane w mieście. Prawie co tydzień działo się coś ciekawego w ówczesnym Klubie MPiK na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Wróblewskiego. Gościem jednego ze spotkań miał być francuski historyk, który odwiedził Polskę. Zaplanowano także kilka jego spotkań w terenie, w tym w Lublinie. Temat miał dotyczyć francusko-polskich kontaktów w wieku XIX. W redakcji ustaliliśmy, że damy w gazecie krótkie sprawozdanie z tego spotkania. Redaktor dyżurny na makiecie strony 4 zostawił 56 wierszy na tekst plus 20 wierszy na dwuszpaltowy tytuł. Miałem napisać sprawozdanie i goniec czekał, żeby koło godz. 21 wraz z materiałami odnoszącymi się do sportu, dostarczyć je do drukarni na ul. Unicką.

Spóźniłem się do Klubu MPiK i – dziwo! – drzwi wejściowe były zamknięte. Przez chwilę krążyłem od drzwi do okien na Wróblewskiego, ale nie widziałem nikogo, kto mógłby drzwi otworzyć. Sala była pełna słuchaczy, wszystkie miejsca siedzące zajęte, a w korytarzu stało kilkanaście osób. Prelegent żywo gestykulował i szybko mówił. To można było przez szyby okien zobaczyć. Co robić, tam w redakcji czekają na zapełnienie strony tekstem na 56 wierszy. Zdecydowałem. Wróciłem do redakcji, napisałem relację w stylu pochwały i zachwytu nad prelekcją i prelegentem. Zmyśliłem, co mówił, bo tytuł prelekcji widniał na zaproszeniu. Goniec z tekstem pobiegł do drukarni, ja spokojnie pojechałem do domu.

Następnego dnia w południe nowy numer „Kuriera" dotarł do redakcji. Sekretarz redakcji Jerzy Turżański, zawsze krytycznie oceniający informacje, burknął: „– Nachwaliłeś tego faceta". Nie podjąłem tematu rozmowy, aż do… telefonu od kierowniczki Klubu p. Jerzynowej, która z przerażeniem oznajmiła, że w całym sprawozdaniu nie ma ani jednego słowa prawdy. Zamiast gościa z Francji na spotkanie przyjechał, w jego zastępstwie, pracownik z UW. Bomba! Najwięcej czasu zajęło mi pisanie sprostowania. A i tak w najbliższym programie kabaretu „Czart" autor satyrycznych tekstów Władysław Ćwik (prof., UMCS) napisał inteligentnie złośliwą fraszkę m.in. tak brzmiącą: *A w „Kurierze" tylko Gzella, gaffy strzella!?*

– W jakiej sytuacji został Pan naczelnym „Dziennika", w jakiej przestał szefować temu dziennikowi?

– Na fali zmian i przekształceń po roku 1989 likwidator RSW Prasy w Lublinie, dr Krzysztof Stefaniuk zaproponował mi objęcie stanowiska naczelnego w „Dzienniku", który już od pół roku decyzją powstałej z inicjatywy pracowników redakcji spółdzielni dziennikarskiej zmienił nazwę „Sztandaru Ludu" na „Dziennik Lubelski", potem „Dziennik Wschodni".

Po utracie możliwości pracy w dziennikarstwie w latach osiemdziesiątych (stan wojenny i lata następne) znalazłem azyl w Lubelskiej Kurii Biskupiej, gdzie w wydziale prowadzonym przez ks. Mieczysława Bochyńskiego kierowałem – wówczas bardzo obiecująco się rozwijającym i aktywnym – Duszpasterstwem Środowisk Twórczych w diecezji. Pisałem i nawet przez pewien czas współredagowałem (1988–1989) miesięcznik pt. „Wiadomości Diecezjalne Lubelskie". Dr Krzysztof Stefaniuk proponował mi też „Kurier Lubelski", ale nie umiałem przełamać w sobie pewnej pretensji i żalu do zespołu kolegów, z którymi w 1957 roku tworzyliśmy tę gazetę i zaczynaliśmy razem pracę. Gdy w stanie wojennym wyrzucono nas, kilkunastu dziennikarzy z czynnej pracy w redakcji, na dziewięć lat zostaliśmy pozbawieni prawa do pracy w zawodzie. Spotykały nas różne szykany. Oskarżono mnie np. o kradzież maszyny do pisania. Przecież z dnia na dzień, wieczorem, w niedzielę 13 grudnia 1981 r., redakcję zamknięto na

→

klucz i do budynku, do pięknego pałacyku dra Mieczysława Biernackiego, też redaktora „Kuriera Lubelskiego" w pierwszych latach XX wieku, przy 3 Maja 14, nie mieliśmy dostępu. Rozpanoszyli się tam wybrani pracownicy administracji. W czasie rozprawy sądowej o tę maszynę (!) nie pojawił się nikt z pracowników lubelskiej RSW Prasa. Wstydzili się swoich kłamstw i fałszywych oskarżeń. Sąd pozwolił mi wyjaśnić tę polityczną komedię i tak ją nazwać. Koledzy redakcyjni, którzy uzyskali akceptację wojskowych władz stanu wojennego i powrócili na swoje stanowiska redakcyjne, nigdy nie zainteresowali się, co się dzieje z nami pozbawionymi pracy. Z dwu możliwości wybrałem „Dziennik Lubelski". A tu, gdy zbliżał się czas mojej emerytury, zarząd spółdzielni dziennikarskiej dokonał zmiany na stanowisku szefa redakcji.

– Pański pierwszy tekst w „Dzienniku"…

– „Dziennik Lubelski" to już była inna sytuacja polityczna w kraju. Prasie nadawano status społeczny, niezależny, uwolniony od ogólnopolskiego wydawcy – RSW Prasa. Był rok 1990. Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. utraciłem prawo do pracy w dziennikarstwie. Teraz znaleźliśmy się w nowej rzeczywistości. Zaproponowano mi objęcie stanowiska szefa „Dziennika Lubelskiego", który powstał pół roku wcześniej, przekształcając się ze „Sztandaru Ludu". Pierwszym więc materiałem mojego pióra – po objęciu tego stanowiska – było słowo redaktora naczelnego.

– Największa przygoda dziennikarska…

– Dziennikarstwo to przede wszystkim kontakt z ludźmi, z drugim człowiekiem, często dialog z innymi… I to już jest piękną przygodą. Zdarzało mi się, że kiedy rozmówca zorientował się, że jestem dziennikarzem, odwracał się i zarzekał: „– Przepraszam, z redaktorami nie rozmawiam". I koniec sprawy. Widocznie doznał jakichś przykrości wynikających z wcześniejszych kontaktów z ludźmi mediów. Ale na ogół do redakcji przychodzili ludzie, którzy do prasy mieli zaufanie. A „Kurier Lubelski" cieszył się olbrzymim powodzeniem wśród czytelników. Pracownicy FSC w portierni fabryki mieli do dyspozycji bezpłatne egzemplarze „Trybuny Ludu". Przy zmianie załogi w południe wybiegali, spiesząc się do kiosku, żeby kupić „Kurierek". „Trybuna" pozostawała w nienaruszonych paczkach. W centrum miasta największe kolejki ustawiały się pod kioskami po naszą gazetę. Dochodziło nieraz do kłótni, gdy ktoś z kolejki kupił dwa „Kuriery". Nakłady gazety rosły z miesiąca na miesiąc. Gdy docierały do poziomu gazety partyjnej „Sztandaru Ludu", władze RSW Prasa ograniczały przydział papieru na druk popołudniówki. Do redakcji „Kuriera" przez jakiś czas przychodziła starsza pani, emerytka, mieszkająca przy ul. Cichej po bezpłatny egzemplarz redakcyjny. Później przez dłuższy czas nie pojawiała się. Przyszła natomiast jej córka ze smutną wiadomością, że jej matka zmarła. Nam zaś chciała powiedzieć, że matka przed śmiercią życzyła sobie, żeby do jej trumny włożyć „Kurierek". Wszyscy się wzruszyliśmy. Staraliśmy się zawsze pomóc, jak tylko mogliśmy, potrzebującym. Pamiętam też śmieszne zdarzenia. Kiedyś zjawił się „klient" gdzieś spod Hrubieszowa i chciał rozmawiać z kimś, kto zajmuje się ziemią i kosmosem. Koleżanki działu kontaktów z czytelnikami, podejrzewając w agresywnie zachowującym się czytelniku awanturnika, „na wszelki wypadek" skierowały go do mnie wtedy kierownika działu. Klient wyłuszczył sprawę.

„ – Panie, ziemia rośnie, z roku na rok, i coś z tym trzeba zrobić.

– Co znaczy rośnie, jak rośnie?

– Co roku na pola wywozi się fury gnoju, potem to się zaorywuje. Z każdym rokiem jest tego gnoju i ziemi na Ziemi więcej".

Klient z taką pasją, pewnością siebie przekonywał, że moje wątpliwości i uwagi nie odnosiły żadnych skutków. Po godzinnej rozmowie byłem już wykończony. Starałem się go po prostu „zmyć". Powiedziałem coś w rodzaju spróbujemy się tym zająć i pożegnałem go. Niestety, klient pojawił się w redakcji nazajutrz o tej samej godzinie, co poprzedniego dnia, i dopytywał się, co udało się nam ustalić. A ponieważ nic nam się nie udało, wyrażał dość głośno swoje niezadowolenie. Wpadłem wreszcie na dobry – moim zdaniem – pomysł wyjścia z podbramkowej sytuacji. Powiedziałem, że „Kurier" nie zajmuje się sprawami rolnymi i ziemią, ale w Lublinie istnieje specjalna redakcja od tych spraw. I wymieniłem tytuł „Głosu Ziemi Lubelskiej" oraz podałem dokładny adres: ul. 22 Lipca naprzeciwko Prezydium WRN. Faceta przyjęła red. Sara Nomberg-Przytyk, pracująca tam po październikowych zmianach w kraju, kiedy utraciła stanowisko zastępcy redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu". Wysłuchała historii o rosnącej ziemi i zapytała, kto go do niej skierował.

I wybuchł prawie skandal! Skończyło się to gromkimi konsekwencjami. Zatelefonowała do naczelnego „Kuriera" red. Lesława Gnota, wypłakała się w słuchawkę i wyżaliła, że spotkała ją żywa kpina ze strony dziennikarzy popołudniowej redakcji itp. Jednym słowem awantura. Musiałem wysłać do red. Nomberg-Przytyk bukiet kwiatów i liścik ze słowami przeproszenia.

– Który z lubelskich dziennikarzy był wzorem cnót zawodowych?

W piaskach pustyni...

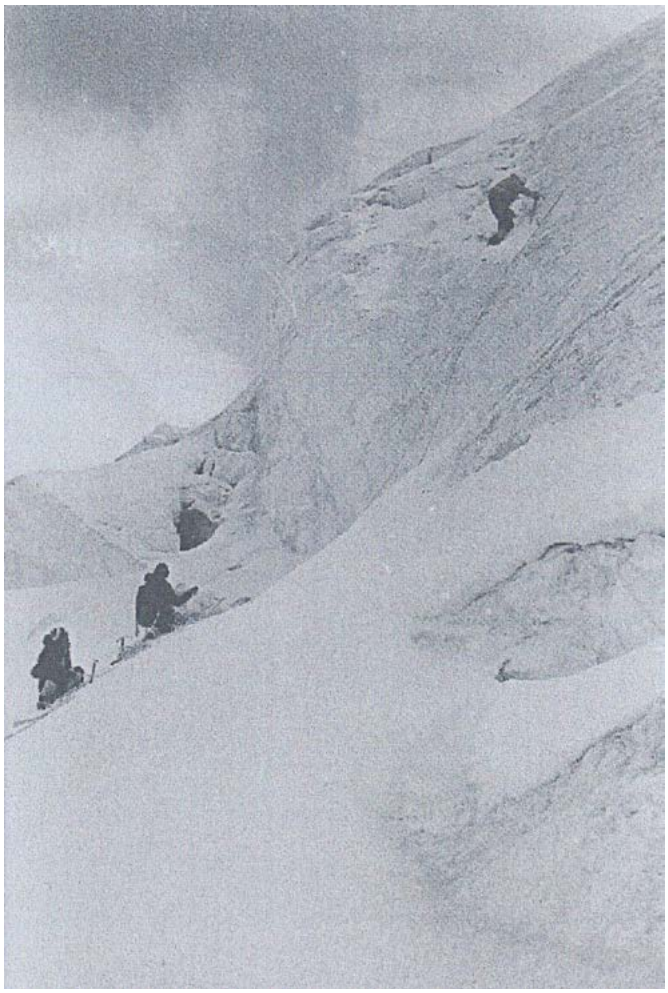

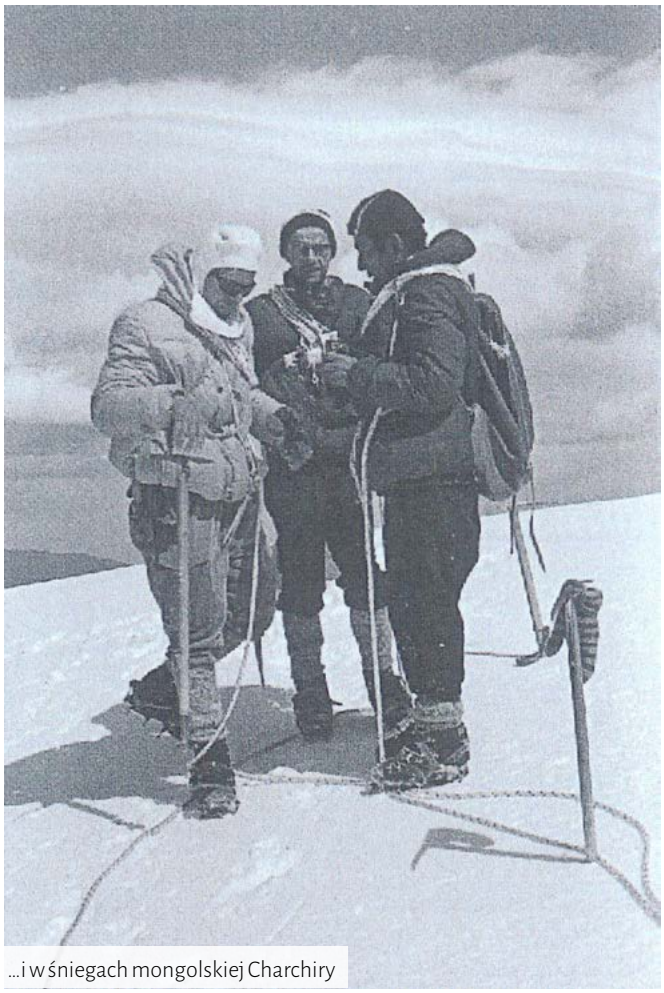

...i w śniegach mongolskiej Charchiry

→

Harcerskie lata młodości...

...lata pracy...

...i czas laurów. Jubilat uhonorowany Akademickim Laurem Dziennikarskim „Aklaud"

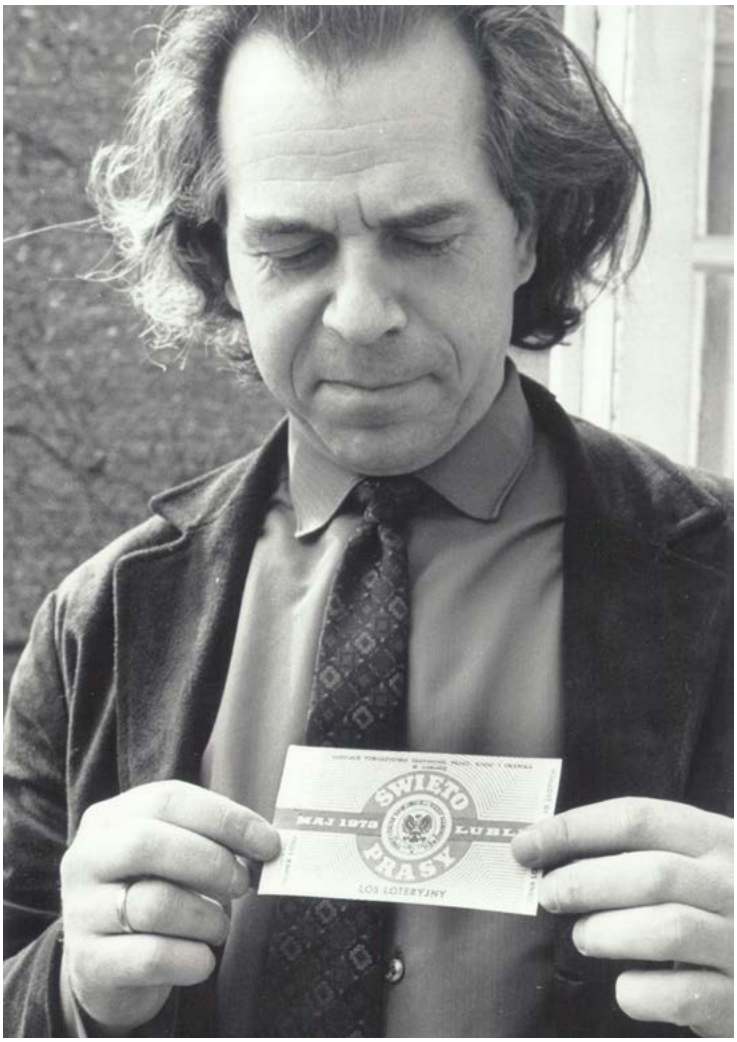

– To trudne, bardzo trudno pytanie. Ono zmierza do ujawnienia bardzo osobistych ocen, a te są przecież skażone subiektywizmem. Ale zastanawiając się i tak szybko

przebiegając w pamięci po pracownikach lubelskich redakcji tego długiego okresu, bo , licząc od 1955 roku, ponad 60-lecia, pewnie nasuwa mi się tylko jedna postać. Myślę o redaktorze Stefanie Ziemnickim z PAP-u. On o sobie mówił – „Prawie całe życie zapisałem w PAP-ie". A pracował w zawodzie dziennikarskim od 1944 do 1999 r. Jeżeli wzór, to na czym ten wzór polegał? Redaktor Ziemnicki umiał szukać i skutecznie wynajdywał informacje. Mówił, że czasami do warszawskiej centrali Agencji wysyłał dziennie kilkanaście różnych informacji z Lublina i Lubelszczyzny. Zdobyć temat to nie tylko podjąć telefoniczną rozmowę z pewnym źródłem, ale też dotrzeć do tych źródeł, oczywiście, na własne oczy dojrzeć to, o czym się napisze. Dziś dziennikarze siedzą wyłącznie przed komputerami i prowadzą rozmowy telefoniczne. Ale najczęściej nie są obecni i naocznie faktów, o których piszą, nie sprawdzają. Stefan umiał zdobyć wiadomości wiarygodne i drogą telefoniczną, ale też starał się dotrzeć osobiście do miejsca wydarzeń, które potem opisywał. Wielekroć spotykaliśmy się niejako „w akcji". Czasami przekazywał nam – dziennikarzom lubelskich gazet – zdobyte wiadomości, których jeszcze nie wysłał do centrali PAP. Zawsze zachęcał do penetracji w terenie. Cieszył się wśród profesjonalistów prawdziwym autorytetem. Dziennikarz nie powinien stronić od służenia swoją radą i wiedzą w różnych społecznych gremiach. Stefan w latach tuż powojennych uczestniczył m.in. w społecznym komitecie odbudowy częściowo zburzonej bombami lubelskiej katedry. W 1969 r. pomógł lubelskiemu Klubowi Wysokogórskiemu w organizacji – i sam w niej uczestniczył – I Polskiej Wyprawy Alpinistycznej w góry Mongolii (gdzie jako pierwsi zdobyliśmy jeden ze szczytów Charchiry).

– To była pierwsza wyprawa polska?

– Tak, podjęta przez lubelski Klub Wysokogórski. Głównym jej organizatorem był red. Zbigniew Stepek (Polskie Radio, Lublin). Grupa 13 taterników wyruszyła z Lublina w piątek 13 lipca. Penetrowaliśmy góry w mongolskim Ałtaju, w masywie Charchiry. Odnotowaliśmy zdobycie po raz pierwszy kilku szczytów. To ewidentny sukces alpinistyczny. Szczyty w północnej części Mongolii nie stanowiły szczególnego zainteresowania wśród alpinistów. Himalaje, Mont Everest, K 2 i inne były wówczas nie tylko modne, atrakcyjne, ale i pożądane przez miłośników wspinaczki. Polscy himalaiści – z powodu paszportowych ograniczeń w komunistycznym systemie – nie mieli łatwego dostępu do tych najbardziej wyzywających i powszechnie uznanych za największe osiągnięcie. Alpiniści lubelskiej ekspedycji zdobyli ponad 20 szczytów i – co może najważniejsze – po dwu miesiącach penetracji wszyscy i cali powrócili do kraju.

– Na których kolegów redakcyjnych patrzył Pan z politowaniem czy ubolewaniem?

– To pytanie jest dość prowokacyjne. Proszę nie spodziewać się na nie z mojej strony odpowiedzi. Jak w każdym zawodzie są ludzie zdolni i raczej przeciętni. Tak też jest w dziennikarstwie. Przypomnę raczej zdarzenie. Wieczorem zawiadomiono nas, że na Kalinowszczyźnie w jednym z budynków mieszkalnych wybuchł pożar . Na miejsce zdarzenia pojechał dziennikarz dyżurny. Wrócił i jego relację, którą budował na podstawie rozmów ze świadkami tragedii, zamieściliśmy w „Kurierze Lubelskim". Okazało się, że reporter pozamieniał nazwiska pogorzelców ze strażakami. Sprawca kompromitującego reportażu tłumaczył, że trudno w zimie stać na dworze i „zachować"… trzeźwość. Uwierzyliśmy, że trudno. Niedzielne dyżury w redakcji zaczynały się po południu. Wieczorem urywały się telefony czytelników pytających o wyniki jakichś sportowych imprez, zawodów. Było to dość denerwujące, ale i rozpraszające w pracy redakcyjnej. Gdy podejmując słuchawkę telefonu, usłyszałem pytanie typu: – Jaki wynik? w złości pytałem cedząc słowa. – Wynik czego? – No, meczu! Ja – Jakiego meczu? – Panie, to redakcja? – Tak, redakcja. – To pan nie wie, że dziś grali nasi… Sportowi kibice nie mogli zrozumieć, że w redakcji ktoś może w ogóle nie interesować się sportem kopanym. Pewnie koledzy z działu sportowego patrzyli na mnie z politowaniem.

– Czy w Pana słowniku „Leksykon dziennikarzy i redaktorów Lubelszczyzny" (Lublin 2015) są tacy, których należałoby dzisiaj napiętnować?

– Przyznam szczerze, że początkowo zamierzałem przy nazwiskach redaktorów pracujących w lubelskiej prasie podać ich przynależność partyjną, czyli ujawnić, kto był w jakiej partii. Jednak byłby to pomysł kompletnie pozbawiony rzetelności jakiegokolwiek dykcjonarza personalnego. Słownik odnosi się do ludzi, odnotowuje ich działania profesjonalne, zawiera nazwiska tych, którzy pracowali w prasie, byli dziennikarzami i redaktorami lokalnych mediów. Natomiast ocena strony moralnej osób w tym zawodzie powinna, jeżeli w ogóle, należeć do innych instytucji, które można nazwać służbami. W moim słowniku nie starałem się oceniać jakości pracy poszczególnych dziennikarzy.

Niemniej znam kilku lubelskich dziennikarzy, którzy wcześniej, zanim podjęli pracę w mediach, byli „ubrudzeni" działaniami politycznymi i partyjniackimi. Potem

→

Spotkanie towarzyskie w redakcji „Dziennika"

współpracowali również ze służbami UB i SB. Każdy ma prawo do własnego zdania na temat postawy i pracy ludzi mediów. Dziś również są dziennikarze partyjni, których oceniam negatywnie, i tacy, którzy mogliby być wzorem do naśladowania. Ale to już inne zagadnienie. Osobiście uważam, że partyjniactwo nie może przesłaniać piszącemu obiektywnego wartościowania i oceny faktów, zdarzeń, sytuacji. A jeżeli tak jest, trzeba to uznać za działanie propagandowe, bliskie kategoriom reklamowym, nie mieszczące się w formule prawdziwego dziennikarstwa. Dziennikarstwo to odpowiedzialność za słowo.

– Prasa dzisiaj, prasa w latach, kiedy był Pan dziennikarzem „Kuriera", „Dziennika".

– Współczesnych mediów nie można nawet porównywać z latami powstawania tych gazet. Wtedy telewizja zaledwie się tworzyła. Istniało radio i prasa lokalna oraz centralna.

Dziennikarze mieli do dyspozycji telefon, ołówek i długopis, aparat fotograficzny (przecież nie wszyscy). Istniała cenzura! W terenie grasowały wyrocznie w postaci Wydziałów Prasy KW PZPR. Żadnych laptopów, komputerów, Internetu, e-mailów, telefonów komórkowych. Dziennikarz był bardziej lub mniej obdarzony – łaską z nieba daną – pamięcią. I media też były określane jako „czwarta władza". Nie ma żadnego porównania dekad drugiej połowy XX wieku z latami nam współczesnymi. Gazety papierowe kurczą się, ich nakłady coraz niższe, zanikowe. Pesymiści przepowiadają zmierzch tego typu przekazu medialnego.

Teraz nie czyta się książek, ale ogląda je w komputerze, laptopie i innych środkach przekazu. Dla mnie niemal jedyną wartością są informacje przekazywane drogą zapisu na papierze. I tego się trzymam.

– Pańskie publikacje poświęcone są Ziemi Lubelskiej, a wywodzi się Pan z innego regionu Polski…

– Pochodzę z Pomorza, urodziłem się w Pelplinie, gdzie znajduje się gotycka katedra z najwyższym w Europie głównym ołtarzem. Mieszkałem z rodzicami tuż przed wojną w Lubawie. Już na początku okupacji niemieckiej zostaliśmy wypędzeni z miasta, które musieliśmy opuścić w ciągu 24 godzin. Choć pierwszą klasę szkoły powszechnej zaliczałem już w niemieckich strukturach szkolnych. Uciekaliśmy najpierw do Pelplina, potem – przez zieloną granicę – z Golubia i Dobrzynia po zlodowaciałej Wiśle do Kutna i Warszawy. Mieszkaliśmy tam i przeżyliśmy Powstanie Warszawskie. W gronie osób, które też pochodziły z różnych miast pomorskich przez całą wojnę powtarzano: – Jak tylko skończy się wojna, choćby pieszo, trzeba wracać na swoje, do siebie. Wróciliśmy… pieszo.

Po studiach, krótkotrwałym okresie pracy w Warszawie, powróciłem do Lublina i tu założyłem rodzinę.

Poznawałem miasto, ludzi, miejscowości w województwie. Tu się zakotwiczyłem. Ten teren znam, trudno, żebym mógł wypowiadać się z takiego oddalenia o swoim Kociewiu czy Kaszubach, choć mam tam krewnych, znajomych i chętnie oddycham najczystszym powietrzem w Borach Tucholskich.

– Brał Pan udział w Powstaniu Warszawskim, a temu zrywowi poświęcił Pan mało miejsca w swojej publicystyce (twórczości).

– To prawda. Gdy wróciliśmy na Pomorze, kolegom w szkole opowiadałem o swoich chłopięcych przeżyciach w sierpniu–wrześniu 1944 r. Nie musiałem ubarwiać tego, co było wtedy w Warszawie. Ale już w latach 1948–1950 uczestnictwo w Szarych Szeregach w czasie Powstania oficjalnie było niemal naganne. W pomorskim miasteczku tylko my byliśmy dotknięci tymi dramatycznymi, tragicznymi, doświadczeniami w czasie wojny. One później stawały się jednym z elementów negatywnej oceny ze strony komunistycznej władzy, także na niższych szczeblach administracji i kierownictwa w szkole. Dyskusja np. z nauczycielką historii w naszej klasie mogła zakończyć się przykrymi konsekwencjami. Dom nasz odwiedzali znienacka i służbowo cywilni tajniacy, przeprowadzali wielogodzinne rewizje, nękali pytaniami, na które nie odpowiadaliśmy. Jeden z tych służbistów zarekwirował stos nut, bo teksty w nich pisane były w języku niemieckim. Rada ojca była dość klarowna: – Chłopcy, od dziś nie opowiadamy nikomu, że byliśmy w Powstaniu. Przestaliśmy opowiadać. Po maturze nie zostałem przyjęty na studia w Toruniu. Wspomnień o tamtych latach jeszcze nie opisałem.

– Pańskie wydawnictwo „GAL" – z których publikacji jest Pan szczególnie dumny:

– Publikacja wierszy Grażyny Chrostowskiej „Jakby minęło już wszystko…" przyniosła nadspodziewane efekty. Imieniem autorki nazwano Gimnazjum nr 8 przy ul. Biedronki 13, stało się zarzewiem corocznych konkursów recytatorskich, a w tym roku po raz pierwszy imprezą ogólnopolską. Ukazała się niedawno druga edycja pt. „Wiersze" Grażyny w opracowaniu Barbary Oratowskiej i Jarosława Cymermana, w której błędy popełnione w mojej poprawiono. Nie nastawiałem się na wydawanie poezji czy prozy. Interesowały mnie raczej relacje ludzi, którzy tworzyli czy uczestniczyli w wydarzeniach historycznych. Stąd książki o obronie Lublina w 1939 r., o żołnierzach tworzących się oddziałów Wojska Polskiego w Związku Radzieckim, którzy nie zdążyli dotrzeć do armii Andersa, czy relacje ludzi z konspiracyjnych oddziałów w czasie II wojny światowej w rejonie Bełżyc. A także o obliczu lubelskiego teatru po 1944 r. pt. „Jego siła nas urzekła…" Oczywiście, słownik dziennikarzy lubelskich stawiałbym na pierwszym miejscu. Wobec tych wszystkich książek czuję gorące uczucia, dużo satysfakcji, zawsze pamiętając o trudach związanych z ich powstawaniem.

Na łamach „Kuriera" prowadziliśmy różne, ciągnące się miesiącami, a i latami, akcje. Jedną z nich była właśnie zatytułowana „Kto bronił Lublina?" rubryka na str. 4, w której przypominaliśmy wydarzenia i bohaterów września 1939 r. Odnotowywaliśmy w niej wypowiedzi lublinian, którzy wybuch II wojny światowej przeżyli i wspominali te dni grozy i zajęcie Lublina, po dwu dniach walk, przez wojska niemieckie. Powstały z tych drobnych niby zdarzeń nasze książki napisane z Wojtkiem Białasiewiczem „Bronili Lublina, wrzesień 1939". Również w tej akcji, żywo przyjętej przez mieszkańców miasta, pojawiało się nazwisko Chrostowskich, Poli i Grażyny oraz ich ojca Michała.

We współpracy z inicjatorem p. Władysławem Rokickim w pewnym stopniu przyczyniłem się do wzniesienia we wrześniu 1987 r., na rogu ul. Zana i al. Kraśnickiej, pomnika poświęconego obrońcom Lublina we wrześniu 1939 r. Co roku przy pomniku odbywają się uroczyste zbiórki i apele społeczne, głównie szkół, w tym szczególnie uczestniczą uczniowie Zespołu Szkół Elektronicznych przy ul. Wojciechowskiej, którzy sprawują też pieczę nad pomnikiem.

– Publikacje cieszyły się dużym zainteresowaniem, a pana nagradzano i obdarzano odznaczeniami...

– Liczyć na nagrodę można wtedy, kiedy wysyła się jakiś materiał na ogłoszony konkurs. Normalna praca dziennikarska nie nastawia się wyłącznie na nagrody. Po drodze mojej prasowej działalności zdarzały się i odnotowuję to z prawdziwą satysfakcją. Z tych wszystkich wyróżnień cenię sobie jednak najwyżej „Aklaud" czyli Akademicki Laur Dziennikarski przyznawany przez trzy wyższe lubelskie uczelnie: UMCS, KUL i Wyższą Szkołę Nauk Społecznych. Pani prof. dr hab. Iwona Hofman z UMCS zainicjowała przyznawanie nagród dziennikarzom. Wspólnie z KUL i Wyższą Szkołą Administracji w 2014 przyznano ją po raz pierwszy. Otrzymałem tę honorową nagrodę – jako pierwszy dziennikarz – za całokształt pracy publicystycznej i dziennikarskiej oraz popularyzację mediów na zajęciach i wykładach uniwersyteckich. W następnym roku uhonorowano nią red. Marię Brzezińską z Radia Lublin, a w 2016 r. otrzymał ją red. Piotr Zdanowicz, redaktora telewizji w Lublinie.

Rozmawiał Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Pragnienie Zaklinacza Czasu

Niezwykły album fotograficzno-literacki i dwie ekspozycje prac Tadeusza J. Chmielewskiego

W dniu 22 czerwca 2017 r. w *Galerii Po 111 Schodach* MDK 2 przy ul. Bernardyńskiej 14a w Lublinie miał miejsce wernisaż wyjątkowej wystawy fotografii. Wystawa nosiła tytuł „Pragnienie" i była osiemnastą indywidualną ekspozycją prac Tadeusza J. Chmielewskiego, podsumowującą jego 40-letnią działalność fotograficzną.

Tadeusz J. Chmielewski jest postacią nietuzinkową: od czasów studenckich do trzydziestki, a może i czterdziestki! – włóczykij i bard, autor ponad 40 piosenek poetyckich, laureat kilku ogólnopolskich konkursów piosenki turystycznej (m.in. zwycięzca lubelskich „Bakcynaliów" w 1973 r. i laureat II nagrody na „Bakcynaliach" 1974); inicjator i główny organizator cyklu 10 ogólnopolskich przeglądów filmów, fotografii i przezroczy o ochronie środowiska „BIOSFERA" realizowanych w l. 1977–1987 w Lublinie; w latach 80. i 90. XX w. – projektant i planista obszarów chronionych – kierował m.in. pracami nad dokumentacją do utworzenia Poleskiego Parku Narodowego; w l. 1990–1998 Wojewódzki Konserwator Przyrody w Lublinie; potem nauczyciel akademicki Politechniki Lubelskiej i Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, m.in. twórca i kierownik Zakładu Ekologii Krajobrazu i Ochrony Przyrody UP; autor i współautor ponad 400 publikacji naukowych, w tym 24 książek, a jednocześnie autor 18 indywidualnych wystaw fotografii, w tym jednej w USA; laureat wielu konkursów fotograficznych, m.in. zdobywca Grand Prix Ogólnopolskiego Biennale Fotografii Przyrodniczej w Poznaniu (1988), dwukrotnie Medalu Biennale Krajobrazu w Kielcach (1986, 1988), Medalu Fotoklubu RP na międzynarodowym konkursie fotograficznym „Małe Formaty" w Radomiu (2005) oraz szeregu innych; na tym różnobarwnym tle – jeszcze poeta i eseista.

Retrospektywną wystawę prac fotograficznych Tadeusza J. Chmielewskiego eksponowano w 3 największych salach wystawowych MDK 2 przez dwa i pół miesiąca. Na ponad 150 obrazach – głównie o charakterze wysublimowanych pejzaży oraz graficznych interpretacji natury – można było zobaczyć nie tylko zatrzymany w kadrach czas, klimat znanych i nieznanych miejsc wschodniej Polski oraz zapisane w nich emocje autora (w tym tytułowe pragnienie doświadczania piękna i dążenia do doskonałości), ale także prześledzić zmiany technik fotografowania i reprodukowania światłoczułego zapisu.

W trakcie wernisażu, przebyliśmy – wraz z Autorem – znamienną podróż z czasie i przestrzeni. Wystawę rozpoczynały czarno-białe fotografie rejestrowane na filmach negatywowych i powiększane na papierach bromowych z lat 70. i 80. XX w. Wyjątkowo cenne są ostatnie zachowane w zasobach Autora prace wykonane w latach 80. techniką srebrowo-ekolinową, na płótnie fotograficznym. Następna część wystawy to fotografie barwne, diapozytywowe, powiększane na podłożach syntetycznych Cibachrome i Ilfochrome, z lat 90. XX w. o wyjątkowym – nawet jak na dzisiejsze standardy – nasyceniu i głębi barw. Kolejna – najliczniejsza grupa prac – to fotografie barwne z pierwszych 2 dekad XXI w., rejestrowane i przetwarzane techniką cyfrową oraz drukowane na podłożach papierowych i – spora ciekawostka – bambusowych. Kilka tych prac oprawiono w ramy, jak dzieła malarskie. Ostatnia część ekspozycji to swoisty „powrót do korzeni" – najnowsza autorska seria fotografii cyfrowych, czarno-białych.

W poszczególnych „działach technicznych", prace prezentowane były zestawami tematycznymi. Każdy z tych zestawów to odrębna historia przemyśleń i emocji autora, a jednocześnie zachęta do indywidualnej relacji obraz – odbiorca. Np.: *Dotknięcie światła*; *Echa Polesia*; *Cisza w indygo*; *Jeziora kawy*; *W poszukiwaniu ducha miejsca*; *Przy drodze i u kresu*. Sekwencja kilkunastu takich zestawów stwarza okazję do otwarcia się widza na autorską (fotografa i swoją własną) emocjonalną wielką księgę krajobrazów. Można też prześledzić 40-letnią ewolucję sposobów fotograficznego interpretowania przestrzeni przez Autora: od romantyzującej fotografii malarskiej, inspirowanej twórczością J. Bułhaka i E. Hartwiga (szczególnie w cyklu: *Listy do starych mistrzów fotografii*); przez falujące rytmy wielowstęgowych rozłogów pól, nawiązujące do Kieleckiej Szkoły Krajobrazu (m.in. w cyklu: *Pasma*); po odkrywanie własnych ścieżek twórczych (jak np. w cyklach: *Wizje i przepowiednie*; *Ze śniegu i lodu*; czy *Przemierzając czas*.

Wernisażowi towarzyszyła promocja albumu fotograficzno-literackiego Tadeusza J. Chmielewskiego, również noszącego tytuł *Pragnienie*, wydanego w czerwcu 2017 r. przez cenioną lubelską oficynę Norbertinum. Jest

to niebywale piękna książka, nie tylko ze względu na jej znakomite opracowanie graficzne, ale przede wszystkim z uwagi na zawarte w niej treści. Książka ta zawiera zestaw 45 utworów poetyckich, esejów i bardzo osobistych rozważań Autora o zaskakujących splotach wydarzeń oraz o pragnieniu, kruchości i wartości piękna. Każdy z tekstów opatrzony jest zestawem autorskich fotografii dobranych tak, że nie są one tylko prostą ilustracją tekstów. Są zaproszeniem do przeżywania tych samych treści także w sferze estetycznej, do rozwijania sieci skojarzeń i wzbogacania przestrzeni refleksji. Te teksty i obrazy trzeba koniecznie odbierać synergicznie. Już recenzenci Jego licznych opracowań naukowych o krajobrazie podkreślali, że Tadeusz J. Chmielewski jest prawdziwym mistrzem integracji słowa i obrazu, kreującej nową wiedzę i wartości.

Album podzielono na kilka części nawiązujących do struktury rozbudowanej symfonii muzycznej: *Preludium*, *Allegro*, *Adagio*, *Largo*, *Scherzo*, *Rondo*, *Finale*. Każda z tych części zawiera prace o innej przewodniej tematyce i nastroju, ale dopiero wspólnie stanowią o pięknie formy i sile emocjonalnego przekazu dzieła.

Na czwartej stronie okładki swego albumu, Autor pisze: *Jeśli potrzebujesz od czasu do czasu zastanowić się nad meandrami swojego życia i nad pragnieniem doświadczania w nim piękna – TA KSIĄŻKA JEST DLA CIEBIE.*

W pełni się z tym zgadzam.

Drugi etap promocji albumu miał miejsce w trakcie wernisażu kolejnej – dziewiętnastej – wystawy fotografii Tadeusza J. Chmielewskiego, zatytułowanej „Zaklinacz czasu". Wydarzenie miało miejsce 24 października 2017 r. w Domu Kultury LSM, przy ul. K. Wallenroda 4a w Lublinie. W folderze informującym o wystawie, jej Autor napisał: *Tak, jestem zaklinaczem czasu. Z okruchami wiedzy w głowie, aparatem fotograficznym w ręku i literackim notatnikiem w kieszeni przemierzam Przestrzeń. Śledzę cienie, dotknięcia i pieczęcie, które upływający Czas pozostawia w pejzażu i w ludziach. W swoich fotografiach i tekstach subiektywnie odtwarzam to, co Czas zapisuje w krajobrazie i we mnie.*

Przed wejściem uczestników wernisażu do Galerii Sztuki, przybyłych zaproszono do sali kinowej, w której wybrane teksty literackie z albumu *Pragnienie* odczytała mistrzyni budowania poetyckiego nastroju – Ewa Dados.

Wystawa fotografii podzielona była na kilka zestawów tematycznych: od nostalgicznej *Krainy dzieciństwa*, przez cykle: *Uroda badziewia*; *Na Niebie i na Ziemi*; *Echa dziedzictwa*; następnie przez ekspresyjne zestawy: *Daleko i blisko – wysoko i nisko* oraz *Powidoki*, po intrygujące swą formą i treścią prace z cyklu: *Kraina szkła i „brawo JA"*.

Wyjątkowymi emocjami wieczoru dzielono się jeszcze długo, zarówno w Galerii Sztuki, jak i przy stoisku Wydawnictwa Norbertinum.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Tadeusz Jan Chmielewski wśród czytelników. Z Ewą Dados prezentuje jedną ze swych prac

Jan Łanucha-Sęk

Apostrofa rocznicowa

0
Nic to choć znów boli
wola ziemi i nieba

1
że prawdę pojmać chcieli
w tę noc grudniową

2
mali synowie ciemności
gasili poświatę żłóbkową

3
na cóż cekhauz strachu
przed podwojem stajenki

4
straże i tak nie ustrzegą
szlaku szopek i tronów

5
próżno ciężkim butem
znaczyć granice uporu

6
ducha stłamsić nie można
żadnym szykiem kordonu

7
nadzieja urodzi się nowa
w jutrznię spełnienia Słowa

13/XII

Henryk Radej

Matka i Syn

Kim jest to dziecię zstępujące nocą
w sam środek ciszy betlejemskiej groty
pozostawione na pastwę losu
i sił natury młodej matki
zanim wyjdzie z łona?

Pokrzykują pasterze na polu
jakby szukali baranka zgubionego
a on sposobi się do przyjścia
do pierwszego oddechu w stajni
zanim skosztuje słodkiej bieli mleka

Więc nie są samotni
dopóki błyszczy ogień
i gwiazda jasno świeci

Gdzie jest mąż co ich porzucił
pod rygorem prawa
bo nie godzi się być z nieczystą
gdy rodzi?
Zostawił im miskę z wodą
nóż ostry i garść siana pod głowę

Po północy krew spieniła wodę
nóż był tak ostry jak miecz Heroda
wiatr przywiał zapach świątecznego chleba

Zatrwożyła się Matka –
– to dziecko pachniało chlebem
jaki nosiła Bogu na ofiarę
biegnąc w podskokach do synagogi

I w jednej chwili zrozumiała
że Syn – woda i krew i baranek i chleb
– to jedno
A On nawet nie zapłakał.

Bet-Lechem – Chełm, 2017 r.

Marian Janusz Kawałko

Kołysanka wigilijna

nie płacz
Dzieciątko
to dopiero zima
niebawem wzejdą dni jak miłość
krótkie
zamkną się księgi
przez mędrców otwarte
a tajni szpiedzy obleczeni w suknie
nową z ukrycia przywiodą krucjatę

jeszcze za wcześnie rozprawiać o winach

nie płacz Maleńki –
całe zło przed Tobą
utracisz grotę czółno i
koronę
nawet Rzymianie przeklną taki padół
będziesz udręką
płaczką na spalonym
nagłą pomocą i wieczną
zawadą

lulaj Kruszyno
nie czas na żałobę

uśnij
noc nagli
czas blednie jak
chusta
o takiej porze tylko lęk oddycha
posnęły nawet posiwiałe lustra
i aureole na kościelnych sztychach

lulaj Markotny
znam większe rozpacze
nie płacz

wystarczy że każda łza płacze

1982

Pastorałka rodzinna

zaświeć Gwiazdo i nad naszym stołem
choć spoważniał przez ostatnie lata

wszystkim ślepcom wiernych daj aniołów
w jedno światło połącz wszystkie światła

zaświeć Gwiazdo
słowa nam wypogódź

wskaż prześmiewcom szopę betlejemską
na nich Maria oczekuje tam w połogu

tam największe rodzi się
królestwo

ześlij Gwiazdo opłatek
nadziei
niech się bliźni do bliźniego przyzna
pogaś troski
uratuj z topieli

tu jest wszakże i Twoja
ojczyzna

zaświeć Gwiazdo
ochroń
unieś
przebudź
żeśmy gniewem porażeni
powiedz niebu

Lublin, XII 1989

* * *

Osądzamy ludzkie sprawy
i historii kąty
a na ustach Ciebie mamy
Jezusie kochany

pierwsza gwiazda nam oznajmi gdy pod jodłą
spoczniesz
choć tu chłodno i my głodni
Jezusie ty nasz

w kielich wina na biel stołu
daj nam chleba płatek
zaśpiewamy Ci bez płaczu
Jezu małych dziatek

nasze stany choć skłócone
do żłobu garną się
patrz na ręce usta krasne
Dziecino Jezusie

* * *

Zasiądziemy do wieczerzy, do białego stołu.
Przyjdzie jeleń, co rogami wiele drzew naznaczył.
Stary dąb, co na wietrze się wyszumiał
i orzechy hen rozrzucił.
Gołąb biały, orzeł siwy, co lotki stracili.
Echo z lasu, cień ojca z przeszłości,
stara matka bezsilnością powiązana,
może siostra, może brat zza chmur,
może ty, może on
wszyscy przyjdą.

Przyjdzie Dziecię
chcąc podzielić okruszynę bieli.

Wspólna Wigilia

Odkładamy nasze troski, dzienne sprawy
i siadamy do wspólnego stołu.
W kęsku ryby, kromce chleba
szukamy mądrości
krąg nasz ciasny
lecz w nim
ciągle sporo miejsca
Już patrzymy sobie w oczy
pełne blasków i radości,
wymieniamy słowa płoche, myśli nieme,
wspominamy czyny wszelkie
krąg nasz ciasny
lecz w nim
ciągle sporo miejsca
Już bierzemy w nasze ręce
płatek miłości,
podchodzimy do bliźniego nieznanego – odłam
więcej niż sam dajesz
mam go dużo.

STANISŁAW ROGALA

Krzysztof Kulig

Myśli przy rąbaniu drewna

Zima odeszła tego roku tak samo nagle, jak przyszła. Słońce za oknem przyświecać zaczęło wiosennie. Jednak trzeba być czujnym pod koniec stycznia i nie dać się złudzić roztopami, dodatnią temperaturą oraz słońcem. Trzeba przygotować zapas opału do kominka, bo nie wiadomo, co może się zdarzyć, gdy rozpłyną się góry lodowe na północy, bo El Nino znów ruszy do ataku, a mroźny wicher ze wschodu przywieje nam syberyjski wyż. Takoż, uzbrojony w siekierę, klin do łupania drewna i piłę ruszam, by drewna narąbać na opał. Dawno już chciałem to zrobić, lecz przerażała mnie wielkość kloców tego jesionu, który znawcy dendrologii nazywają wyniosłym. Zaiste wyniosły był, gdy rósł ponad sto lat z okładem w centrum Lublina. Niestety zakończył swój żywot pod toporem drwala, gdy schorowany zagrażał otoczeniu. Tak to bywa nie tylko z drzewami. Z ludźmi podobnie, gdy jesteśmy starzy, brzydcy i schorowani to się nas usuwa w zacisze hospicjum lub domu starców.

Jesion zwalony na ziemię i poćwiartowany nie posłuży już stolarzom, by wystrugali z niego stół i krzesło ani kołodziejom, by do wozu drabiniastego zrobili koła, orczyki, stelwagi, drążki do wasągu czy płozy do sań. Nie będzie już z niego nart jesionowych ani beczek. Nawet stylisk do siekier najlepszych dla drwali, bo rąk nie odparzają jak dębowe, nie będzie. Nie rzuci już cienia, nie uchroni przed wichrem i urokami. Kora jego nie uleczy reumatyzmu, a napar z liści bólu brzucha. I na nic zaklęcie na ukąszenie węża: „Wypędzam was, z mocą Pana Jezusa, węże, wężyce, padalce, padalczyce, żmije, żmijce i wszelki robaku", gdy nie ma się pod ręką świeżych liści jesionowych, by sok z nich wycisnąć na ranę, wymawiając owo zaklęcie. A potem chuchnąć trzy razy. Trumny nie będzie, a najlepsza, bo dusza nie błąka się po świecie, gdy ciało w jesionowej trumnie złożone.

Tyle lat przetrwał, tyle mitów, baśni i legend powstało o nim, a teraz powalony, tylko na opał jest przydatny. Tak wielki był, że sądzono, iż korona jego sięga niebios, a korzenie piekieł. Czyżby to była przestroga dla zadufanych i wielkich, że wszystko mija niechybnie, że pozostaje po nas tylko nieużyteczna materia i popiół?

Miejsce, gdzie ów jesion kiełkował i wzrastał, a potem żył tak długo, dając cień i ochłodę lub radość zieloną dla oczu, jest tu bardzo istotne. Gdybyż on był jednym z tysięcy jesionów rosnących w puszczy, nikt pewnie nie myślałby o nim przy rąbaniu go na drwa. Ten był jeden – osobliwy i szczególny. On wyrósł pomiędzy kamienicami w centrum miasta i niechybnie był świadkiem wielu historii. Pamięta zapewne ów wrzesień, gdy niemieckie samoloty zrzucały bomby na centrum Lublina. Jedna z nich trafiła w kino „Corso" po drugiej stronie ulicy przy pałacu Czartoryskich. Dziś po kinie został tylko skwer noszący nazwę Mieczysława Alberta Krąpca. Tego dnia jakieś odłamki lub odpryski tej bomby musiały spaść na kamienicę obok naszego jesionu. Dach stanął w płomieniach, a mury zostały uszkodzone. Kamienicę wyremontowano po wojnie. Stoi do dziś w tym samym miejscu, w którym zbudował ją w XIX wieku zapewne jakiś Żyd. Byłem w niej niedawno. Wchodziłem na strych. Widziałem osmalone pożarem belki. Tam u góry słyszałem szum

→

miasta inny niż na poziomie ulicy. Odgłosy otaczały mnie jak dźwięk w kinie. Przez nieszczelny dach wpadały smugi światła. W blasku tych niewielkich reflektorów wirował kurz z glinianej polepy. Snop światła jak z kinowego projektora wyświetlał obrazy w wyobraźni: tamto niebo wrześniowe, samoloty z czarnym krzyżem, gwizd spadających bomb, syreny alarmowe, rozgardiasz miasta z nagła osaczonego.

Obok kamienicy stoi waląca się już dziś piętrowa oficyna. Oficyna jakich wiele w Lublinie, ale ta ma swoją historię. Tu, w mieszkaniu pod numerem 20, obok naszego bohatera-jesionu wyniosłego, mieszkał Józef Czechowicz. Był rok 1932. Siedem lat później bomba hitlerowska trafia w kino. Inna bomba, tego samego dnia, chwilę wcześniej lub chwilę później, pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą, spada na kamienicę przy Krakowskim Przedmieściu, w której mieścił się „fryzjer męski". W zakładzie w owej chwili przebywa kilka osób, które słysząc świst spadającego pocisku, instynktownie usuwają się pod ściany, wypowiadając ostatnie modlitwy. Na szczęście bomba przebija się przez stropy i niknie w czeluściach piwnic i tam wybucha. Jeden z klientów, który przyszedł tu rano z przyjaciółmi, by odświeżyć się po męczącej podróży z bombardowanej Warszawy, ginie na miejscu. Niektórzy mówili, że w ostatniej chwili odskoczył od ściany, jakby wprost pod bombę. Kimże jest ów desperat? Trudno rozpoznać. Ci, co przeżyli, próbują wyciągać z gruzu rozerwane ciało. W strzępach odzieży odnajdują kartkę z niedokończonym wierszem i słownik polsko-angielski podpisany „własność - Józef Czechowicz". Poeta sam sobie tę śmierć wymyślił w wierszu „żal":

(…) i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
ja czarny krzyżyk na listach (…)

Obok zakon i kościół ojców Kapucynów. Nienaruszone.

Tak mogło się zdarzyć. Potwierdza tę wersję historii mój jesion, gdy staram się odtworzyć daty z jego słoi. Liczę lata od środka, aż po brzeg. Pomiędzy twardym, zbitym drewnem odnajduję kawałki stali, żelastwa, które wrastały w niego przez te wszystkie lata. W tych miejscach jesion krwawi rdzawo. Ciemna plama rozlewa się po słojach niesiona przez krwiobieg jeszcze niedawno żyjącego drzewa. Obce ciało boli twarde drewno. Jak u ludzi.

Cofam się w czasie. Na gładkiej skórze drewna, w ciepłych kolorach miedzi, odtwarza się niemy film z tego, co już nie wróci. Rok 1903: zbłąkane nasionko chwyta się ziemi, kiełkuje, wrasta. Nikt tego nie zauważył. Miasto budzi się jak zwykle terkotem wozów o kołach drewnianych okutych stalową obręczą po bazaltowym bruku. 1904: dziecięcy płacz i śmiech miesza się z nawoływaniem żydowskich kupców. 1905: okrzyki miejskiego rzemieślnika: „Noże, nożyczki ostrzę". Pierwsze nieporadne jeszcze słowa. 1906: gwar miasta. Pierwsze samodzielne kroki. Pierwsze obrazy. W promieniach słońca połyskuje szyld sklepu „Towary kolonialne" pisany cyrylicą i wrotkarz na kinie „Corso" się uśmiecha. 1907: składy, stragany, sklepy. …W tym, narożnym, kupiono mu trąbkę dziecinną, gdy był maleńki… 1910: Rżą konie na ulicy Zielonej, gdzie ...stoi domek czerwony. A w tym domku czerwonym siedzi dziadek zgarbiony. A w tym domku dziwne rzeczy: chore lalki dziadek leczy. Rośnie. Czas płynie niezauważalnie jeszcze. Miasto

też jest coraz większe. Odkrywa je każdego dnia. Dziś był za ratuszem …huczy targowisko. Ach, ileż tam ludzi kupuje, targuje! Ile się dzieciaków cudom przypatruje. Bo cuda tam, cuda… Kościelne dzwony biją na „Anioł Pański" raz – i dwa – i trzy---, a blaszany kogucik na wieży jak zawsze furkocze. Jeden słój – jeden rok. Drugi, trzeci… Ten sam gwar, ten sam szum, to samo miasto. 1934: …Wiatr, znowu wiatr się podrywa…, …Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Wędrowcze, masz towarzysza…

Pamiętasz jak pisałeś o swym mieście? Twoje słowa drążą drewno, rezonują i drżą w nas. Tyle lat, czasu tak wiele, zdarzeń bez liku, a w pamięci zostają tylko nieważne okruchy tego, co minęło.

A teraz inny obraz, inne miasto. Londyn – pół wieku później. Muzeum Natury. Przechodzę przez olbrzymi hol, mijam szkielet dinozaura, duży na dwa piętra. Myślę: taki wielki, a jednak nie przetrwał. Schodami na antresolę, gdzie wielki krąg sekwoi oparty o ścianę. Siedzę przy nim godzinami w czasie każdego pobytu w Londynie. Staram się zliczyć jego słoje, by określić wiek drzewa. Tysiące drobnych kresek, a każda wyznacza jeden rok. Kalendarz tysiącletni! Tylko drzewa przyjmują czas wieczny pokornie. Człowiek codziennie chce, by zdarzyło się coś wyjątkowego. Nasza, ludzka codzienność nie mieści się w słojach. Jeden rok to tylko kilka milimetrów średnicy wszechświata. W porównaniu do drzew, żyjemy zbyt krótko, dlatego wiemy mniej. Niszczymy nasze kalendarze, by pamięć mniej bolała. Stają się niepotrzebne, gdy już nie mamią nas styczniową nadzieją, a tylko zasmucają grudniowym niespełnieniem. Wpatruję się w te magiczne kręgi, powtarzając w myślach wiersz Herberta „Sekwoja":

(…)cal od środka pola pożar dalekiego
Rzymu za czasów Nerona
w połowie bitwa pod Hastings…
(…)i wreszcie tuż przy wybrzeżu kory
lądowanie Aliantów w Normandii
Tacyt tego drzewa był geometrą nie znał przymiotników
nie znał składni wyrażającej przerażenie
nie znał żadnych słów
więc liczył dodawał lata i wieki jakby
chciał powiedzieć że nie ma
nic poza narodzinami i śmiercią nic
tylko narodziny i śmierć
a wewnątrz krwawa miazga sekwoi

Dziś siedzę nad moim jesionem, liczę, dodaję kręgi lat, próbuję odczytać ukryte znaki. I nie ma nic. Tylko narodziny i śmierć. I miazga: obrazy nieme, słowa dawno pisane, miasto w oddali, co nocą tylko odbija się łuną na niebie, jakby nie było tych obrazów i słów, lat ani tego miasta. Jakby została tylko ułuda tamtego czasu, odbita gdzieś w naszej pamięci. Może właśnie do tego potrzebna jest ludziom poezja, by zapisać to, czego nie można ciągle widzieć? Patrzę na to miasto w obrazach zapisanych w pamięci. Otwieram te foldery: nocną ciszę zimy, gdy ostatnie trolejbusy odjadą już do zajezdni, a płatki śniegu wirują w ciepłym blasku latarń; lipcowy wieczór, gdy bruk oddaje ciepło dnia. Obraz niby realny, a drży w smudze żaru. Pełnia księżyca unosi roztopiony kurz dnia. Ściany kamienic pachną wapnem i stęchłą wilgocią. Powoli schodzę Grodzką w dół. Opary z Bystrzycy włóczą się na błoniach pod zamkiem. Jak cicho! Miasto mami spóźnionych przechodniów. Niech trwa pełnia lipcowa!

Odkładam narzędzia zbrodni: siekierę i piłę. Nie zrobię ci krzywdy, jesionie wyniosły. Ty wiesz więcej niż ja. W twoich słojach zapisane są wszystkie te stare obrazy, gdy spotykają się wieczorem przyjaciele Józka na ławce pod twą koroną i dyskutują o poezji, o związku literatów, a i sam poeta od czasu do czasu w twoim cieniu z zadumą coś tam zapisuje:

…Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół…

Nie dam ci tak marnie zginąć w płomieniach tylko po to, by ogrzać ciało. Ciepły pled wezmę i kubek gorącej herbaty. Będę siedział długo, wpatrując się w Twoje słoje, byś odkrywał mi na powrót niedopowiedziane historie. Będę wymawiał zaklęcia ludowe. Może stanie się cud i odwróci się czas przeszły.

Krzysztof Kulig

PS. A może by tak krąg wyciąć z pnia wyniosłego jesionu i ustawić w Muzeum Józefa Czechowicza? Na słoju sto pięćdziesiątym którymś zapisać wiersz, a dalej, kilka kręgów dalej datę: 9 września 1939 roku, godzina dziewiąta z minutami...

K.K.

Waldemar Taurogiński

***

wiatr patyk przełamał
ktoś biały opłatek
trzaski takie podobne
a tak niepodobne
przecież

stół ciasno obsiadły
ten z wolnym talerzem
meble takie podobne
a tak niepodobne
przecież

w Betlejem noc ciepła
w tej zaś śniegiem miecie
obie tak niepodobne
a tak podobne są
przecież

Dziecię w żłobie leży
Bóg-Człowiek na krzyżu
tak niepodobni do siebie
a tak podobni są
przecież

ludzka rzecz

Podnieś rękę Boże Dziecię gdy
otrzymasz szkatułkę słów
kłutych ością

Podnieś rękę gdy
odbierzesz kadzielnicę
totalnego sprzeciwu

Podnieś gdy
darem będą pozłacane
sztabki popiołu

i

Błogosław
albowiem błądzić–
ludzka rzecz

Henryk J. Kozak

Wigilijny dzień

W tym roku miła także
Pójdziemy na pasterkę
I zasiądziemy do
Wigilijnej kolacji

O zmierzchu na twoim Roztoczu
I moim Podlasiu
Zacznie padać śnieg
Gęsty
Ogromnymi płatkami
Taki jak przed laty gdy
Byliśmy jeszcze dziećmi

Odświętni i uroczyści my
Z Lublina i oni z Londynu
Florydy i Nowego Jorku
Z wnuczkami z bratem i siostrą
Podzielimy się
Świętym wigilijnym chlebem
Opłatkiem
I znów jak przed rokiem
I tak jak od zawsze
Na dobre i złe
Podzielimy się także
Losem

Przed północą nagle
Ustanie zawieja
A niebo zapali
Pewnie wszystkie gwiazdy
Żeby oświetlić nam drogę
Do zasypanego śniegiem kościoła
Stojącego wśród drzew
W magicznej poświacie

Dyrektor TVP Lublin
Pan Ryszard Montusiewicz

Szanowny Panie Dyrektorze

W lubelskiej Panoramie 18 września wyemitowano informację o znaczeniu odkryć archeologicznych na ziemiach Grodów Czerwieńskich. Podał ją (jeśli mnie pamięć nie myli) dr hab. Adam Rozwałka z rzeszowskiego ośrodka naukowego. Poczułem się niemile zaskoczony, że nasza regionalna telewizja sięga po pracowników uczelni Rzeszowa, pomijając dokonania naszych naukowców. Otóż lubelscy archeolodzy wkroczyli na teren Grodów wiele, wiele lat temu! Ogromne uznanie należy się docentowi dr. Janowi Gurbie, b. kierownikowi Katedry Archeologii UMCS i dziekanowi Wydziału Humanistycznego tejże Uczelni, za rozpoczęcie prac wykopaliskowych na wspomnianym terenie w już w roku 1972! Będąc szereg lat stałym współpracownikiem amerykańskiego tygodnika „Biały Orzeł – White Eagle" przeprowadziłem dla tego czasopisma wywiad z docentem Gurbą (kopia w załączeniu). Rozmowa opublikowana w roku 2007 spotkała się z dużym zainteresowaniem.

Jako b. rzecznik prasowy Akademii Rolniczej w Lublinie organizowałem cykliczne spotkania pracowników nauki z dziennikarzami prasy i radia. Z satysfakcją informuję, że osiągnięciom lubelskich naukowców ówczesne media poświęcały wiele życzliwej uwagi.

Z wyrazami szacunku – prof. dr hab. Czesław Michałowski,
b. rzecznik prasowy Akademii Rolniczej w Lublinie

[Obok fragmentu listu prof. dr. hab. Czesława Michałowskiego publikujemy wspomniany wywiad z łamów „Białego Orła".]

Co wiemy o Grodach Czerwieńskich

Z doc. dr. Janem Gurbą z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie rozmawia Czesław Michałowski

Pamiętam z czasów gimnazjalnych, że nauczyciel historii niewiele wiedział o Grodach Czerwieńskich, np. ich lokalizacji, znaczeniu, przynależności państwowej i etnicznej. Niewątpliwie od tego czasu wiedza o Grodach znacznie się wzbogaciła dzięki badaniom polskich uczonych, w tym pana oraz zespołu Katedry Archeologii, którą pan kierował.

Doc. dr Jan Gurba

Przypomnijmy, że archeologia wczesnośredniowieczna bada dzieje, dla których źródła pisane są stosunkowo skromne, więc naszą wiedzę oświetlają prawie wyłącznie wykopaliska. Tak jak antyczne źródła pisane nie dają dostatecznych podstaw do rozwiązania kwestii etnicznej przynależności kultur okresu rzymskiego, tak i lakoniczność źródeł staroruskich – nie mamy polskich na interesujący nas temat – nie zawsze pozwala na dokładną lokalizację nie tylko pogranicza polsko-ruskiego, ale i niektórych ośrodków wczesnomiejskich oraz przebiegu granic.

Wyniki badań pozwalają jednak na postawienie hipotezy, że w okresie przedpaństwowym dorzecze górnego Bugu i Sanu zamieszkiwała ludność pochodzenia zachodniosłowiańskiego. Najprawdopodobniej było to, sąsiadujące od zachodu z ziemią Wiślan, plemię Lędzian (Lechici,

→

Lechowie) – wspomnianych przez Geografa Bawarskiego w połowie IX wieku i cesarza bizantyjskiego Konstantyna Porfirogenetę w X wieku – zajmujących w X wieku tereny Grodów Czerwieńskich i Przemyskich (późniejszej Ziemi Czerwieńskiej i Przemyskiej) z grodami stołecznymi w Czerwieniu i Przemyślu. W drugiej połowie X wieku terytorium Lędzian zostało przyłączone do państwa Polan, Mieszka I.

Nazwą Grody Czerwieńskie oznaczono całe pogranicze polsko-ruskie od Karpat, Przemyśla i Dniestru, aż po Bug. Czy nadal obowiązuje ten pogląd?

Był to zapewne pas ziem położonych po obu stronach Bugu, wykazujących obok cech lokalnych – wołyńskich wyraźne powiązania kulturowe z resztą południowych ziem Polski. Natomiast wywodząca się od Grodów Czerwieńskich nazwa Ruś Czerwona obejmowała południowo-zachodnie tereny dawnej Rusi Kijowskiej, które w XI–XIII wiekach weszły w skład Rusi Halicko-Włodzimierskiej.

Czy ich rozmieszczenie na tym właśnie obszarze zależało od decyzji mieszkańców, czy też decydowała o tym zwierzchność polska bądź ruska, mająca na względzie np. cele wojenne?

Pod koniec okresu przedpaństwowego ukształtowały się struktury społeczne mające oparcie w grodach obronnych. Wielkie niekiedy rozmiary grodów (np. w Guciowie na Roztoczu o powierzchni 9 hektarów!) świadczą o sprawnej organizacji ich budowniczych. W połowie tego okresu powstały większe związki plemion Wiślan (małopolskich) i Polan (wielkopolskich) oraz najprawdopodobniej Lędzian, zajmujących tereny między Wiślanami i wschodniosłowiańskimi Dulebami. Na obszarze Grodów Czerwieńskich grody starsze, to plemienne ośrodki Lędzian. Młodsze, od X w., to grody ruskie, będące centrami gospodarczo-administracyjnymi oraz strzegące dróg handlowych.

Rozumiem, że pomiędzy państwem władców polskich i Rusi Kijowskiej dochodziło do wielu

sporów o tereny, na których rozlokowane były grody. Jaki miały one przebieg?

Bezpośrednim i zarazem najstarszym dokumentem historycznym do dziejów Czerwienia i Grodów Czerwieńskich jest „Powiest' wriemiennych let". Najstarsza wzmianka odnosi się do roku 981 (czy 979), w którym to książę ruski „Włodzimierz [Wielki] wyruszył ku Lachom i zajął ich grody Przemyśl, Czerwień i inne grody, które do dziś dnia [a kronikarz pisał to prawdopodobnie 1113 roku] pod Rusią". Kolejna wzmianka zapisana pod rokiem 1018 mówi, że wracający z wyprawy kijowskiej „Bolesław [Chrobry]... ludzi mnóstwo uprowadził z sobą i grody czerwieńskie zajął dla siebie".

W roku 1031 synowie Włodzimierza „Jarosław i Mścisław... poszli na Lachów i znowu zajęli grody czerwieńskie i spustoszyli ziemię lacką i mnóstwo Lachów przywiedli i rozdzielili ich. Jarosław swoich osadził nad Rosią" (prawym dopływem Dniestru, na południe od Kijowa).

Z tych skąpych zapisków wynika, że elementy związane z ruskim kręgiem kulturowym mogły pojawić się tu dopiero od końca X wieku i w XI wieku, kiedy o te ziemie konkurowały Polska i Ruś. Powtórna przynależność do Polski trwała do 1031 roku, następnie do Rusi do 1340 roku.

Doprowadziło to do ogromnych zmian kulturowych tych ziem, rzutujących od tego czasu na mieszany charakter pogranicza polsko-ruskiego, spowodowany przemieszczeniami dużych grup ludzkich i kolonizacją.

Pańska katedra prowadziła liczne prace wykopaliskowe na terenach leżących obecnie w granicach kraju. Jakie były rezultaty tych prac?

Prowadzone były wykopaliska na grodziskach: w Gródku, identyfikowanym z Wołyniem, odnotowanym po raz pierwszy pod 1018 r. (pow. Hrubieszów Skibicach, Grabowcu – 1266, Sąsiadce – 1097, Szczebrzeszynie (pow. Zamość), Jurowie, Majdanie Górnym, Posadowie (pow. Tomaszów Lubelski) i oczywiście w Czermnie (w tymże powiecie).

Pierwsze badania podjął w czasie okupacji w 1940 roku za zgodą władz niemieckich ukraiński archeolog Lew Czykalenko. W 1952 roku kolejne prace wykopaliskowe pod kierunkiem prof. Jażdżewskiego, kierownika Katedry Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego, prowadził dr Andrzej Nadolski. Badania wznowione przez Katedrę Archeologii UMCS dopiero w 1972 roku trwały kilka sezonów. Dzisiejszy stan badań pozwala na potwierdzenie hipotezy o lokalizacji Czerwienia na terenie dzisiejszej wsi Czermno Kolonia. Gród prawdopodobnie powstał w drugiej połowie X wieku jako ważny punkt strategiczny na pograniczu polsko-ruskim – kiedy całe terytorium między Wieprzem i Bugiem należało do Polski. Świadczy o tym cały system obronny usytuowany przeciw atakowi ze wschodu i południa oraz zaplecze gospodarcze znajdujące się na zachodnim brzegu Huczwy. Zabytki archeologiczne tu znajdowane reprezentują zarówno zachodniosłowiańską kulturę prapolską i kulturę Rusi Kijowskiej.

W materiałach mających w większości regionalny, wołyński charakter, znajdują się przedmioty potwierdzające rozmaitego rodzaju kontakty z Rusią, Małopolską i Mazowszem, a nawet Pomorzem i Skandynawią. Zabytki starsze reprezentowane są przez ceramikę lokalną, wołyńsko-nadbużańską i ściśle nawiązują do materiałów z sąsiadujących ziem Polski.

Zabytki pochodzenia ruskiego występują od przełomu X na XI wiek. Wymieńmy wśród nich charakterystyczną ceramikę, pisanki gliniane, przęśliki z różowego łupku owruckiego. Związki z Rusią potwierdzają zabytki bizantyjsko-ruskiej sztuki sakralnej, jak miniaturowa (o wymiarach 45x34mm) kamienna płaskorzeźba – ikonka z wyobrażeniem Chrystusa oraz krzyże-relikwiarze.

Wśród zabytków sztuki świeckiej wymienić należy unikalny, bogato ornamentowany kiścień rogowy z wyobrażeniem bojara (lub księcia) i syreny, szpilę z kości słoniowej zakończoną wyobrażeniem orła oraz ozdoby stroju kobiecego (z grobu dziewczynki) w postaci miniaturowych pozłacanych guzków i srebrnych naszywek w kształcie listków koniczyny. Charakter znalezisk mówi, że w Czerwieniu znajdowały się rezydencje dostojników duchownych i świeckich, a badania na majdanie grodziska sugerują, że istniały tu murowane cerkwie.

Przypomnijmy, że w okresie plemiennym panowały tu wierzenia pogańskie. Chrystianizacja rozpoczęła się od momentu wejścia Grodów w skład państwa polskiego (w okresie między 966 a 981 rokiem) i tu zetknął się z nią Włodzimierz, który ochrzcił Ruś kilka lat później w 988 roku. Najbliższe biskupstwo we Włodzimierzu utworzył dopiero w 992 r.

Materiały uzyskane w Czermnie oraz wielkość związanego z grodem zespołu osadniczego, pozwalają historykom potwierdzić stołeczny jego charakter i umieścić Czerwień w rzędzie takich obiektów wczesnomiejskich Rusi, jak Włodzimierz Wołyński i Bełz oraz Polski, jak Kraków, Gniezno czy Poznań.

Najświetniejszy rozwój Czerwienia przypada na okres od XI do połowy lub końca XIII wieku, to jest do chwili, gdy prawdopodobnie został zniszczony przez Tatarów, bądź w czasie „dzielnicowych" wojen Władysława I Łokietka o Kraków i Ziemię Sandomierską. W każdym razie po zniszczeniach gród nie nadawał się do odbudowania.

Rozmawiał Czesław Michałowski

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Chłop i Żyd

Chłop z Dysa sprzedał Żydowi psa za lisa!

Taki przypadek miał się zdarzyć w XVI wieku, zapisał go Samuel Adalberg, autor cennego zbioru przysłów polskich. O zdarzeniu Żydzi ponoć nigdy nie zapomnieli, pomni bolesnej nauczki omijali Dys z daleka. Nigdy też nie odważyli się prowadzić karczmy w tej pięknej podlubelskiej miejscowości położonej nad uroczą Ciemięgą. Najbliższa karczma żydowskiego arendarza znajdowała się kilka dobrych kilometrów od Dysa, w Krasieninie.

W czasach ostatniej wojny, w latach hitlerowskiej eksterminacji narodu żydowskiego, lubelscy Żydzi mogli liczyć na łaskawość wieśniaków z Dysa. Zawsze czekało tam na nich schronienie i kawałek chleba.

Ryszard Jankowski, artysta-rzemieślnik, pierwszy raz usłyszał o przechowywaniu Żydów od Franciszki Wójcikowej w połowie lat osiemdziesiątych ostatniego stulecia. Jako polityk i społecznik wyczulony jest na głos i los każdego człowieka, opowieści krajanki wysłuchiwał uważnie, rejestrował w pamięci nazwiska i fakty, sprawa nieoczekiwanie stała się aktualna, w świecie bowiem poczęto powątpiewać we wspaniałomyślność Polaków, tymczasem – w roku 1995 – z Nowego Jorku przyleciała do Lublina ocalona w Dysie Ewa Szek, aby podziękować rodzinie Wójcików za pomoc uzyskaną w czasie wojny.

Franciszka Wójcikowa nie żyje od pięciu lat, zmarła po ciężkiej chorobie wiosną 2002 roku, jej mąż Franciszek Wójcik – w młodości żołnierz słynnego 24 Pułku Ułanów z Kraśnika – liczy sobie 98 lat, jest jednym z ostatnich, którzy pamiętają żydowskie miasto w Lublinie i jego mieszkańców.

– Mój teść Bronisław Rzeźniczek – wspomina Franciszek Wójcik – handlował w lubelskimi Żydami. Hardy był, nie dał sobie w kaszę dmuchać, ale każdego uszanował, więc i jego poważano, a Żydzi go też polubili i cenili.

Przed samą wojną był już człowiekiem wiekowym, opuszczały go siły i chęć odwiedzania Lublina, wtedy u żydowskich przedsiębiorców i rzemieślników pojawiał się coraz częściej jego zięć, Franciszek Wójcik.

– Wołali na mnie – opowiada stary mieszkaniec Dysa – jak na mojego teścia, Bolko. Nawet polubiłem takie imię, więc gdy na świat przyszedł mój pierwszy syn, to na chrzcie otrzymał imię Bolesław.

To Bolesław Wójcik oprowadzał po Lublinie, w roku 1995, Ewę Szek. Lubiniankę z amerykańskim paszportem zawiózł na Stare Miasto, na Majdanek, do muzeum na Zamku i na kirkut.

Niemcy wprowadzili głodowy system kartkowy na żywność. Miasto przymierało głodem, ale na wsi nie było lżej. Okupant wydzierał od chłopa coraz większe ilości produktów rolnych, a na Lubelszczyźnie od żniw 1942 roku Niemcy zarządzili stan wojenny, aby ściągać jak najwyższe kontyngenty. – Kontyngentowe prosiaki – relacjonuje Franciszek Wójcik – woziliśmy do lubelskiej rzeźni znajdującej się w okolicach dzisiejszej ulicy Turystycznej. Droga z Dysa wiodła tam przez dzielnicę żydowską, a od marca 1941 przez getto. W drogę do rzeźni zabierałem na wóz parę worków ziemniaków, marchwi, cebuli. Miało się w ręku „Ausweis", to gwarantowało wprawdzie bezpieczny przejazd, ale niewielu było takich, którzy mieli odwagę zatrzymać się na ulicy Ruskiej i przywołać znajomych. Owszem, można było na handlu zarobić kilka groszy, ale można było też zarobić kulkę w łeb!

Od zimy 1940 roku pojawiała się w Dysie kilkunastoletnia Ewa Szek. Przynosiła drobiazgi: chustki, chusteczki do nosa, tasiemki, nici, igły, skarpety. Usiłowała wymieniać na żywność. – Chłop – mówi Franciszek Wójcik – od wiosny do jesieni chodził boso, w zimie okręcał stopy onucami, skarpet nie wkładał nawet w największe święto, nigdy też nie sięgnąłby po kupną chusteczkę do nosa, ale z babami coś tam uhandlowała. Odchodziła z kurą, kaczką, butelką mleka czy serem. Widywaliśmy ją codziennie. Miała w Lublinie pięciu braci, dwie siostry i zniedołężniałych rodziców. Całej dziewiątce musiała zapewnić wikt.

Tamtą marcową niedzielę 1942 roku w Dysie zapamiętano na długie lata. Nad Ciemięgą pojawiły się pierwsze bociany, zaklekotały na stodołach, w ludzi wstąpiła nadzieja. Ewa rankiem odeszła do Lublina z kurą kupioną u Szewczyków. Ale w Lublinie nie zastała już najbliższych. Niemcy przystąpili do likwidacji getta, jej rodzina

trafiła do obozu. Wróciła więc do Dysa, bo niby gdzie miała wrócić? – wzdycha pan Franciszek. – Z krzaków nadrzecznych, w których się schroniła, niósł się jej rozpaczliwy, rozdzierający szloch, na drodze stała porzucona przez Ewę kura, ta kupiona u Szewczyków, nie uciekała, bo miała związane skrzydła i nogi. Ludzie szli do kościoła i z zawstydzeniem spuszczali głowy, byli bezradni i bezsilni jak rozpaczająca dziewczyna, omijali na drodze jej związaną kurę, dwieście metrów dalej, pod kościołem w Dysie, niemieckie patrole wyruszały z rozkazami poszukiwania ukrywających się Żydów.

Powiadali, że dziewczynę uspokoił Jan Małyska, mieszkaniec kolonii Dys. Pewnie prawda, bo na pewien czas znalazła u niego schronienie.

– Wydaje się – komentuje z zadumą historie z Dysa Grażyna Jankowska, żona Ryszarda, psycholog, absolwentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – że biedak nie miał szans na ocalenie. Bogaty mógł opłacać użyczających schronienia, kupować żywność. A jednak przetrwali najbiedniejsi. Bo biednych ratowali biedni. – I po chwili zadumy dodaje: – Ludzie z Dysa to szczególna dziś nacja: pracowici, szlachetni, pogodni, bezinteresowni.

Ewa nie miała nic prócz połatanej sukienki na chudym grzbiecie. Rodzina Małyski nie należała do zamożnych. Bywały tam dni, że nie mieli co do garnka włożyć, wtedy Ewa pojawiała się w obejściu Wójcików i nigdy nie odchodziła głodna

– Każdy wiedział – przypomina Jan Tarnowski, rolnik znad Ciemięgi – że za ukrywanie Żyda groziła śmierć. Nawet w najbardziej zapadłej wsi nie było bezpiecznych miejsc. Niemcy zajrzeli na każde podwórze. Trudno było przed nimi ukryć prosię, owcę, kozę czy cielaka, a cóż

dopiero zapewnić bezpieczeństwo człowiekowi! A u Wójcików, w chałupie przy samej drodze, Żydówkę ukrywali w piecu chlebowym!

Tuż za Dysem ciągnie się szeroki pas wąwozów, za wąwozami leżą rozległe Lasy Kozłowieckie. W dyskich wąwozach znalazła schronienie lubelska rodzina Szyjów: Jankiel, Mosiek, Bojas, ich siostra Regina, żona Jankiela – Róża, oraz córeczka Jankiela i Reginy. Trzech mężczyzn widywano nocami, gdy wyruszali w poszukiwaniu żywności. U jednych kupowali, u drugich dostawali za darmo. Bez wątpienia latem wykradali z okolicznych pól dyskich marchew, kapustę, brukiew i ziemniaki. Zimą dobierali się, niczym dziki, do kopców ziemniaczanych. Ludzie przymykali oczy na takie uszczuplanie plonów i zapasów. Nikt też nigdy nie oskarżył ukrywających się, nie obraził słowem. Najczęściej wspierał Szyjów Tomasz Gryta, bogaty, bezdzietny gospodarz. Nie skąpił im mleka, sera, jaj, chleba. Dziś już Gryta nie żyje, innych też czas nie oszczędził. Mośka nie widywano od wiosny 1942. Domyślano się, że choruje, a kiedy nie dostrzeżono go w roku 1943,

→

lutka dziewczynka, bardzo zabiedzone i obszarpane, przeszły przez Dys w końcu lipca 1944, gdy w Lublinie byli już Rosjanie. Szły w milczeniu, główną drogą, patrzono na nie z zaciekawieniem, każdy mieszkaniec Dysa miał bowiem jakiś swój udział w ich przetrwaniu. Nie podziękowały nikomu, nawet Grycie i odeszły. Gryta się nie obraził. Odejmował sobie chleb od ust przecież nie dla podziękowań, taki miał charakter, że kochał i szanował każdego bliźniego.

W Jakubowicach Konińskich, leżących obok Dysa, droga do Krasienina przecina most na wartkiej Ciemiędze. Na wzgórzu za rzeczką, tuż za mostem, stał kiedyś dwór Leona Gawlikowskiego, znanego hodowcy koni. We dworze Gawlikowskiego pracowała rodzina Bartysiów, dziedzic zmarł, jego posiadłość przejęli inni, w starym dworze, dziś pięknie odnowionym, powstał elegancki hotel. Pokolenia Bartysiów mieszkały całe wieki w nędznej chacie nad Ciemięgą. W starej stodole Jana Bartysia, którego dziadek był stangretem u Gawlikowskiego, ukrywano uciekiniera z lubelskiego getta. Ocalony – po wojnie wyjechał do Warszawy – został prokuratorem. Po paru latach przyjechał do Jakubowic wykarmiony, elegancki, pachnący najlepszymi perfumami i powiedział do swego wybawcy: „ – proś, o co chcesz!" Bartyś podrapał się z zakłopotaniem w ucho. Potrafił przepędzić ze swego podwórza partyzantów różnych formacji, nie bał się żołnierzy niemieckiego okupanta, a przed człowiekiem, któremu ocalił życie, nabrał dziwnego respektu. Nieoczekiwanie dla samego siebie zawstydził się panującej w obejściu nędzy. Cóż, nigdy nie był zamożny. I nic nie wskazywało, że kiedyś przestanie klepać biedę. Wtedy akurat był mu potrzebny pług i siewnik. Nie miał odwagi prosić o droższy siewnik, poprosił o pług. I otrzymał.

Drogą do Krasienina przez Ciemięgę zmierzali też inni lubelscy uciekinierzy z getta. Jeden z nich prowadził kilkuletnią dziewczynkę o niebieskich oczach, nie wyglądała na Żydówkę. Stukał do jednych drzwi, do drugich, ale nie trafiał do ludzi, którzy odważyliby się przyjąć dziecko na przechowanie. Gdyby zaświecił złotem, zaszeleścił pieniędzmi, to kto wie, może ten czy tamten nabraliby odwagi. Ale to był żydowski biedaczyna. Nie myślał jednak rezygnować z szukania kryjówki. Zastukał wreszcie do koślawej, zapadającej się w ziemię chaty, do drzwi Królików. Wydawać by się mogło, że był to zły wybór. Jan Królik był schorowany, ubożuchny, miał kłopoty z wyżywieniem swojej rodziny, ale Króliczka (tak nazywa Franciszek Wójcik Barbarę Królikową z Kręglickich) zdecydowała, że przechowają dziewczynkę. Niebawem ochrzcili ją w Dysie, wykształcili, a ona – zapewnia Franciszek Wójcik – kochała ich jak rodziców.

Malutką wychowanicę Barbary i Jana Królików ochrzcił w kościele ksiądz Jan Ziarko. Ksiądz chrzcił jeszcze wielu Żydów ukrywających się w okolicy Lasów Kozłowieckich, ale zapisał się w historii Dysa także jako pierwszy elektryk. Dla zatuszowania swej konspiracyjnej działalności prowadził z Niemcami różne interesy. Jeden zakończył się założeniem światła nad Ciemięgą, a pierwsza żarówka zabłysła w najbiedniejszej chacie u Bracławów.

Stanisław Pożak, mieszkaniec kolonii dyskiej – jak wspominają starzy mieszkańcy – był to dobry człowiek, wielkiego serca. W roku 1942 przyszli do niego Żydzi, nocą, niemałą grupą, w sumie 8 (osiem) osób. Pogoda była koszmarna, psa by człowiek w taki czas nie wygonił. Ulitował się, odsłonił im dół po ziemniakach i tam ukrył. Siedzieli dzień, drugi, trzeci, nie mieli dokąd pójść, domagali się jedzenia. Ośmioosobowej grupy nie wykarmiłby najbogatszy, a cóż dopiero biedny Pożak obarczony sześcioosobową rodziną. Po pewnym czasie, za jakieś dwa czy trzy tygodnie, zjawili się tam Niemcy. Przyjechali na motocyklach, w wielkich rajdowych okularach, w ceratowych płaszczach. Zastrzelili wszystkich ukrytych w dole. Gospodarz i jego rodzina cudem ocaleli. Dół był z dala od zabudowań, a wśród Niemców – jak wieść niesie – był życzliwy Ślązak, przekonał kogo trzeba, że Pożak nigdy nie widział ukrywających się od niedawna Żydów. Pogrozili mu jedynie i polecili zasypać dół z trupami.

Niemcy uwierzyli Pożakowi, ale za kilka lat nie uwierzyli mu polscy sędziowie. Skazano go na dziesięć lat więzienia. W okolicy szeptano, że ten co doniósł Niemcom o ukrywających się u Pożaka Żydach, teraz – nowej władzy – doniósł, że u Pożaka Żydzi zostali wybici. I kto wie, jak długo byłby na więziennym wikcie, gdyby nie ekshumacja. Sołtys, który już od lat nie żyje, wskazał miejsce kaźni. Ekipa z Lublina przystąpiła do pracy i odkopała zwłoki. Przy zastrzelonych znaleziono wielkie ilości złota. – To byli jedyni bogaci Żydzi, którzy trafili w nasze strony! – powiada z zadumą Franciszek Wójcik.

A ci, którzy dokonali ekshumacji, rozprawiali między sobą, iż żaden szmalcownik nie zadenuncjowałby Żydów przed ich obrabowaniem. Inni też musieli podzielać taki sąd, gdyż niebawem Pożak opuścił mury ciężkiego więzienia.

Dla nikogo z Dysa nie zasadzono w Jerozolimie drzewka wdzięczności. Ale nikt nie ma o to żadnej pretensji.

Franciszek Kozioł, rówieśnik Franciszka Wójcika, także żołnierz września 1939 roku, na pytanie: „czy potrafi wskazać tych, którzy w jego okolicy ratowali Żydów?" odpowiada: – w czasie wojny lepiej było o tym nie wiedzieć, dla bezpieczeństwa własnego i tych, co ukrywali. A po wojnie był już innych czas, potrzeba było nowych bohaterów!

Franciszek Wójcik na pytanie, „czy czuje się bohaterem?" odpowiada, że bohaterem bywa się na wojnie. I z dumą prezentuje dyplomy. Otrzymał je z lubelskiego ZBOWiD-u z okazji kolejnych rocznic wybuchu wojny, zwycięskich bitew i kampanii. Oprawione przez Ryszarda Jankowskiego wiszą na ścianie obok religijnych obrazów.

Listy przysyłane przez Ewę Szek zaginęły.

Ale pamięć o niej ocalała. I jest wciąż żywa.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Na fotografiach Getto w Lublinie

Henryk
Radej

Zapiski z Ziemi Świętej
część 2

Średniowieczne porzekadło przypominało, że pielgrzym, który wybiera się do Ziemi Świętej musi zabrać ze sobą trzy worki: worek wiary, worek pieniędzy i worek cierpliwości. Teraz te worki zamieniły się w walizy na kółkach, zmieniła się także ich zawartość. Trzeba jednak powiedzieć, że o cierpliwości i wierze nie da się tu zapomnieć. Łatwiej jest z walutą, bo podróżnemu wystarczą przynajmniej dwie dobre karty bankomatowe z odpowiednim stanem konta. W obrocie – oprócz izraelskich szekli – są głównie dolary amerykańskie, euro i... polskie złote – najlepiej w banknotach, drobnymi nikt sobie głowy nie zaprząta. Wprawdzie duże sklepy wydają resztę w monetach, ale prywatne sklepiki zaokrąglają ceny do całości. Wystarczy przynajmniej zacząć się targować. Zgodnie z odwieczną tradycją krajów Wschodu, klient, który się nie targuje, uważany jest za głupca.

Należy też pamiętać, że od piątku wieczorem do sobotniego zmierzchu obowiązuje szabat i możemy mieć kłopoty ze znalezieniem czynnego bankomatu. Pobożni żydzi wychodzą z założenia, że one też nie powinny „pracować", podobnie jak nie pracuje komunikacja miejska i handel. Ortodoksyjni żydzi wykręcają nawet żarówki, aby „nie pracowały", nie myją też zębów, bo piana jest efektem pracy, stronią też w tym dniu od mediów. Czas szabatu ma być poświęcony Bogu i pogłębianiu wiary poprzez modlitwy oraz studiowanie ksiąg Starego Testamentu. Otwarte są jedynie niektóre sklepy i punkty gastronomiczne prowadzone przez muzułmanów i chrześcijan.

Niestety, musimy mieć świadomość, że na podobny pomysł wyjazdu do Ziemi Świętej w tym samym czasie co my, wpadło kilka tysięcy pielgrzymów z Polski, jak i dziesiątki tysięcy z innych krajów chrześcijańskich z całego świata. Dlatego też nieraz przyjdzie nam cierpliwie poczekać, aż autokar znajdzie dogodne miejsce, by dowieźć nas lub zabrać z miejsca zwiedzania. Wszyscy czekają też cierpliwie i najdłużej na wejście do Groty Narodzenia w Betlejem i do Bazyliki Zmartwychwstania Pańskiego w Jerozolimie. W porównaniu z tym, oczekiwania na punktach kontrolnych przy przekraczaniu muru bezpieczeństwa z Autonomią Palestyńską na drodze do Betlejem – to prawie nic i jakże odmienne przeżycia. Obserwuję

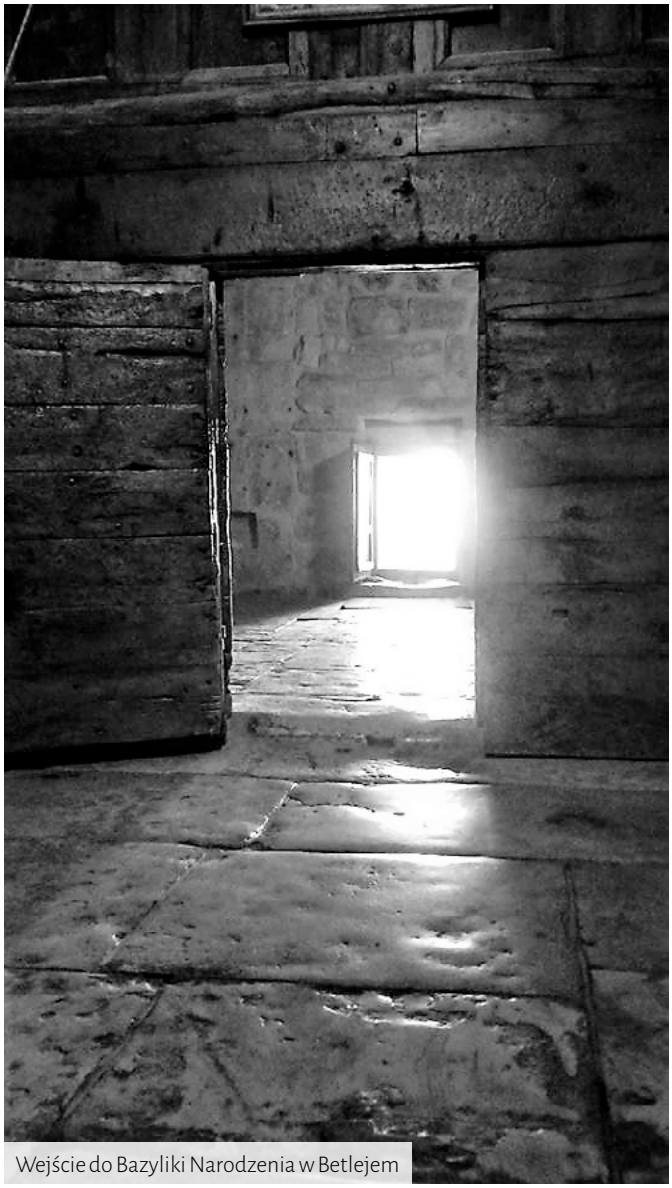
Wejście do Bazyliki Narodzenia w Betlejem

przez okno, jak bezgłośnie obracają się ruchome kamery. Zapewne w tym samym czasie odbywa się gruntowne prześwietlanie zawartości autokaru. Plątanina kabelków wzdłuż muru świadczy o używaniu tu zaawansowanej techniki elektronicznej. Na szczycie muru ciągnie się drut kolczasty albo żyletkowy, który w każdym człowieku budzi najgorsze skojarzenia. Strażnik tylko raz przespacerował się w naszym autobusie i sczytał dane pasażerów czytnikiem na podczerwień. Po pierwszej takiej przygodzie odnoszę wrażenie, że nasz autokar ma już certyfikat

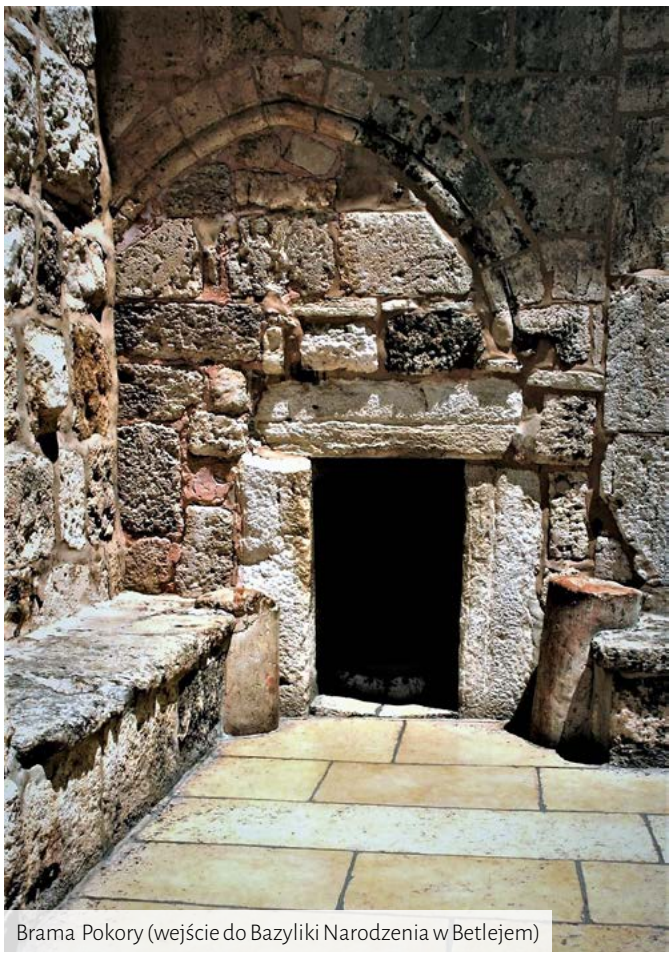

Brama Pokory (wejście do Bazyliki Narodzenia w Betlejem)

bezpieczeństwa na cały Izrael, a kierowca jest zapewne agentem tajnych służb specjalnych i wie o pasażerach wszystko. Odtąd każdy następny przejazd na drugą stronę muru ograniczał się do kilku jego słów rzuconych w kierunku uzbrojonego żołnierza i bramka się otwierała.

Nazwa Betlejem (*Bet-Lechem*) po hebrajsku znaczy *Dom Chleba,* w języku arabskim, jakby na przekór, znaczy *Dom Mięsa.* Zarówno z jednym jak i drugim spotkać się tu można dosłownie na chodniku. Małe piekarenki arabskie wypiekają okrągłe chlebki (*pity)* – podobne do naszych podpłomyków – i słodkie pieczywo w niewielkich piecach elektrycznych ustawionych pod gołym niebem. Zazwyczaj w bliskiej odległości od nich znajdziemy nieduże sklepiki mięsne z baraniną lub jagnięciną. Poćwiartowane tusze zwierząt zwisają łbami w dół tuż przy wejściu z ulicy, a porcjowanie mięsa odbywa się na oczach klientów. Pomiędzy nimi z powodzeniem funkcjonują salony arabskiej mody, sklepiki z pamiątkami, jakiś warsztat samochodowy, bary i nieduże sklepy spożywcze. Wszystkie one na ogół są wąskie i ciasne, szeroko otwarte na chodnik, który staje się dodatkową przestrzenią handlową. Sprzedawcy zachowują się hałaśliwie, słuchają z radia tradycyjnej muzyki i głośno przywołują klientów. Stwarza to typową dla orientu bazarową atmosferę przesyconą zapachami arabskiej kuchni. Zatłoczoną zazwyczaj jezdnią powoli przepychają się auta i autokary z turystami, a zniecierpliwieni kierowcy trąbią klaksonami na tworzące się korki.

Jednak wszystko zaczęło się w niewielkiej wiosce Nazaret w Dolnej Galilei, gdzie młodziutka Maria (Miriam) podczas Zwiastowania powiedziała do anioła Gabriela słynne *„Niech mi się stanie”.* Nazaret dzieli od Betlejem w Ziemi Judzkiej około 100 km. Ponad dwa tysiące lat temu, spełniając obowiązek nałożony dekretem zarządcy Syrii, Kwiryniusza, taką odległość musiała pokonać na osiołku brzemienna Maria, wspierając się w towarzystwie przyszłego męża Józefa, „aby dać się zapisać w mieście Dawidowym” (Łk 2). Zapewne kilka dni wędrowali bezdrożami wzdłuż kamienistych dróg i ścieżek handlowych, pokonując niemałe wzniesienia. Dziś Nazaret jest w Izraelu największym miastem arabskim, którego mieszkańcy od stuleci żyją całkiem nieźle dzięki temu, że dla chrześcijan to jedno z najświętszych miejsc, w którym Jezus spędził większość swego życia. Pamiątką tego jest znajdujący się niedaleko od Bazyliki Zwiastowania kościół św. Józefa. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa tutaj znajdował się tzw. „Kościół Karmienia”, świadcząc, że tu był dom i warsztat św. Józefa, w których wychował się Jezus. Z Nazaretem w niewielkiej odległości sąsiaduje Kana Galilejska, miejsce pierwszego cudu dokonanego przez Jezusa. Słodkie wino weselne można kupić tu w dowolnym sklepiku, a każdy pielgrzym stara się wyjechać stąd przynajmniej z podstawowym kompletem dwóch butelek wina starannie opakowanych w tekturę na dalszą podróż.

Można zaryzykować twierdzenie, że w Betlejem święta Bożego Narodzenia trwają cały rok. Wieczorami wzdłuż ulic migocą girlandy kolorowych świateł, na palmach i latarniach wiszą całoroczne bombki choinkowe – największe wielkości piłek futbolowych, część z nich nawet świeci. W sklepach też dają się zauważyć wiszące bombki i gwiazdy. Drewniane szopki wraz z kompletem aniołów i postaci do szopki można kupić w każdym sklepiku z pamiątkami lub dewocjonaliami. Muzułmanie też nie stronią od ich masowego wykonywania (także różańców i krzyży!), bo interes jest dochodowy. Na dziedzińcu kościoła św. Katarzyny Aleksandryjskiej, przylegającego do Bazyliki Narodzenia, ustawiona jest całoroczna szopka z wypchanymi barankami i postaciami wielkości sklepowych manekinów. Pielgrzymi w różnych językach śpiewają przed nią kolędy, podobnie jak na placu Żłóbka w centrum miasta.

Nasze wyobrażenia o Betlejem są jakże romantyczne. Czerpiemy je z pięknych obrazków – z ilustracji biblijnych i kartek bożonarodzeniowych, z jasełek oraz z fragmentów Ewangelii zasłyszanych w kościele. Pastuszkowie, gwiazda betlejemska, osiołek, szopka, Święta Rodzina, trzej królowie na wielbłądach… Na co dzień nie zastanawiamy się nad tym, jak było naprawdę. Nie przyjmujemy do wiadomości, że Maryja rodziła w grocie, a mężczyźni ze względu na żydowskie zasady czystości rytualnej, nie mogli być przy rodzącej. Ewangelie nie wspominają

→

Nazaret. Tu Słowo stało się Ciałem...

o obecności jakiejkolwiek obcej kobiety, która pomagałaby Maryi w tak szczególnej chwili. Zatem była zdana tylko na siebie?

Dzisiejsze Betlejem, odgrodzone od reszty Izraela betonowym murem, żyje powoli swoim zwyczajnym, biednym życiem. Wiatr przegania po ulicach mnóstwo plastikowych śmieci. Nie widać, aby ktoś tu sprzątał. Warunki życia mieszkańców są raczej skromne. Trochę lepiej mają ci, którym udało się poznać europejskie języki i znaleźć pracę przy obsłudze pielgrzymów. To najczęściej chrześcijanie, którzy ostentacyjnie noszą na piersiach duże krzyżyki zawieszone na grubych, metalowych łańcuszkach. Miasto (tak jak cała Palestyna) jest arabskie, więc najwięcej jest tu muzułmanów. W krajobrazie architektonicznym miasteczka dominuje Bazylika Narodzenia Pańskiego – jeden z najstarszych, nieprzerwanie funkcjonujących kościołów na świecie wybudowanych w IV wieku, z którym wizualnie konkurują minarety meczetów i wieże kościoła syryjskiego.

Szopka przed kościołem św. Katarzyny w Betlejem

Na obchody Bożego Narodzenia do Betlejem przybywają tysiące pielgrzymów z całego świata; są wśród nich także miejscowi chrześcijanie z Terytoriów Palestyńskich i z reszty Izraela. W okresie świątecznym zawsze ogłaszany jest stan podwyższonego bezpieczeństwa z uwagi na możliwość wystąpienia zamachów terrorystycznych. Na ulicach i placach kręci się wtedy dużo policji i uzbrojonych patroli wojskowych. Uroczystości rozpoczynają się 24 grudnia pasterką w Kościołach tradycji łacińskiej. Dwa tygodnie później, 6 i 7 stycznia – według kalendarza juliańskiego – liturgią wigilii Bożego Narodzenia rozpoczynają swoje święta Kościoły tradycji wschodniej. Jako ostatni świętować będą Ormianie, którzy Boże Narodzenie obchodzą według własnego kalendarza dopiero 19 stycznia. Dodam jeszcze, że w Izraelu aktualnie jest rok 5778, który rozpoczął się w żydowski Nowy Rok 13 września 2017 r. według naszego kalendarza, ponieważ Żydzi odliczają lata od stworzenia świata. Nie wiem tylko, jak wyliczyli, kiedy był rok zerowy, w którym Bóg „stworzył niebo i ziemię", a kilka dni później człowieka.

Słynna Grota Narodzenia ze srebrną gwiazdą w posadzce, gdzie Jezus przyszedł na świat, znajduje się pod absydą bazyliki. Każdy z pielgrzymów jest podekscytowany tym, że za chwilę zobaczy jedno z najważniejszych miejsc w historii ludzkości. Aby się tutaj dostać, należy wcześnie rano ustawić się w bezładnej kolejce i pochylić głowę w niskim, kamiennym wejściu przez Drzwi Pokory. W tłumie słychać języki z całego świata – istna Wieża Babel! Kolejka posuwa się powoli, robi się duszno. Ostrożnie schodzę w dół po kamiennych, mocno wyślizganych schodach. Wszystkim udziela się powaga tego miejsca. Grota jest niska i ma zaledwie kilkanaście metrów kwadratowych powierzchni. Dookoła wiszą ozdobne zasłony oraz lampy oliwne, które jeszcze wzmagają gorącą atmosferę. Na klęczkach dotykam srebrnej gwiazdy i skały wewnątrz niej. Na kilka sekund zostaję z tym miejscem sam na sam. Wierzę, że TUTAJ zaczęła wypełniać się Boża obietnica Odkupienia ludzkości przez Syna. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś tu będę? Jakaś grupa zaczyna po cichu nucić kolędę „Cicha noc", bo głośne śpiewy i modlitwy są tu zabronione. A jednak TU jestem – byłem! To miejsce zostanie we mnie na zawsze.

HENRYK RADEJ

Czesław Michałowski

Kalendarz żołnierza 2-go Korpusu 1945 r.

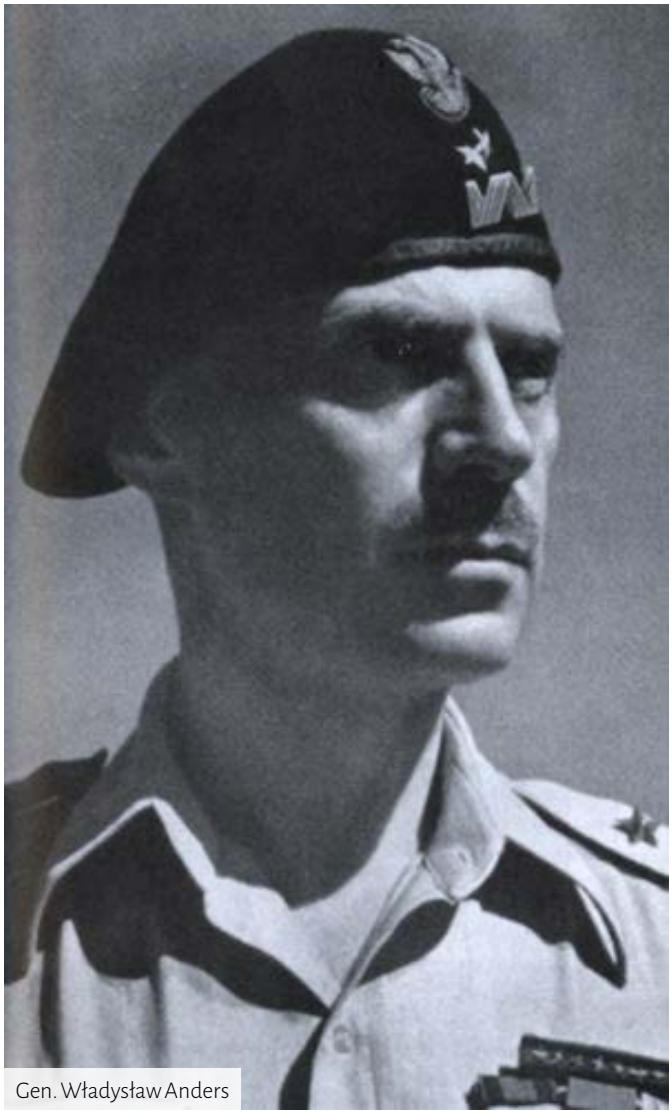

Gen. Władysław Anders

To wprost niebywałe, że wydany w r. 1944 we Włoszech przez Oddział Kultury i Prasy 2-go Korpusu i wydrukowany w Drukarni Polowej Kalendarz przetrwał w moich szpargałach tyle lat w stanie całkiem znośnym.

Pamiętam, że trafił do moich rąk w Prudniku, gdzie uczęszczałem do szkoły średniej w latach 1948–1950. Natomiast ofiarodawcy zupełnie nie pomnę. Wątpliwe, że był nim Stanisław Marcjan, którego podpis figuruje w części danych osobistych. Rubryki dotyczące roku i miejsca urodzenia oraz adresu w Polsce są puste.

Kalendarz ma formę książeczki o wymiarach 12,5 x 10.0 cm i liczy 140 stron. W górnej części okładki widnieje nieco już zatarty napis „Co nam obca przemoc wzięła mocą odbierzemy"; w środkowej dużymi literami „Kalendarz 1945" zaś nieco niżej „Polski Czerwony Krzyż Żołnierzowi 2 Korpusu", a na samym dole „Gwiazdka we Włoszech".

Na stronie 8 tekst Roty, przysięgi żołnierskiej: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, Prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym miał żyć i umierać jak prawy żołnierz polski, Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego męka, Amen".

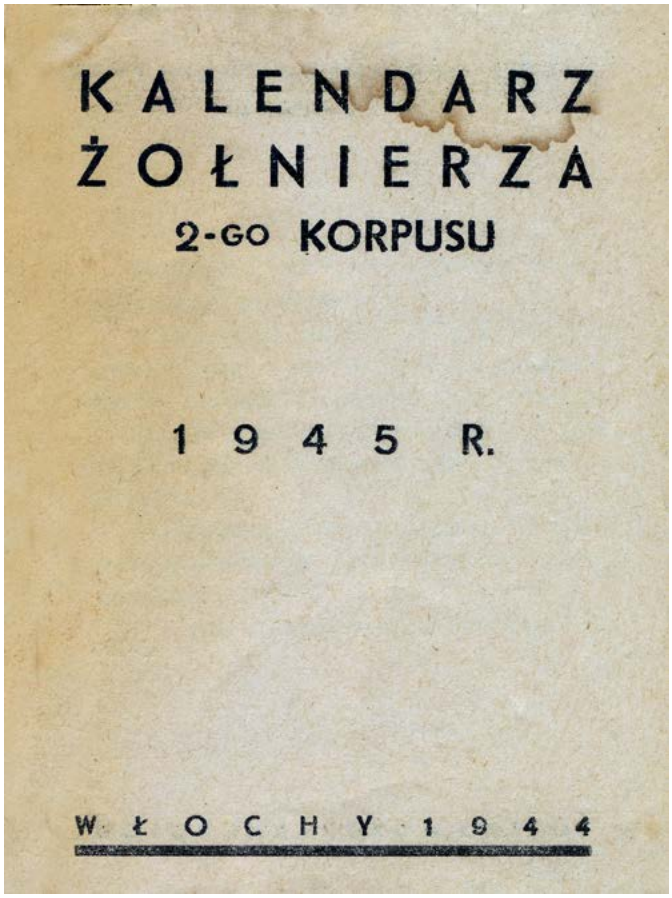

→

LEGITYMACJA Nr. 3421

St. strz. pch. KORBEL BOLESŁAW 1924/199/III z 3. Baonu S.K.

jest upoważniony do posiadania i noszenia

PAMIĄTKOWEJ ODZNAKI 3 DYWIZJI STRZELCÓW KARPACKICH

Dca 3 DSK

M. p. dn. 19. XII. 1945.

DUCH - gen. bryg.

Rotę poprzedza artykuł 1 Konstytucji z 23 kwietnia 1935 r., który przytaczam oraz cztery zwrotki Hymnu Narodowego. I tak, „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie. Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa. Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem".

W części wstępnej Kalendarza znajduje się ponadto fotografia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej z Wilna i tekst Polskiego Czerwonego Krzyża: „Wojna trwa szósty rok. Polska przeżyła w ciągu tych lat wszystko co może być dla wolnego narodu najkrwawsze i najcięższe. Żołnierze polscy idą do Polski drogami bezprzykładnie trudnymi. Polski Czerwony Krzyż wyszedłszy razem ze zbrojnymi szeregami poza granice Kraju stara się w miarę swoich sił robić wszystko, co byłoby wojsku pomocne w walce, a ludności cywilnej w tułaczym życiu. Naród samotny, musi liczyć przede wszystkim na zaradność własnych rąk, własnych organizacji. Oddając skromny ten kalendarz w ręce żołnierzy i ludności cywilnej, Polski Czerwony Krzyż żywi razem ze wszystkimi polskimi sercami nadzieję, że rok przyszły, obwieści już kalendarz wydany w Kraju, ku któremu idą Wojska Polskie na obczyźnie przez czas, krew i zwycięstwa".

Tradycyjnie ułożony kalendarz zajmuje 52 strony z pisemną adnotacją przypuszczalnie właściciela pod datą 10 grudnia (poniedziałek): „Wyjazd do (wyraz nieczytelny) wypłata żołdu".

Prawie każdy dzień roku wyznacza czyjeś imieniny. Wśród występujących imion wiele jest takich, które były modne wiele lat temu (np. Eulalia – 12 lutego, Tekla 23 września). Są jednak i takie, z którymi nigdy się nie spotkałem i według mnie brzmią nieco dziwacznie. Np: Anaklet – 13 lipca, Jolizjusz – 9 października, Kordula – 22 października, Bibianna – 2 grudnia.

Pamiątkowa odznaka wyzwolenia Bolonii

Na następnych stronach (od 63 do 66) widnieje wykaz świąt grekokatolickich, prawosławnych i żydowskich, a także narodowych państw sprzymierzonych.

Historyczny kalendarz polski (s. 66–71) ujmuje ważniejsze wydarzenia od czasów najdawniejszych do współczesnych (łącznie 125 dat). Przykładowo podaję pierwsze wydarzenia w ujęciu miesięcznym:

– 2 styczeń 1939 r. – śmierć Romana Dmowskiego
– 4 luty 1505 r. – Urodzenie się Mikołaja Reja
– 4 marzec 1386 r. – Koronacja Władysława Jagiełły na króla Polski
– 4 kwiecień 1794 r. – Zwycięstwo pod Racławicami
– 1 maj 1505 r. – Uchwała „Nihil Novi" początek monarchii konstytucyjnej w Polsce
– 1 czerwiec 1002 r. – Bolesław Chrobry zajmuje Łużyce
– 1 lipiec 1569 r. – Unia Lubelska
– 3 sierpień 1773 r. – Śmierć Stanisława Konarskiego
– 8 wrzesień 1514 r. Bitwa pod Orszą. Zwycięstwo hetmana litewskiego Ostrogskiego nad Moskwą
– 2 październik 1413 r. – Unia Polsko-Litewska w Horodle
– 1 listopad 1918 r. – Początki walk polsko-ukraińskich we Lwowie
– 5 grudzień 1867 r. – Urodzenie się Józefa Piłsudskiego w Zułowie

Znacznie obszerniejszy jest rozdział „Kalendarz obecnej wojny". Obejmuje 278 wydarzeń w latach 1939–1944 (s. 72–80) Przykładowo podaję pierwszą i ostatnią datę:

5 maja 1939 r. – Odrzucenie przez rząd polski w mowie ministra spraw zagranicznych żądań niemieckich („Polacy nie uznają pokoju za wszelką cenę. Istnieje jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bez ceny. Tą rzeczą jest honor")

5 października 1944 r. – Naczelny Wódz, Gen. Komorowski w niewoli niemieckiej. Lądowanie wojsk alianckich w Grecji.

W Kalendarzu (s. 86–94) znajdujemy życiorysy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza i dowódcy 2-go Korpusu generała dywizji Władysława Andersa wraz z ich portretami uzupełnione opisem sylwetki Naczelnego Wodza generała Bora-Komorowskiego.

I tak: „Władysław Raczkiewicz urodził się 29 stycznia 1885 roku na Kaukazie, gdzie ojciec jego przebywał na zesłaniu za działalność niepodległościową. Od lat szkolnych uczestniczył w pracach konspiracyjnych polskich organizacji młodzieżowych. Wyższe studia rozpoczął na Uniwersytecie Petersburskim, został jednak aresztowany przez żandarmerię rosyjską i ukończył wydział prawny w Dorpacie dokąd został zesłany po zwolnieniu z więzienia. Po wybuchu wojny 1914–1918 r. został powołany do armii rosyjskiej. Z chwilą rewolucji rozpoczyna prace nad organizacją Polskich Sił Zbrojnych na Wschodzie i zostaje delegowany na powszechny zjazd wojskowy do Petersburga, na którym piastował funkcję przewodniczącego. Na zjeździe wybrany został przewodniczącym Naczelnego Komitetu Wojskowego. W czasie wojny w latach 1919–20 Władysław Raczkiewicz obejmuje kierownictwo oddziałów ochotniczych, tworzonych na wschodnich kresach, piastując jednocześnie funkcję wojewody mińskiego, a po wojnie z bolszewikami Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich. Za udział w wojnie bolszewickiej otrzymał order Virtuti Militari. Po wojnie był kolejno delegatem rządu przy rządzie Litwy Środkowej, następnie wojewodą nowogródzkim, wileńskim, krakowskim i pomorskim. W kadencji 1929–1934 był marszałkiem senatu. W swej działalności społecznej stał na czele szeregu istytucji – od roku 1934 był prezesem Światowego Związku Polaków z Zagranicy. W dniu 30 września 1939 r. powołany został na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej".

„Gen. Bór przeszedł normalną drogę kariery wojskowej. W czasie poprzedniej wojny osiągnął stopień rotmistrza w 12 pułku ułanów. 31 sierpnia 1920 roku brał udział i odznaczył się w bitwie pod Komarowem. W roku 1933 został dowódcą macierzystego pułku (w stopniu pułkownika). Był reprezentantem Polski na olimpiadzie w roku 1936. W roku 1938 objął dowództwo Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. W roku 1939 dowodził brygadą kawalerii. Uniknął szczęśliwie niewoli niemieckiej. W roku 1940 stanął na czele ruchu konspiracyjnego i został dowódcą obszaru Krakowskiego. W maju 1940 otrzymał stopień generała brygady. W roku 1943 został mianowany zastępcą Komendanta Armii Krajowej. Po aresztowaniu gen. Grota otrzymał stanowisko Dowódcy Polskiej Armii Krajowej (w 1943). 30 września br. mianowany został Naczelnym Wodzem, zaś 5 października o godz, 9.15 rano dzieląc los żołnierzy, dostaje się do niewoli niemieckiej".

„Gen. dyw. Władysław Anders Dowódca 2 Polskiego Korpusu urodził się dnia 11 sierpnia 1892 r. w powiecie kutnowskim w woj. warszawskim. Po ukończeniu szkoły średniej w Warszawie studiował w latach 1911–1914 na Politechnice ryskiej, gdzie był członkiem korporacji Arkonia. Z chwilą wybuchu wojny znalazł się w szeregach armii rosyjskiej, jako ówczesnego okupanta ziem polskich. Brał udział w walkach w Prusach Wschodnich, później zaś w całej kampanii na wszystkich frontach od morza Bałtyckiego do Czarnego. Dowodził kolejno szwadronem, batalionem, był trzykrotnie ranny. W Petersburgu ukończył też w czasie wojny Akademię Sztabu Generalnego. W r. 1917 mianowany zostaje szefem sztabu 7 dywizji piechoty ros., a po wybuchu rewolucji przechodzi do Pułku Polskich Ułanów Krechowieckich. W r. 1918 jest szefem sztabu dywizji, Polskiego Korpusu w Rosji później bierze udział w walkach już na terenie Polski jest zastępcą szefa oddziału w Sztabie Głównym w Warszawie, bierze udział w postaniu Wielkopolskim w r. 1919, gdzie jest kolejno kwatermistrzem i szefem sztabu armii poznańskiej. Wojnę polsko-bolszewicką w latach 1919–21 przebywa jako dowódca 1 Pułku Ułanów Wielkopolskich (15 p. uł. Poz.). Odnosi rany, uzyskuje Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyż Walecznych. Jego pułk uzyskuje na sztandarze również Virtuti Militari. Po zakończeniu wojny w latach 1921–23 studiuje w Ecole Superieure de Guerre Paris i odbywa staż w lotnictwie i francuskim korpusie. Po powrocie do Polski jest kolejno dyrektorem nauk na kursach dla starszych dowódców, szefem sztabu w Generalnym Inspektoracie Kawalerii, a od r. 1926 dowódcą brygady kawalerii w Równem, Brodach i Baranowiczach. Gen. dyw. Władysław Anders jest poza tym wybitnym kawalerzystą – sportowcem, brał udział w wielu konkursach hippicznych, był wicemistrzem armii. Wojnę z Niemcami w r. 1939 rozpoczął w Lidzbarku na granicy Prus Wschodnich. Od 4 IX był dowódcą grupy operacyjnej walczył pod Mławą, Płockiem, Mińskiem Mazowieckim, w puszczy Kampinoskiej, pod Modlinem, Warszawą i wreszcie na linii Wieprz–Lublin–Krasnobród–Sambor. Mimo odniesienia trzykrotnie ran, walczy do końca z Niemcami, następnie stawia opór wkraczającym do Polski wojskom sowieckim. Leczy się później z odniesionych ran w szpitalu we Lwowie, gdzie zostaje aresztowany, o kulach odstawiony do więzienia lwowskiego, a stamtąd do Moskwy, gdzie trzymany jest 20 miesięcy w więzieniu w tym 7 miesięcy w pojedynczej celi. Z chwilą utworzenia Armii Polskiej w ZSRR zostaje 4 VII 1941 r. zwolniony z więzienia i obejmuje dowództwo tej armii. Po opuszczeniu przez wojska polskie terytorium ZSRR mianowany zostaje Dowódcą Armii Polskiej na Wschodzie. Za walki w Polsce w r. 1939 otrzymuje Złoty Krzyż Virtuti Militari, od 1942 do 1944 przebywa wraz z Armią Polską kolejno w Iraku, Palestynie i Egipcie

→

CENTRUM WYSZKOLENIA ARMII
L. DZ. 8/45.
M. P., DNIA 18 stycznia 1945.

C.W.A.

O.W.ART. O.W.Ł. O.W.TECH. O.W.SAN. O.W.P. O.W.PGAZ. O.W.SAP. O.W.GOSP. O.W.BR.PANC.

ZAŚWIADCZENIE

starszy strzelec podch. Korbel Bolesław
(stopień) (nazwisko i imiona)

urodzony 1.1.1924 Wilno, ukończył w czasie od 20.II.1944 do 18.I.1945
(data, miejsce urodzenia)

KURS Szkoły Podchorążych
(nazwa kursu)
Rezerwy Piechoty

w Ośrodku Wyszkolenia Piechoty

z wynikiem dostatecznym L.109/137

KOMENDANT
CENTRUM WYSZKOLENIA ARMII

KOMENDANT
OŚRODKA WYSZKOLENIA Piechoty

DYREKTOR NAUK
CENTRUM WYSZKOLENIA ARMII

P.A.T.

Zaświadczenie o ukończeniu kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty

przeprowadzając jej wyszkolenie i uzbrojenie. Na początku 1944 przybywa na ziemię włoską na czele wojsk polskich, walczących od początku lutego na tamtejszym froncie jako 2 Korpus. Korpus ten pod dowództwem gen. Andersa okrywa chwałą sztandary polskie w słynnej bitwie o Monte Cassino, o Piedimonte, a następnie w szeregu zwycięskich bitew na froncie adriatyckim, między innymi o Anconę, o rzekę Cesano, Metauro i w okresie przełamywania Linii Gotów. Za swoje wspaniałe dowództwo na froncie włoskim w szczególności w bitwie o Monte Cassino gen. Anders odznaczony zostaje przez króla Jerzego VI Orderem Łaźni, następnie dekorowany w Rzymie wojennym orderem amerykańskim Legion of Merite, zaś Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski dekoruje Go osobiście w Anconie orderem wojennym Virtuti Militari III klasy".

W części Ustrój Polski stwierdza się, że zgodnie z Konstytucją z r. 1935 „Prezydent Rzeczypospolitej jest czynnikiem nadrzędnym, który według swojego uznania mianuje Premiera i na jego wniosek Ministrów, zwołuje i rozwiązuje Sejm i Senat. Jest Zwierzchnikiem Sił Zbrojnych, reprezentuje Państwo na zewnątrz, stanowi o wojnie i pokoju i obsadza urzędy jemu zastrzeżone. Prezydent nie jest odpowiedzialny za swe akty urzędowe. Do uprawnień osobistych należą: na czas wojny wyznaczenie swego następcy, mianowanie i odwoływanie Premiera, Naczelnego Wodza, oddawanie członków Rządu pod sąd Trybunału Stanu.

Przed objęciem urzędu Prezydent składa przysięgę, w której obowiązuje się: Praw Zwierzchniczych Państwa bronić, Jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować względem wszystkich obywateli równą, kierować się sprawiedliwością, zło i niebezpieczeństwo od Państwa odwracać, a troski o Jego dobro za naczelny poczytywać sobie obowiązek".

Kalendarz informuje polskiego żołnierza o najważniejszych celach polityki narodów sprzymierzonych, które ujęto w Karcie Atlantyckiej podpisanej przez Rząd Polski 1 stycznia 1942 r. wspólnie z 26 państwami i Związkiem Sowieckim. Oto one (s. 98–100):

„1. Państwa podpisujące nie poszukują zwiększenia terytorialnego, lub jakiegokolwiek innego,

2. Nie życzą sobie być świadkiem zmian terytorialnych któreby nie były zgodne ze swobodnie wyrażoną wolą zainteresowanych narodów,

3. Szanują prawo wszystkich narodów do wyboru formy rządów pod którymi chcą żyć i życzą sobie aby suwerenne prawa i samorząd przywrócone zostały tym narodom, którym siłą im odebrano,

4. Dążą do jak najpełniejszej współpracy wszystkich narodów w dziedzinie gospodarczej celem zapewnienia wszystkim lepszego poziomu pracy, postępu gospodarczego, bezpieczeństwa społecznego,

5. Po po ostatecznym zniszczeniu tyranii hitlerowskiej mają nadzieję ustalić pokój, który zapewni wszystkim narodom środki bezpiecznego życia w ich własnych granicach i który zawierać będzie zapewnienie wszystkim ludziom, we wszystkich krajach, korzystania z życia wolnego od obaw i niedostatków,

6. Wierzą w to, że wszystkie narody świata z pobudek rzeczowych i duchowych zarzucą użycie siły. Ponieważ żaden przyszły pokój nie będzie mógł być utrzymany jeśli zbrojenia na lądzie, na morzu i w powietrzu będą nadal użyte przez narody, które grożą albo będą groziły agresją poza swymi granicami, wierzą, że zanim stworzy się szerszy i trwalszy system powszechnego bezpieczeństwa rozbrojenie takich narodów jest koniecznością. Będą tedy popierali te wysiłki i zachęcali do wszelkich praktycznych środków, które ułatwią ludziom miłującym pokój zmniejszenie miażdżącego ciężaru zbrojeń".

W końcowej części informacji poświęconej polityce rozdział Rola Polski w Europie środkowo-wschodniej (s. 100–101) kończy się następująco: „Po tej wojnie Polska musi stać się nie tylko wolnym i niepodległym państwem, ale ośrodkiem i siłą dokoła których powstanie związek wolnych narodów i państw, zespolonych doświadczeniami przeszłości i świadomością wspólnych celów".

Końcowa część tego niezwykłego Kalendarza poświęcona jest wiadomościom o świecie (geografia, ludność, miasta, rzeki itp.) oraz uposażeniu żołnierzy (żołd) i oficerów, a także informacjom dot. opłat pocztowych, angielskiego układu monetarnego i porównawczej tablicy czasu. Kilka zdań na temat uposażenia oficerów i żołdu szeregowców i podoficerów. I tak, miesięczny żołd w walucie brytyjskiej waha się od 2 do 12 szylingów, zaś uposażenie oficerów od 16 do 81 funtów. Do tego wynagrodzenia dochodzą dla wszystkich żołnierzy różnego rodzaju dodatki (rodzinne, śródziemnomorskie, na umundurowanie i in.). Podobna siatka płac obejmuje ochotniczki P.S.K. i personel Wojskowego Korpusu Sióstr Służby Zdrowia.

Na tym kończy się bogaty w treść Kalendarz wydany dla potrzeb polskiego żołnierza walczącego z Niemcami we Włoszech w ostatnim roku wojny.

Jednak kiedy kartka po kartce przeglądałem ten niezwykły i być może jedyny w Lublinie dokument, bo za taki należy go uznać, postanowiłem nieco przybliżyć Czytelnikom postać jednego z byłych żołnierzy 2-go Korpusu. A mianowicie mego sąsiada z ulicy Krańcowej w Lublinie p. inż. Bolesława Korbla. Opis wydarzeń, który w wielkim skrócie zamieszczam pochodzi z bezpośrenich relacji p. Bolesława oraz Jego żony Lucyny. Oto ta zadziwiająca opowieść.

Mój rozmówca urodził się w Wilnie w r. 1924 w rodzinie zawodowego podoficera kawalerii. Po wzięciu do niewoli ojca przez NKWD w r. 1939 Bolesław wraz z mamą i siostrą wraca z Podbrodzia do rodzinnego miasta. W tym miasteczku syn p. Korblów uczęszczał w pierwszym roku okupacji litewskiej do tzw. progimnazjum, czyli szkoły powszechnej (nieprawdopodobny zbieg okoliczności: do tej samej szkoły litewskiej w tym samym czasie chodziła moja żona Alicja). Po powtórnym zajęciu tych terenów przez Związek Sowiecki z obawy przed wywózką na Sybir pozbawiona męża i ojca rodzina postanowiła uciec z Wilna do Generalnego Gubernatorstwa. W dramatycznych sytuacjach, często nocą, pieszo, przez leśne bezdroża i graniczną rzekę udaje im się dotrzeć do krewnych mieszkających pod Częstochową. Bolesław tęskniący do ojca decyduje się na nielegalny powrót do Związku Sowieckiego i dotarcie do obozu jenieckiego na Białorusi, gdzie, jak wie, przebywa jego ojciec. Celem tej niebezpiecznej wyprawy była pomoc ojcu w ucieczce z obozu i wspólny powrót do rodziny. Niemieckim pociągiem dojeżdża na gapę do granicy, którą ma zamiar przekroczyć pieszo. Brnąc w śniegu po pas, przysiada zmęczony pod granicznym słupem i chwilę po tym odkrywa go rosyjski patrol. Zostaje aresztowany i oskarżony o szpiegostwo. Bowiem pogranicznicy znaleźli w jego kieszeni strzępek gazety wydawanej w Generalnym Gubernatorstwie. Nie pomagają żadne zaprzeczenie, a nawet pozorowanie wobec niego egzekucji. Dwóch mężczyzn stojących obok niego nad wykopanym świeżo dołem zostaje rozstrzelanych, a on sam wraca żywy do aresztu. Nie uzyskując potwierdzenia zarzutów, pogranicznicy odsyłają go do więzienia, w którym przebywa kilka miesięcy w strasznych warunkach o głodzie i w nieprawdopodobnie ciasnej celi pełnej kryminalistów. Wreszcie dzięki wstawiennictwu lekarza Polaka zostaje zwolniony i jako „biezprizornyj", czyli w nomenklaturze sowieckiej młodociany bezdomny sierota, wysłany pod konwojem do Domu Dziecka w Arteku na Krymie. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku dzieci wraz z personelem zostają ewakuowane w głąb Rosji. W czasie długotrwałej podróży Bolesław razem z kolegą Polakiem uciekają z pociągu i tułają się po azjatyckiej części tego ogromnego państwa. Udało im się po nieprawdopodobnie niebezpiecznych zdarzeniach dotrzeć z okolic Bajkału do miejscowości Guzar blisko Afganistanu, w którym zgodnie z Umową polsko-sowiecką w r. 1941 odbywała się rejestracja zesłańców kandydatów do polskiej armii. Po dodaniu sobie lat Bolesław został przyjęty do wojska

→

Starszy strzelec podchorąży Bolesław Korbel (z lewej) na ulicach Bolonii

i razem z nim wyemigrował do Iraku. Tam zachorował na tyfus, a po wyleczeniu został objęty obowiązkowym dokształcaniem w zakresie szkoły średniej. W Iraku spotkał się z ojcem, który po nieudanej ucieczce z obozu jenieckiego został zesłany do gułagu w Workucie skąd udało mu się dotrzeć do armii polskiej. Bolesław po służbie w Iraku odbył wraz z wojskiem podróż do południowej Palestyny, następnie do Egiptu i wreszcie pod koniec r. 1943 wylądował z całym składem 2-go Korpusu w porcie Tarent we Włoszech. Pełniąc służbę żołnierską, Bolesław przebył cały szlak bojowy 2-go Korpusu. Brał udział w walkach o Monte Cassino, Piedimonte (przełamanie linii Hitlera), wyzwalał Ankonę, a w ostatniej fazie wojny, tj. w kwietniu 1945 roku, zdobywał Bolonię.

Po kapitulacji Niemiec Korpus wszedł w skład wojsk okupacyjnych. Po przejściu do rezerwy p. Bolesław w r. 1946 wyjechał do Wielkiej Brytanii i zamieszkał w Londynie aż do lat sześćdziesiątych, tj. do czasu powrotu do kraju. W Polsce spotkał się z ojcem, który wrócił wcześniej.

Wiele lat po wojnie bohater mojej opowieści razem z żoną odwiedzili Italię, po której wędrowali szlakami bojowymi st. strzelca podchorążego 3 Dywizji Strzelców Karpackich Korpusu, którym był niegdyś obecny cywil inż. Bolesław Korbel. Po drodze spotykali byłych polskich żołnierzy niekiedy w dawnych uniformach, na których widniały tzw. Odznaki Rozpoznawcze mające na tarczy Warszawską Syrenkę, po bokach której widniały wiązki laurowe, zaś na obrzeżach napis „2 Korpus Polski", zaś w środku krzyż.

Na zakończenie Marsz 2 Korpusu

Może były między nami jakieś kwasy
Ten z Narwiku, tamten znów angielski lord
A ten trzeci spod Tobruku
A ten czwarty z Buzułuku
Połączyło nas Cassino, klasztor fort

To my żołnierze 2 Korpusu
Krzyżowców tarcza ramię zdobi nam
To my żołnierze 2 Korpusu
Oszczerstwom wszystkim zadaliśmy kłam

Nie słowami, bo usta milczały
Odpowiedź naszą pisaliśmy krwią
I jak huragan skruszyliśmy skały
I powinność spełniliśmy swą!

Dzisiaj nie ma między nami już różnicy
Dziś złączyła nas przelana wspólnie krew
Leży rotmistrz spod Tobruku
Obok kapral z Buzułuku
Leżą ramię przy ramieniu Świerk i Lew

Czesław Michałowski

Ks. Edward Walewander

Dziecko w opcji życiowej Janusza Korczaka

Nie trzeba być pedagogiem, wychowawcą, żeby nie odczuwać jakiegoś własnego niedostatku w zetknięciu z Januszem Korczakiem (1878–1942). Jest to zrozumiałe, gdyż zawsze pojawia się pytanie o naszą decyzję w sytuacji, w jakiej on się znalazł w dniu swojej śmierci owego 7 sierpnia 1942 r.

Dziecko jest tematem bardziej uniwersalnym niż jakikolwiek inny, gdyż na nim buduje się – jeśli tak rzec można – historia. O płyciźnie współczesnego nam myślenia wielu ludzi świadczy to, że przedkładają własną karierę nad dziecko. Przenosząc te spostrzeżenia w świat historii, trudno byłoby przeoczyć obecną chwilę, kiedy wracamy myślą do chrztu Polski. Wielorakie interpretacje tego epokowego wydarzenia rzadko uwzględniają istotę przemiany, jaka wtedy dokonała się na polskiej ziemi. A było nią i jest zaludnienie jej nowymi generacjami ludzkimi, przez chrzest włączonymi w świat wartości transcendentnych i w to, co nazywamy środowiskiem europejskim. Równolegle z obchodami tych ważnych dat przeżywamy Rok Miłosierdzia. Jakże nie łączyć obu tych okoliczności z wymianą pokoleń, a więc z dzieckiem w pierwszym rzędzie?

Oba tu wskazane wydarzenia mają stygmat wiary chrześcijańskiej. Janusz Korczak należał do innego świata w wymiarze religijnym, ale wartości, jakie niesie ze sobą chrześcijaństwo, były mu bliskie, choć może tak przezeń nie nazywane. A miłosierdzie? Gdzież więcej go można znaleźć niż w jego całym życiu i jego końcówce, mającej wymowę ewangeliczną w najwyższym wymiarze i najcenniejszej jakości?

Tak więc splata się w moim rozważaniu o Januszu Korczaku – jakże skromnym i niepełnym – to, co z natury ludzkie, z tym, co namaszczone autorytetem Objawienia. Historia z jej okrutnym bagażem, który unieść musiał Janusz Korczak na swych barkach aż do komory gazowej, w dodatku dźwigając ciężar strachu i nadziei tych małych istot, na których ufność zasłużył sobie, obdzielając je swoją miłością, to lekcja, która powinna dotrzeć do każdego, kto ma pieczę nad dzieckiem[1]. Czy dociera?

* * *

Ilekroć jest mowa o Januszu Korczaku, przed oczyma staje mi kadr z filmu o nim, pokazujący makabryczny pochód dzieci, na którego czele idzie on – wychowawca? nauczyciel? lekarz domu dziecka? filantrop? Trudno dobrać odpowiednie słowo, które wyrażałoby w pełni niezwykłość tego człowieka[2]. Polega ona nie tyle w jego funkcji, roli, a nawet posłannictwie, choć może to ostatnie słowo byłoby tu najwłaściwsze. Trudność w zdefiniowaniu tej postaci polega na tym, że długo trzeba szukać analogicznego wzorca. Czy w ogóle można go znaleźć? W bogatej historii świata i w jeszcze bogatszych dziejach duszy ludzkiej zapewne tak. Byłoby to jednak zadanie czysto akademickie, żeby nie powiedzieć – teoretyczne. Ale Janusz Korczak – gdy mowa o nim tu i teraz, a to „teraz" to cały ciąg naszej pamięci o czasie nieludzkim, zapisanym przerażającym ciągiem zbrodni i deptania człowieczeństwa, o boskim porządku nawet nie wspominając – taki Korczak możliwy jest tylko w kategorii żywego symbolu. Słowo *symbol* sugeruje utożsamienie tej postaci z najwyższą ofiarą. Składa ją każdy, kto oddaje swe życie za przyjaciół. To ewangeliczna definicja. Ktoś rozumujący w konwencji teoretycznej mógłby powiedzieć, a choćby tylko pomyśleć, że nie tędy droga do definiowania ofiary Korczaka. Wszak był Żydem i dlatego znalazł się w sierocińcu na ul. Krochmalnej w Warszawie. Był także polskim oficerem, znanym lekarzem. Był kimś, kto mógł z holokaustu wyjść bez szwanku. Miał zapewnioną ucieczką i kryjówkę. Czy ktokolwiek żyjący w tamtych czasach, więzień warszawskiego czy jakiegokolwiek innego getta, nie skorzystałby z takiej szansy? Czy można mieć komuś za złe, że ratuje swe życie?

Korczak jednak nie skorzystał. Dlaczego? Bo nie był opiekunem, pedagogiem, mentorem za pieniądze. Od godziny do godziny. On kochał te osierocone dzieci, tak wcześnie doświadczone przez los, żyjące w oparach wiecznego strachu, nie rozumiejące zła ani tych, którzy je

[1] J. Tarnowski, *Janusz Korczak dzisiaj*, Warszawa 1990, *passim*.

[2] Por. E. Walewander, *Dziedzictwo Janusza Korczaka*, w: *Dziecko w historii – wątek Korczakowski*, red. E. J. Kryńska, A. Suplicka, U. Wróblewska, Białystok 2013, s. 175–176.

→

Kadr z filmu *Korczak*. (Janusz Korczak z grupą żydowskich dzieci)

generowali[3]. Podopieczni Korczaka nie byli już dziećmi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przedwcześnie dorośli, bo znaleźli się w matni, z której nie było wyjścia. Korczak to wszystko wziął na siebie. Stał się „odgromnikiem". Wiedział, że będzie musiał przejść razem z tymi maluchami przez straszne minuty w bunkrze gazowym. Chciał im towarzyszyć do samego końca, żeby aż do ostatniej sekundy przed nieuniknioną męką śmierci być dla nich oparciem, źródłem siły. Żeby swoją obecnością dodać im odwagi. Tyle tylko mógł ocalić z ich dzieciństwa, zniweczonego przez zwierzęcą nienawiść człowieka.

Jeśli ktoś chciałby poznać duszę Korczaka, jego filozofię życia na krótkim odcinku między ul. Krochmalną a komorą gazową w niemieckim obozie koncentracyjnym w Treblince, niech pomyśli – choć tak naprawdę nie jest to możliwe – co czuł, co myślał, na co się decydował ów „chrześcijanin bez chrztu", naśladowca Chrystusa, nie będący Jego wyznawcą, święty z prawdziwego zdarzenia, choć nigdy nie kanonizowany. Człowiek najwyższej próby. Zabity jako jeden z podludzi[4].

Wszystkie inne, najmądrzejsze nawet dywagacje na temat Janusza Korczaka, jego pedagogii, nowatorstwa w wychowaniu mogą wprawdzie być poprawne metodologicznie i prawdziwe, ale będą się zupełnie mijać z tym, co jedynie ważne, choć słabo uchwytne. Bo miłość nie wypowiedziana słowem, ale promieniująca każdym gestem, lekceważąca własne dobro po to, by dawać je innym w największym wymiarze, bo za cenę swego życia, nie da się opisać jak podręcznikowy wykład najwspanialszej nawet teorii. Jedyne, co można uczynić, to nisko pochylić głowę i w ciszy medytować nad ogromem świadectwa, jakie złożył ten człowiek[5]. Ma ono wymiar ponadczasowy.

* * *

Przypominanie postaci Janusza Korczaka jest konieczne, tak jak przypomina się, nie bez powodu, chrześcijańskich świętych. W obu przypadkach chodzi o wzorzec. Również w obu przypadkach heroizm nieodłączny od niego jego podobny. Jeśli nie identyczny. Nadto dziecku stale grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie komora gazowa, ale nie mniej zabójcze wypaczenia w przygotowaniu do życia, wychowaniu, przekazie wartości. Nie mówimy tu o odmowie prawa do życia, z jaką dziecko dziś się spotyka, bo brutalne zło, tkwiące zarówno w praktykach tu stosowanych, jak i w teoriach mających te praktyki uzasadnić, jest dziś notoryczne.

Janusz Korczak był ojcem dzieci najcięższej doświadczonych przez los. I dzisiaj takich dzieci nie brakuje. Zatem pójście jego śladem to najlepsze rozwiązanie wielu bolesnych spraw, których nie dostrzegamy lub nie chcemy dostrzec. ■

[3] Por. E. Furman, *Wychowanie w domach dziecka według Janusza Korczaka*, Lublin 2008, *passim*, mps Arch. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

[4] E. Walewander, *Janusz Korczak – służba aż do heroizmu*, „Ateneum Kapłańskie" 1991, z. 2–3, s. 374–376.

[5] Por. D. Waldziński, *Ekonomia życia versus ekonomia zysku. Sytuacja dziecka w warunkach współczesnych przemian kulturowo-cywilizacyjych*, w: *Dziecko. Studium interdyscyplinarne*, red. E. Swińska, E. Szczurko, T. Guz, P. Marzec, Lublin 2008, s. 471–488.

Zbigniew
Waldemar Okoń

Marian Janusz Kawałko

czyli o poezji i *miłości, którą gwiazdy wieńczą…*

Ciebie życie, kochać nie jest łatwo,
zapominasz, że jestem twą tęczą,
więc mnie przytul i się czasem zatrwóż
o mą miłość, którą gwiazdy wieńczą.
Marian Janusz Kawałko

13 grudnia 2006 r. Marian Janusz Kawałko prosił Boga:

Powiedź mnie – Panie – choćby na dzień do arkadii (…)
Może ujrzę tam przodków (…) na spirali wszechczasu...
Tam na jasnej polanie, w cieniu Twoich oczu
ułożę Zmartwychwstanie w kształt ikonostasu
i niczym jasna plamka na ciemnym przezroczu
zanurzę się w zieleni z Twojego atłasu (…)
Pocznij pęcherzyk wiary w duszy mej krysztale
a ja świtu doczekam i kryształ ocalę (*Tołstoj VIII*)

Bóg czytał jego wiersze. 10 lat i 35 dni później – 17 stycznia 2017 r. – spełnił jego prośbę, *wyniósł* go *nad przestworze* (...), *wpisał w swą chwałę*.

Marian Janusz Kawałko, poeta, pisarz, krytyk literacki, tłumacz, publicysta, regionalista, animator kultury i nauki, doktor nauk humanistycznych, tłumacz poezji metafizycznej Rainera Marii Rilkego, autor tekstów piosenek do muzyki Marka Andrzejewskiego (Lubelska Federacja Bardów), Macieja Turkowskiego i Piotra „Kuby" Kubowicza (Piwnica pod Baranami w Krakowie), jedna z najbardziej znanych i cenionych postaci świata kultury i literatury nie tylko naszego regionu, twórca o znaczeniu ogólnopolskim, członek wielu organizacji społeczno-kulturalnych zmarł 17 stycznia 2017 r. w szpitalu klinicznym w Lublinie. Miał 69 lat. Spoczął 20 stycznia 2017 r. na cmentarzu parafialnym w Rejowcu (po odmówieniu Różańca w jego intencji i odprawionym Nabożeństwie Żałobnym w tutejszym Kościele Parafialnym), żegnany przez licznych mieszkańców Rejowca i okolicznych miejscowości, władze Województwa Lubelskiego i Powiatu Chełmskiego, Urzędów: Marszałkowskiego w Lublinie, Miast w Lublinie, Chełmie i Rejowcu, kolegów ze Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Rocznik Chełmski, Chełmskiego Klubu Literatów „Osnowa" oraz wielu innych organizacji społecznych i kulturalnych Województwa Lubelskiego.

Dr Marian Janusz Kawałko (1947–2017). Fot. Waldemar Taurogiński

Egzamin ze śmierci (M. J. Kawałki – przypis mój) *okazał się/ najtrudniejszy* (wiersz pt. *Metamorfozy*). Dla mnie również. Nie będę pisał o Marianie w czasie przeszłym. I nie dlatego, że był moim przyjacielem, że wciąż nie mogę pogodzić się z jego odejściem, że wciąż powraca do mnie jego wiersz (*Moje miasto*) z ponadczasowym przesłaniem:

umarli żyją w mojej tkwią pamięci
posłuszni zawsze by odejść na stronę (…)
umarli żyją przychodzą o zmierzchu
gotowi oddać swój mit swoją przeszłość (…)
umarli żyją
póki my żyjemy

Dla twórców wybitnych, a do takich zaliczyłbym Mariana Janusza Kawałkę, czas przeszły nie stnieje. Marian Janusz Kawałko żyje i żyć będzie w czasie teraźniejszym każdej epoki – w pamięci obecnego i przyszłych pokoleń czytelników, którzy odczytywać będę jego wiersze, zaznajamiać się z jego myślami, przedłużać jego ziemskie (czytaj: literackie) życie wbrew prawom fizycznym. Marian Janusz Kawałko żyje i żyć będzie zawsze w czasie teraźniejszym – w dziełach literackich (i naukowych), w wierszach i książkach, które stworzył i które pozostaną w historii literatury i nauki polskiej.

Jestem przekonany, że w miarę upływu czasu, jego wpływ na świadomość artystyczną i kulturowo-społeczną, ideową przyszłych pokoleń, szczególnie wywodzących się z Lubelszczyzny, będzie wzrastał ze względu na liczne nagromadzenie w jego twórczości publikacji naukowych, często odkrywczych (nie badanych dotąd przez

→

naukowców), o historii, miejscach i ludziach związanych z dziedzictwem kulturowym naszej małej ojczyzny – Lubelszczyzny (Chełma i Ziemi Chełmskiej), ale i Polski (opracowania naukowe i publikacje prasowe o Mikołaju Reju, Rejowcu, Pawłowie) oraz – a może przede wszystkim – z powodu nagromadzenia w jego poezji utworów wysoce artystycznych, o ponadczasowym, humanistycznym przesłaniu, które przyszłe pokolenia odczytywać będą jako artystyczny dokument i testament człowieka drugiej połowy XX i początków XXI wieku, obciążonego ogromnym bagażem kulturowym i światopoglądowym minionego już świata, jego codziennej egzystencji i problemów, tragedii i triumfów. Są to utwory o niepowtarzalnym artystycznie (charyzmatycznym) w poezji polskiej sposobie wypowiadania się, precyzji i czystości literackiego języka, uklasycznianiu poetyckiej awangardy, mocno umiejscawiające twórczość Mariana Janusza Kawałki w literaturze polskiej.

Utwory te odczytywane jako refleksje doświadczonego, wiele wiedzącego pisarza obdarzonego temperamentem społecznika, konfrontującego bez kamuflażu swoje życie z dramatycznym okresem przemian i dramatów dziejowych czasu, w którym przyszło mu żyć, nie izolującego się od aktualiów społecznych i politycznych, ukazującego swoje przeżycia, doświadczenia, myśli i stany psychiczne w kontekście nie tylko jednostki, ale i ogółu społeczeństwa, staną się zapewne ważnym zapisem ojczystych dziejów, ukazywanych w kontekście wydarzeń historycznych (z lat 1944–1989–2017) z perspektywy humanistycznej, metafizycznej, religijnej, patriotycznej.

W wierszu *Ta Polska*, dedykowanym córce, Marian Janusz Kawałko wyznał:

Ja się tej Polski co dzień uczyć muszę
jak ociemniały uczy się miłości
niejedną już mi przeszczepiono duszę (...)
Ja wciąż w tej Polsce kraju szukać muszę
w którym by wszystkie jednały się słowa
gdzie by kończyły się drogi najdłuższe
zdrady najświętsze i wieczne pustosłowia

by w wierszu *A jeśli* zapytać gorzko:

A jeśli Polska
to po której ręce
po, jakim hasłem
pod czyją obroną
z ilu proroków
siewców i paskarzy
czy z białą flagą
czy z perłą w koronie (…)
czy o każdej porze (…)
kto w niej skalpelem
kto zblakłą narkozą
kto – pastwą losu
wyzutą z sumienia
A jeśli Polska
to czy dla poety
któremu serce
bandażem ściśnięto
czy dla wędrowca
co pogubił szlaki
i każdą gwiazdę
nazywa wyklętą
A jeśli Polska
to komu pancerna
komu stepowa
a komu bezdomna
komu borsucza
komu kratowana
dla kogo szczęsna
dla kogo zaś słona
A jeśli Polska –
święte jej rubieże
A jeśli Polska
niech ją Bóg ustrzeże

Miłość do Polski, świat wolności i sprawiedliwości, którego Polska w jego poezji jest synonimem, troska o jej przyszłość, prośba do Boga o jej ustrzeżenie, ukazywanie współczesnej Polski w niezakłamanej rzeczywistości, odwoływanie się do jej symboli i ponadczasowych idei i wartości, którym Polacy zawsze pozostawali wierni – to jeden z najpiękniejszych i najwyrazistszych lejtmotywów w poezji Mariana Janusza Kawałki. Jest rzeczą charakterystyczną, że poeta nie osądza Polski, swojej ojczyzny, nie odwołuje się do jakiejś umownej, współczesnej, konwencjonalnej, partyjnej skali wartości, lecz do wartości stałych, tradycyjnych polskich cnót i obowiązków, których wybór dla Polaków jest najważniejszy, najwartościowszy i oczywisty. Nie poucza nikogo – jeżeli już, to tylko samego siebie:

czy wiem czemu żyję – czy to wiem?
czemu się mnożą we mnie byty zakazane,
co raniąc moją duszę hartowanym szkłem,
są lustrami złoczyńców i bolą nad ranem (…)
czy wiem wbrew czemu żyję – czy to wiem?
czy wbrew logice, czy wbrew filozofom (*Tołstoj IV czyli tren o Narodzeniu*)

Twórczość Mariana Janusza Kawałki to także dramatyczne zmagania człowieka z chorobą, nieustanne odwoływanie się do Boga *(Stawam przed Tobą – Panie – nieprzejrzysty/ługiem skażony z nasiennej retorty.../niczym przęsło kruche),* to bardzo osobisty bilans jego dokonań twórczych w obliczu nieuchronnie zbliżającego się zagrożenia chorobą i śmiercią (*kurczowo chwytam się nieba oburącz/już jest mi/bosko i gwiżdżę/na wszystko...*), to narastający w każdym następnym tomie jego poezji dramatyzm i niepokój

o ludzką egzystencję, o współczesny świat (*przeobrażeni na nowo w ciemność/wsączamy się z obnażoną łzą między/ zastygłe włókna czasu/*, to tragedia człowieka, który przez całe życie szedł *do Ciebie/ Panie przez listopadowe kurhany.../o sumienie się potykając/*, prosząc Boga: *uczyń/co możesz ponad/ sprawiedliwość/ Panie/ co złego stać się może/ niech mi się/ odstanie/*.

Twórczość Mariana Janusza Kawałki jest twórczością wysoce artystyczną, intelektualnie dojrzałą, nawiązującą do drugiej awangardy, świadomie wypełniającą „postulat Peipera – Przybosia" (określenie M. J. Kawałki), ale jeszcze bardziej świadomie i stanowczo odchodzącą od ich awangardowego „sposobu logicznego wiązania słów w zdania poetyckie". Jest to twórczość niepokorna w formie, nieograniczona w treści i możliwościach wyrażania piękna i prostoty, charakteryzująca się odwagą wypowiadania i dzielenia się intymnością i szczerością wiary w uznawany system wartości, w Boga, posługująca się uogólnieniem – ale jednocześnie zmierzająca do jednostkowego, indywidualnego wyrażania świata i jego historyczno-społecznych i kulturowych uwarunkowań, definująca Boga (*chcę wyznawać Cię sobą)*, pisarza i świat prawdą jego życia i śmierci, będąca wielką metaforą człowieczego losu, naturalna w brzmieniu i opisywaniu rzeczywistości przede wszystkim poprzez wartościowanie samego siebie, pozostawiająca czytelnikowi *„wolny wybór"* i czyniąca *„Go współtwórcą wierszy – ku Jego emocjonalnemu i estetycznemu przeżyciu oraz mojej satysfakcji"* (określenia M. J. Kawałki, z tomu *Zmienna ogniskowa*). Jest poezją ogromnie zróżnicowaną, niezwykle różnorodną, wielotematyczną i wielokulturową, zindywidualizowaną w najwyższej formie i treści artystycznego przekazu, mocno osadzoną w tradycji humanistycznej, przywołującą konteksty biblijne, odwołującą się do polskiej tradycji historycznej, do triumfów i klęsk naszej historii, do odwiecznych wartości kultury i literatury, do polskiego dziedzictwa kulturowego oraz polskiej pamięci i świadomości narodowej.

Twórczość Mariana Janusza Kawałki jest twórczością zmuszającą czytelnika nie tylko do myślenia nad przeszłością i teraźniejszością Polski, ale także nad jej przyszłością, nad miejscem człowieka tu i teraz, nad życiem, które autorowi *Osuwiska* skakało *„ciągle do oczu"* i nie chciało z nim *„żyć na wiarę"*. Poszukiwania artystyczne Mariana Janusza Kawałki inspirowane były jego przeżyciami osobistymi, metafizyka jego wierszy odwołuje się do biologicznych i duchowych aspektów życia, do erotyki miłości i spełnienia (*najwystępniej zapamiętuję Cię z ciała/obnażonego ze słów i zapamiętuję/kiełkujący wiersz który rozrasta się/w śpiew a potem burzę rozmyślnie cały*), urzeka metaforyką, urodą i świeżością słowa. Jest to twórczość bardzo ceniona przez współczesnych pisarzy i krytyków literackich (np. Czesława Miłosza, Piotra Kuncewicza, Zbigniewa Włodzimierza Fronczka, Marię Makarską, Jerzego Sprawkę), którą również przyszli badacze i historycy literatury – jestem o tym przekonany – wysoko usytuują w kanonie i historii literatury polskiej.

W 2010 r. w Bibliotece Rocznika Chełmskiego (t.4, s. 281) Jerzy Sprawka napisał:

Jest w tej poezji coś fascynującego, coś, co przyciąga uwagę i zmusza do osobistych konfrontacji z opisywanymi przeżyciami. Po zapoznaniu się z wierszami – obojętnie, z jakiego okresu pochodzącymi – duch czytającego przenosi się w inną rzeczywistość i owładnięty sugerowanym przez poetę marzeniom – marzy. Nie są to marzenia senne. Opisywany przez Kawałkę świat jest dobrze znany, bliski każdemu człowiekowi, a jednak odkrywany na nowo budzi uśpione tęsknoty, przywołuje dawno zapomniane zdarzenia, wzrusza.

Przedwczesna śmierć Mariana Janusza Kawałki nastąpiła w momencie, gdy dotarł on nie tylko na wyżyny artystyczne polskiej poezji, ale osiągnął najwyższy stopień dojrzałości twórczej zarówno w wymiarze artystycznym (ostatnie tomy jego poezji), jak i naukowym (np. publikacje w „Roczniku Chełmskim" i innych pismach naukowych).

Poeci często przewidywali uznanie i sławę, która powstawała – i wciąż trwa – po ich śmierci. Tak było i jest np. z Józefem Czechowiczem, który „długo wcześniej" przepowiedział w jednym z wierszy swoją tragiczną śmierć (w Lublinie we wrześniu 1939 r.) oraz sławę, która *„złotym blaskiem"* zalała jego grób.

Marian Janusz Kawałko w 1986 r. w wierszu *Teraz – potem* napisał:

niczego nie zaczynam (…)
Mistrz umrze samotny
tłum zaniesie ofiary...

Natomiast w wierszu *Psalm o życiu doczesnym* w styczniu 2009 r. wyznał:

Ciebie życie, kochać nie jest łatwo,
zapominasz, że jestem twą tęczą
więc mnie przytul i się czasem zatrwóż
o mą miłość, którą gwiazdy wieńczą.

Dziś, gdy Mariana Janusza Kawałki zabrakło wśród nas, z całą siłą powracają do nas jego *myśli/ przesuwające się/ w klepsydrach godzin powoli/ doroślejące do/samodzielności* ...ciągle gotowe do zauroczenia. To szczere wyznanie poety (w wierszu Myśli moje z 2012 r.) jest – i wyraża jednocześnie – przyszłą metamorfozę i uznanie jego twórczości, nieuśmierzonej przez żaden sen" – przez śmierć. Twórczości, która pozostanie na firmamencie polskiej literatury i która wciąż jaśnieć będzie – tęczą jego nowego, literackiego życia, jego poezji i „miłości, którą gwiazdy wieńczą".

ZBIGNIEW WALDEMAR OKOŃ

Ks. Edward Walewander

Odznaczenia Stowarzyszenia Współpracy Polska–Wschód

Od redakcji. Ogólnopolskie Stowarzyszenie Współpracy Polska–Wschód obchodzi w roku 2017 już 25-lecie swej działalności. Z tej racji przyznało okolicznościowe medale Mickiewicz–Puszkin oraz okolicznościowe dyplomy. Odznaczenia zostały przyznane zasłużonym w działalności na rzecz zbliżenia Polski z sąsiadami za naszą wschodnią granicą, a zwłaszcza tym osobom, które niosą pomoc Polakom żyjącym na dawnych polskich Kresach Wschodnich.

Uroczystość docenienia udekorowanych odbyła się w Oddziale Lubelskim Stowarzyszenia przy ul. Rynek 18 w dniu 25 października 2017 r. Odznaczenia otrzymały osoby wybitnie zasłużone z lubelskiego środowiska. Publikujemy laudacje na cześć odznaczonych, które wygłosił ks. prof. Edward Walewander, prezes Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia. Dekoracji Laureatów dokonał prezes Stowarzyszenia pan mgr Józef Bryll, który na tę uroczystość przybył specjalnie z Warszawy do Lublina.

Medal
Mickiewicz–Puszkin (rewers)

Niezwykły apostolat

Miałem już szczęście wielokrotnie mówić na cześć naszego dzisiejszego Laureata. Zabierałem głos z racji wręczania dedykowanych Księdzu Biskupowi książek. Głosiłem też laudacje, kiedy przyznawano Mu odznaczenie państwowe i uniwersyteckie. Nie bez dumy powiem, że teksty wystąpień, najczęściej *in extenso*, publikowała fachowa prasa. Prasa codzienna zaś często je omawiała[1]. Moja aktywność w tym względzie pozwala domyślać się naszych licznych powiązań, do których prawie zawsze nawiązywałem.

Nie chciałbym się powtarzać. Ale i tym razem zacznę od osobistego wynurzenia. To Ksiądz Biskup jest winien, że 25 lat temu znalazłem się w Stowarzyszeniu Współpracy Polska–Wschód. Wówczas Stowarzyszenie to, – określając swoją tożsamość, zwróciło się do Konferencji Episkopatu Polski o wydelegowanie doń przedstawiciela Kościoła. Ksiądz Biskup zaproponował moją osobę, a ks. biskup ordynariusz lubelski Bolesław Pylak pomysł od razu zaakceptował. I tak się zaczęło. Dobro wyzwala dobro.

Dzisiaj dziękuję Księdzu Biskupowi za Jego łaskawą propozycję. Odważnie zaryzykował. Zawsze starałem się tak działać, by Go nie zawieść.

[1] Por. J. Plewko, *Kronika działalności Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL za rok 2000*, „Studia Polonijne" t. 22 (2000), s. 278; http://kuria.lublin.pl/www/Laudacja_wygłoszona_przez_ks._prof._E._Walewandra, opublikowana dnia 30.05.2007 r.; *Medal dla bp. Karpińskiego*, „Niedziela", 2007, nr 23 [z 10.06], s. 9; Aga, *Ciągle w drodze*, „Gość Lubelski", 2007, nr 24 [z 17.07], s. VII; U. Buglewicz, *Charyzmatyczny duszpasterz Polonii*, „Niedziela" nr 24, 2007 [z 17.06], s. 27; *Charyzmatyczny pasterz Polonii*, „Przegląd Uniwersytecki KUL", 2007, nr 4, s. 16–17; *Charyzmatyczny pasterz Polonii*, „Lublin. Kultura i społeczeństwo", 2007, nr 4–6, s. 68–69; J. Szymański, *Kronika działalności Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL za rok 2007*, „Studia Polonijne", 2008, s. 366-369.

Od naszego Drogiego Laureata ciągle wiele się uczę. Naśladuję niezmordowaną aktywność, choć – każdy dobrze to wie – daleko mi do Jego sukcesów. Choć od niedawna fizyczna ruchliwość twórcza naszego Odznaczonego jest w pewnym względzie nieco wolniejsza, nadal pozostaje imponująca. Inspiruje On dobro. Potem stale je umacnia. Chętnie przebywa z biednymi i chorymi. Po prostu ma dla nich czas. Dla każdego znajduje zawsze krzepiące słowo, często bardzo dowcipne.

Ksiądz Biskup apostołuje na podobieństwo św. Pawła. Jest biskupem w Polsce, a zarazem apostołem na całym świecie. Swoje zadania spełnia wspaniale. Wszyscy Go za to podziwiamy i serdecznie dziękujemy.

Ukochał sprawę niesienia pomocy Polakom na Wschodzie. W latach 1991-2002 pełnił obowiązki przewodniczącego Zespołu ds. Pomocy Katolikom na Wschodzie. Jego osiągnięcia są nie do przecenienia. Poeta podpowiada, że tych zasług nikt by nie spisał nawet na przysłowiowej wołowej skórze. Może jednak wypada wspomnieć pewien fakt. Kiedy jeszcze niedawno składał kapłanom wizyty zwane kolędą, nie odmówił przyjmowania przy tej okazji nawet bardzo skromnych ofiar. Każdy z odwiedzanych wiedział bowiem, że Ksiądz Biskup przekazuje je duszpasterzom żyjącym w bardzo trudnych warunkach na Wschodzie. Najdrobniejsze wsparcie się liczy. Ceni się każdy drobiazg. A przede wszystkim serce.

Ten niezwykły fakt mówi sam za siebie. Czy trzeba mówić więcej?

Kończę tę dzisiejszą laudację bez zbędnych słów. Nawiązuję jednak do mego pokaźnego zbioru wypowiedzi na temat Księdza Biskupa Doktora Ryszarda Karpińskiego, w których powiedziałem więcej. Urosła z tego już niemała biblioteczka.

Pozostaje zatem życzyć Drogiemu Laureatowi dalszej pomocy Bożej we wszystkich poczynaniach, zdrowia i ciągłej życzliwości dla Stowarzyszenia Współpracy Polska–Wschód!

Niech Ksiądz Biskup nadal promuje ludzi, aby i przez to świat stawał się coraz lepszy.

Redaktor niezwykły

Pan Redaktor Zbigniew Włodzimierz Fronczek, obecny prezes Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zasługuje ponad wszelką miarę na miano animatora kultury, przede wszystkim na Lubelszczyźnie, ale też – wskutek podejmowania szerokich inicjatyw – również na polu upowszechniania kultury w ogóle. Jego nazwisko znane jest także szeroko poza granicami naszego kraju.

Szczególnie bliskie są mu dawne polskie Kresy, stąd też znany jest na Ukrainie, Białorusi, Litwie, a także na Słowacji. W tych krajach upowszechnia na dużą skalę polską literaturę: inicjuje tłumaczenia, urządza promocje, organizuje sesje naukowe. Natomiast przez Jego ręce dociera do nas literatura spoza wschodniej granicy Polski. Jego działalność na tym polu znaczy więcej aniżeli rutynowe spotkania organizowane z inicjatywy urzędów i instytucji, gdyż on gromadzi i animuje niejako wolontariuszy. Są to najczęściej takie osoby, które bez impulsów z jego strony często nie dotarłyby ze swoimi dokonaniami nawet poza najbliższe otoczenie. Tak też jest, gdy chodzi o nasz region i o cały obszar Polski.

Pismo wydawane przez pana red. Fronczka, dwumiesięcznik „Lublin. Kultura i społeczeństwo" osiąga nakład roczny w wysokości 5 tysięcy egzemplarzy. Jest znakomicie redagowany i z powodzeniem kolportowany. Do dzisiaj ukazało się 80 numerów. Zamiast pełnić rolę periodyku regionalnego, mogłoby z powodzeniem robić karierę na szerszym rynku wydawniczym. Jego szatę zewnętrzną znamionuje niebanalny artyzm. Już sama okładka przyciąga czytelnika wrażliwego na doznania artystyczne wyższego lotu. Treść pisma jest zróżnicowana, gdyż redaktor, sam będąc literatem, chętnie bierze do ręki pióro. Duży sukces odniosły jego książki poświęcone Lublinowi, takie jak *Przezwiska Lublina*, *Romans w Lublinie*, *Lubelska historia nikczemności*, *Przysłowia lubelskie*. (Na marginesie warto dodać, że Biblioteka Narodowa w Warszawie zamieszcza wykaz 67 Jego publikacji). Redaktor oddaje łamy swego pisma także początkującym pisarzom i poetom. Przypomina też znakomitości literackie z takich czy też innych względów przyprószone niepamięcią. Do takich wybitnych postaci należy zmarły na emigracji w Madrycie Józef Łobodowski.

Oprócz tego rodzaju twórczości tematyka pisma obejmuje wiele dziedzin i aktualności bardzo często promujących lub przybliżających zdarzenia z naszego lubelskiego środowiska kulturalnego i naukowego. Wachlarz tematyki czasopisma jest bardzo szeroki. Niekiedy wprost zaskakuje trafnością spostrzeżeń i obserwacji autorów.

Długo trzeba by wymieniać dokonania red. Zbigniewa Włodzimierza Fronczka, gdyż Jego wybitne zdolności organizatorskie przynoszą też owoc w postaci często odbywanych spotkań naukowych czy popularyzacyjnych. Gromadzą się na nich ludzie kultury, nauki, ale też coraz szersze rzesze ludzi budzących zainteresowanie ogółu społeczeństwa.

Pragnąc wyróżnić naszym prestiżowym medalem red. Zbigniewa W. Fronczka, kierujemy się nie tylko potrzebą wynagrodzenia Go za ogromny trud, jakiego nigdy nie szczędzi dla promowania naszego regionu. Czynimy to także w tym celu, by Jego postać była bardziej znana; by znalazła większe i bardziej szerokie uznanie, na które jak najbardziej zasługuje. Jest to także ważki przyczynek

→

Prezes Józef Bryll, ks. bp Ryszard Karpiński, ks. prof. Edward Walewander

na chwałę miasta Lublina, które może się poszczycić tak wielkim talentem.

Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne

Trzeci laureat Medalu Mickiewicz–Puszkin, ks. prof. Waldemar Żurek, jest salezjaninem, absolwentem KUL-u w dziedzinie historii Kościoła, zatem badaczem w pełni przygotowanym do podejmowania tematów ważnych naukowo. Magisterium i doktorat napisał pod kierunkiem znanego historyka ks. prof. Zygmunta Zielińskiego.

Po studiach doktoranckich pracował przez rok jako wikariusz w parafii Opatrzności Bożej w Rzeszowie. Później podjął obowiązki wykładowcy historii Kościoła w Wyższym Seminarium Duchownym Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie. W 1993 r. rozpoczął pracę na KUL jako kierownik Domu Akademickiego tej uczelni. Dwa lata później otrzymał angaż w międzywydziałowym zakładzie naukowym, Ośrodku Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych, w charakterze asystenta naukowego. Od października 2011 r. pełni obowiązki dyrektora tego Ośrodka. W kwietniu tegoż roku otrzymał stopień doktora habilitowanego.

W swoich badaniach koncentruje się na dziejach salezjanów polskich ubiegłego wieku i współcześnie. Od 1996 r. realizuje eksploracyjno-zabezpieczające badania naukowe na Ukrainie, Białorusi i Rosji, mające na celu umocnienie dziedzictwa kościelnego i salezjańskiego na tym terenie. Dokumentuje również dzieje salezjanów polskich, którzy po 1945 r. z własnej woli pracowali na wschód od Bugu. Swoimi badaniami obejmuje szczególnie martyrologię salezjanów z Kresów Wschodnich, ich pracę i powojenne losy.

W ramach badań Ośrodka ABMK prowadzi rozległe badania archiwistyczne akt diecezji łuckiej na Wołyniu i diecezji pińskiej na Białorusi, a więc na tych terenach, które po 1945 r. odpadły od Polski. Do tej pory wydał osiem tomów danych osobowych ksiąg metrykalnych i archiwów zgromadzonych na terenie diecezji łuckiej oraz pięć tomów z diecezji pińskiej.

Podsumowując zainteresowania i osiągnięcia „wschodnie", należy podkreślić, że spośród 37 pozycji książkowych autorstwa ks. Waldemara Żurka 17 tytułów dotyczy tematyki Kresów Wschodnich. Ponadto spośród 100 artykułów naukowych, które do tej pory napisał, 42 rozprawy traktują o tematyce wschodniej.

Na temat duchowieństwa polskiego i katolickiego działającego na terenie byłego ZSRS powstaje coraz więcej opracowań. Nie jest to zatem *terra ignota*. Ale niedosyt informacji panuje jeszcze nadal i istnieć będzie chyba jeszcze długo. Dochodzą bowiem coraz to nowe źródła. Rośnie też ciągle zainteresowanie tematyką wschodnią.

Czy wszystkie te prace przynoszą podobny plon, to inna sprawa. Jako przykład dobrej roboty trzeba tu wskazać książkę Laureata *Jeńcy na wolności. Salezjanie na terenach byłego ZSRR po II wojnie światowej* (Lublin 1998). Praca dotyczy wprawdzie wąskiego zasięgu osobowego, czyli duchownych jednego tylko zgromadzenia zakonnego, ale odznacza się ona szczególną głębią.

Ksiądz Żurek stara się swoje opracowania jak najbardziej uplastycznić. Publikowane rozprawy przeplata dokumentami, zwłaszcza korespondencją oddającą troski i starania powszedniego dnia księży, którzy działali w najrozmaitszych warunkach, zawsze jednak albo nielegalnie, albo na granicy legalności. Autor ukazuje także środowisko, w którym kapłanom przyszło duszpasterzować.

Nagroda dla ks. prof. Waldemara Żurka jest wyrazem naszej promocji dla wysiłków zmierzających do nadrabiania straconego czasu dla historiografii ziem wschodnich. Jest też zachętą, by na tym polu nie łamać pióra. Nie ustawać, ale wciąż sięgać po nowe tematy i problemy badawcze.

* * *

Ustawy Komisji Edukacji Narodowej

Pani Profesor Kalina Bartnicka[2] zajmuje się naukowo problematyką pedagogiczną, która jest bliska założeniom Nagrody Mickiewicz–Puszkin. Wyróżnienie przyznane Pani Profesor jest z pewnością skromniejsze i niewspółmierne do Jej zasług na polu kultury w ogóle, a zwłaszcza szerzenia jej przez pracę wychowawczą. Temu zagadnieniu poświęca Laureatka także swój trud badawczy, uwieńczony znanymi powszechnie sukcesami. Wśród nich jest wiele rozpraw naukowych i prawie 40 książek.

[2] Laudacja na cześć prof. zw. dr hab. Kaliny Bartnickiej, wygłoszona 23 października w Domu Przyjaźni w Warszawie.

Ks. Prof. Edward Walewander, prezes Józef Bryll, prof. Kalina Bartnicka

Jako podstawę do Nagrody jury wzięło pod uwagę wydanie w trzech językach: polskim, litewskim i angielskim, *Ustaw Komisji Edukacji Narodowej dla Stanu Akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane*. Jest to pełne wydanie tego dzieła z tabelami i wzorami od 1783 r. Obok Konstytucji 3 Maja, *Ustawy* są najważniejszym polskim programem naprawy Rzeczypospolitej z końca XVIII stulecia. Program ten dowodzi żywotności polskiego społeczeństwa i jego umiejętności wychodzenia z najcięższych trudności politycznych. Komisja Edukacji Narodowej, powołana 14 października 1773 r., była instytucją państwową o typie ministerstwa oświaty i nauki.

W ostatnich trzech dziesięcioleciach XVIII w. narodził się program ratowania Polski przez edukację nowego, światłego obywatela i patrioty, który wyraźnie wykroczył poza granice ówczesnych potrzeb Rzeczypospolitej. Otworzył bowiem nowe perspektywy także w dziedzinie edukacji zagranicznej. Połączył w sobie dorobek europejskiej myśli filozoficznej i naukowej z polskimi tradycjami narodowymi i doświadczeniami pedagogicznymi. Był to program w pełni humanistyczny i odważny. Stał się przez to także inspiracją dla innych państw.

Ustawy nigdy nie były publikowane w językach obcych. Zniknęły ze świadomości pedagogicznej historyków dziejów edukacji. Zasługą Pani Profesor jest przygotowanie edycji w trzech językach: polskim, litewskim i angielskim. Inicjatywa ta jest niezwykle cenna i leży w duchu Stowarzyszenia Współpracy Polska–Wschód. Celem naszego Stowarzyszenia jest między innymi popularyzowanie dorobku poszczególnych narodów, a przez to zbliżanie ludzi różnych środowisk do siebie.

Laureatka opatrzyła *Ustawy* gruntownym i ogromnie ciekawym *Wprowadzeniem*. Akcentuje w nim ideały KEN, głównie takie jak rzeczowość, konkretność, duża powściągliwość w wyrażaniu uczuć patriotycznych na zewnątrz, dążenie do tego, aby nauczyć młodego człowieka opanowywania emocji. Nie uszła jej uwadze mozolna działalność Stanisława Augusta Poniatowskiego, który osobiście interesował się sprawami reformy wychowania.

Podkreślmy mocno, że programy szkolne KEN i jej ideał wychowania nie był oderwany zarówno od ogólnoeuropejskich trendów naukowych, jak i od doświadczenia pedagogicznego. Osiągnięcia KEN były więc w całej pełni zgodne z duchem Oświecenia. Z pewnością największą jej zasługą było to, że potrafiła ona dla naszych rodzimych potrzeb i aktualnych warunków wykorzystać zagraniczne osiągnięcia naukowe i przetworzyć je w doskonałą i oryginalną całość.

Docenienie zasług dorobku naukowego Pani Prof. Bartnickiej jest bardzo na czasie, bowiem jest to jednocześnie przypominanie polskiej kultury narodowej, jej korzeni i owoców. Jesteśmy bowiem jeszcze bardzo często zalewani ofertą taniej, sztampowej kultury, seriali i banalnych sag rodem z całego świata, szczególnie zaś z tego kraju, który kulturalnie nie istniał, kiedy dokonywało się u nas to, co Pani Profesor tak pięknie stawia przed oczy dzisiejszym pokoleniom Polaków.

To dla nas wszystkich wielka radość, że Pani Profesor Bartnicka wraz ze swoim Zespołem badawczym dała nam okazję, by to wszystko teraz przypomnieć. Uznanie należy się nie tylko Jej, ale także Ministerstwu Edukacji Narodowej oraz Instytutowi Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów Polskiej Akademii Nauk, wybitnych instytucji, które przyczyniły się do wydania nagrodzonego epokowego dzieła.

* * *

Wybitny pedagog laureatem Medalu Mickiewicz–Puszkin[3]

Honorowanie Medalem Mickiewicz–Puszkin, przyznawanym przez Jury Nagrody Stowarzyszenia Współpracy Polska–Wschód, ma już swoją historię. W ciągu kilku lat jej istnienia uhonorowano nią wiele osób z różnych środowisk, obywateli Polski i innych państw. Klamrą spinającą zasługi wszystkich Nagrodzonych jest docenienie ich zaangażowania na rzecz zbliżenia między Polską a krajami na wschód od naszej granicy.

Ideą przewodnią Nagrody jest więc inicjowanie społecznego procesu myślenia, by dusza polska i dusza naszych rosyjskich sąsiadów ze Wschodu nie były dla siebie obce i nieznane. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że

[3] Laudacja wygłoszona 16 czerwca 2016 r. w siedzibie Stowarzyszenia Współpracy Polska–Wschód w Warszawie z okazji wręczenia panu prof. dr. hab. Witoldowi Janowi Chmielewskiemu medalu Mickiewicz–Puszkin.

→

o ile powiększymy i polepszymy nasze dusze, o tyle poprawimy nasze prawa i lepiej zrozumiemy dzielące nas granice.

Mickiewicz i Puszkin w ważnym okresie historii naszych kultur byli niezwykłymi nauczycielami, a nawet w pewnym sensie „prorokami". Ich twórczość wywarła nadzwyczaj silny wpływ na kształtowanie się zarówno świadomości polskiej, jak i rosyjskiej. Obaj nakreślili drogę jej rozwoju. Przyznawanie Medalu ich imienia przypomina ciągle na nowo misję życiową tych dwóch wielkich poetów.

Jury Nagrody wybiera na laureatów takie osoby, które wywierają znaczący wpływ na życie społeczne w swoich krajach. Wśród dotychczas nagrodzonych są działacze społeczni, politycy, przedstawiciele różnych Kościołów chrześcijańskich, ludzie nauki. Ostatnio do grona uhonorowanych przybył znany w kraju i za granicą wybitny pedagog, pan prof. dr hab. Witold Chmielewski.

Witold Jan Chmielewski ukończył Liceum Pedagogiczne w Wolborzu. Jest absolwentem Studium Nauczycielskiego w Raciborzu, Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu i Studium Pedagogicznego Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie. Doktorat uzyskał w Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach, a stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracuje w Instytucie Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach Filia w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie kieruje Katedrą Pedagogiki Pracy i Teorii Rozwoju Zawodowego.

Zainteresowania naukowe opiera głównie na kwerendach archiwalnych w wielu renomowanych instytucjach: Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Bibliotece Polskiej w Paryżu i Archiwum „Kultury" w Maisons-Laffitte (Francja), Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Instytucie Pamięci Narodowej w Łodzi, Archiwum Nauki i Bibliotece Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności oraz w archiwach archidiecezjalnych w Częstochowie, Łodzi, Katowicach i Krakowie. Utrzymuje stały kontakt naukowy z Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie w Londynie.

Tematyka jego badań naukowych dotyczy kształcenia nauczycieli, historii administracji szkolnej w Polsce, działalności Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie, organizacji szkolnictwa polskiego na Uchodźstwie w Wielkiej Brytanii, na Bliskim Wschodzie, w Indiach, Afryce i Meksyku w czasie drugiej wojny światowej, starań o utrzymanie narodowego charakteru Biblioteki Polskiej w Paryżu w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, dziejów nauki, zwalczania katolickich placówek edukacyjnych w okresie powojennym. Spośród jego publikacji zwartych warto

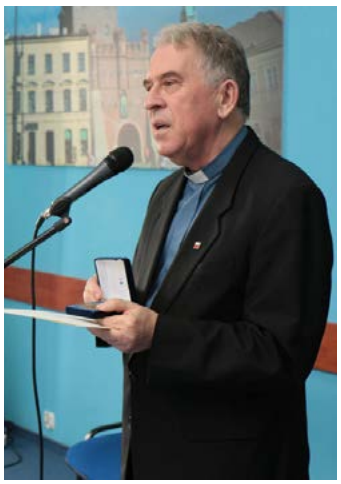

Ks. Prof. Edward Walewander

wymienić szczególnie: *Kształcenie nauczycieli w okresie ideologizacji szkolnictwa (1944–1956)* (Warszawa 2006); *Edukacja nauczycieli szkół podstawowych po drugiej wojnie światowej* (Warszawa 2007); *Polska administracja szkolna w latach 1944–1950* (wyd. II, Piotrków Trybunalski 2013); *Pożegnanie ze szkołą. Spojrzenie wstecz nauczyciela emeryta* (Piotrków Trybunalski 2012); *Przygotowanie kadr oświatowych na Uchodźstwie w latach 1941–1948* (Warszawa 2013); *Stanisław Skrzeszewski wobec ludzi nauki w świetle własnych notatek, listów i pism (1944–1950)* (Warszawa 2014); *Polskie osiedle Santa Rosa w Meksyku 1943–1946* (Warszawa 2015). Jest współredaktorem książki *Myśl i praktyka pedagogiczna* (Piotrków Trybunalski 2008).

Opublikował też wiele artykułów i recenzji w książkach oraz na łamach różnych czasopism naukowych i popularnonaukowych. Od 2007 r. jest członkiem, a od 2012 r. sekretarzem redakcji „Przeglądu Historyczno-Oświatowego". W 2015 r. został zastępcą redaktora naczelnego tego czasopisma. Wygłosił wiele referatów na konferencjach, sympozjach i seminariach naukowych. Należy do Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki Polskiej w Paryżu, Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, Towarzystwa Historii Edukacji i Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Sadzę, że można poprzestać na tej zwięzłej prezentacji sylwetki naukowej Laureata, mimo że wydobywamy z niej tylko cząstkę streszczającą racje przyznania Nagrody. Nie od rzeczy będzie podkreślić właśnie jego rolę jako wytrwałego badacza przecierającego i prezentującego główne szlaki historyczne w badaniach nad edukacją polską. Warto iść nimi nie tylko po to, by zdobywać erudycję, ale o wiele szerszym, wznioślejszym celu: by budzić świadomość, która jest fundamentem każdej tożsamości.

Pan Profesor Chmielewski należy do pokolenia pedagogów polskich, którzy mogą się wylegitymować znacznymi osiągnięciami naukowymi. A wierzymy, że to dopiero zapowiedź dalszych, coraz donioślejszych. Tego tutaj z całego serca Mu życzymy.

Ks. Edward Walewander

Blizny pamięci

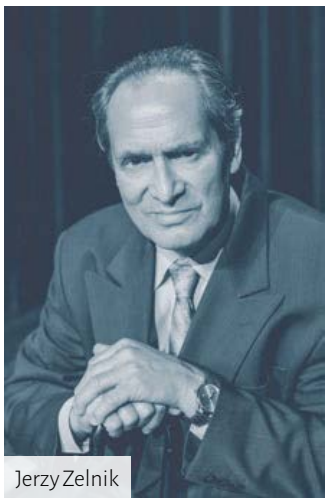
Jerzy Zelnik

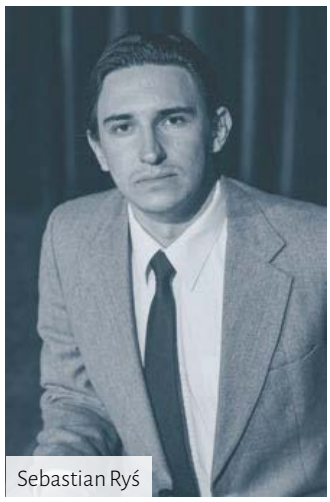
Sebastian Ryś

Spektakl teatralny przygotowany przez Jerzego Zelnika, występującego w nim w kilku rolach, oraz w obsadzie z Sebastianem Rysiem jako Janem Karskim, prezentowano w Domu Kultury LSM. To „rzecz o Janie Karskim" oparta na podstawie dramatu „Blizny wolności" i słuchowisku radiowym „Plamy w pamięci". Rzecz wstrząsająca, ukazująca dobro i zło tkwiące w każdym człowieku i często objawiające się, nieprzewidywalnie, w zależności od sytuacji.

Zbigniew Ryś z Nowego Sącza, dziadek aktora Sebastiana (teraz z Warszawy), brał udział w ratowaniu życia kurierowi polskiego podziemia w drodze do Budapesztu. Wydał go donosiciel. Karski znalazł się w niemieckim więzieniu. Obawiając się, że kolejnego przesłuchania – pełnego bicia i torturowania – nie wytrzyma, próbował popełnić samobójstwo. Ciężko ranny trafił do szpitala. Komendant oddziału AK Zbigniew Ryś otrzymał rozkaz wykradzenia emisariusza generała Sikorskiego. Podjął tę akcję.

Tak to działanie opisał Zbigniew Ryś we „Wspomnieniach kuriera" (wydawcą była Biblioteka „Rocznika Sądeckiego", Nowy Sącz 2013).

„Po barkach Głoda wspiąłem się na przybudówkę na wysokości pierwszego piętra, chwyciłem mocno Karskiego z tyłu, tak by nie uszkodzić mu zabandażowanych rąk, i ostrożnie, wzdłuż rynny, opuściłem go w dół, wprost w ramiona Karola. W kostnicy ubraliśmy naszego emisariusza w garnitur i rozpoczęliśmy marsz, brodząc w Kamienicy, w kierunku Dunajca, tak aby na wszelki wypadek nie zostawiać śladów psom. Szczęśliwie przeszliśmy pod dwoma mostami i dotarliśmy do ujścia Kamienicy do Dunajca. Tam [Józef] Jenet wyciągnął kajak z ukrycia. Wsadziłem doń Karskiego i ruszyliśmy. Nagle, nie wiem – czy dlatego że Karski poruszył się niefortunnie, czy może z powodu prądów rzecznych – kajak się wywrócił i Karski wpadł do wody. Momentalnie podążyłem za nim, chwyciłem nieszczęśnika i dopłynąłem z nim do brzegu. W tym czasie, kiedy ratowałem Karskiego, Jenet w ubraniu skoczył do wody i złapał kajak. Dalsza przeprawa udała się bezbłędnie".

To tylko fragment wspomnień, które odnoszą się do dalszych wydarzeń, w których emisariusz Karski uczestniczył i o tym w scenariuszu się nie mówi. Ten opis niejako uzupełnia spektakl. Rozkaz wykradzenia Karskiego ze szpitala obstawionego przez niemieckie służby tajne, żandarmerię i policję granatową był wykonany w doskonałym stylu. Ale w efekcie Niemcy zemścili się. Życie straciło 32 Polaków. Siostra Zbigniewa, znana po wojnie aktorka, Zofia Rysiówna została wywieziona do koncentracyjnego obozu dla kobiet w Ravensbrück. Jan Karski miał wyrzuty sumienia, że z jego powodu tylu niewinnych rodaków straciło życie. Po przyjeździe do Polski, już w latach po zmianach systemowych, nie mógł odwiedzić we Wrocławiu swojego „wybawcy", bo mecenas Zbigniew Ryś zmarł w 1990 r.

Sebastian Ryś, w spektaklu odtwarzając bohaterskiego emisariusza, wzrusza nie tylko w scenach przesłuchiwania na gestapo. Nie może zrozumieć, dlaczego generał, sam prezydent USA, nie wierzą jego relacjom, że Niemcy w okupowanej Polsce dokonują holocaustu. Słuchacze uważają ten przekaz za tak nieprawdopodobny, że nie do uwierzenia. A przecież Karski odwiedzał getto warszawskie, był w obozie w lubelskiej Izbicy, z którego gestapowcy Żydów kierowali na rozstrzelanie, na zagładę. Przekazywał to, co na własne oczy widział.

„Blizny pamięci" pokazane w Lublinie wzbudziły entuzjastyczne przyjęcie ze strony widzów. Szkoda, że tylko jedno przedstawienie... I to nie chodziło o prezentację i pewien jakby wyrażany kult dla działań w tamtych latach Jana Karskiego. To był hołd złożony emisariuszowi generała Sikorskiego i wielu ludziom podziemnego rządu Państwa Polskiego w latach wojny, okupacji niemieckiej w naszym kraju, ofiar zbrodniczego holocaustu na części społeczeństwa polskiego. Tego nie można wykreślić z kart naszej historii.

Dzięki wielkie reżyserowi „Blizn pamięci" Jerzemu Zielnikowi i odtwórcy roli Jana Karskiego aktorowi Sebastianowi Rysiowi – pokłon ich dziełu.

GAL
22 XII 2017

Kinga
Ciasnocha

Różaniec do Granic

7 października 2017 r. w święto Matki Bożej Różańcowej na zakończenie obchodów 100 rocznicy objawień fatimskich uczestniczyłam w akcji pt.: „Różaniec do Granic" , którego głównym założeniem było otoczenie, na granicach, całej Polski modlitwą różańcową, by modlić się o ratunek dla swojej Ojczyzny i całego świata.

Jak powiedział Maciej Bodasiński z Fundacji Solo Dios Basta (główny organizator Różańca do Granic) ta wyjątkowa inicjatywa była odpowiedzią na zaproszenie Matki Bożej do odmawiania różańca oraz udział w duchowym działaniu na rzecz przyszłości naszej, naszych dzieci, naszego kraju i całej Europy, gdyż *dokładnie 140 lat temu w Polsce w Gietrzwałdzie objawiła się Matka Boża i powiedziała „odmawiajcie codziennie różaniec", 40 lat później w Fatimie powtórzyła to wezwanie.*

W tym dniu punkty modlitwy były zlokalizowane co jeden kilometr wzdłuż całej granicy Polski, liczącej ponad 3,5 tys. km. W diecezjach granicznych wyznaczeni byli koordynatorzy oraz kościoły stacyjne, w których odbyła się konferencja, uroczysta Msza Święta oraz adoracja Najświętszego Sakramentu, według jednego, zatwierdzonego scenariusza.

W diecezji rzeszowskiej, do której obecnie należę, pas graniczny objął 4 parafie: w Polanach, Krempnej, Gładyszowie i Smerekowcu. Na terenie tych parafii zorganizowano kościoły: Gładyszów – parafia pw. Narodzenia św. Jana Chrzciciela, Zdynia – kościół filialny pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy, Krempna – parafia pw. św. Maksymiliana Kolbego, Polany – parafia pw. Matki Bożej Częstochowskiej. Piątą stacją była kaplica im. św. Jana Pawła II Międzynarodowego Portu Lotniczego Rzeszów-Jasionka.

Łącznie do udziału w akcji „Różaniec do Granic" na terenie diecezji rzeszowskiej zgłosiło się 4945 osób (w Polanach – 1310, w Krempnej – 1382, w Gładyszowie – 1172 i w Zdyni – 1081). Rzeczywista liczba uczestników była jednak podwójna, gdyż połowa osób nie zarejestrowała swojego przyjazdu. Szacuje się, że bezpośrednio uczestniczyło w akcji około 10 tysięcy osób. Warto wspomnieć, że w tym dniu modlitwa różańcowa była odmawiana nie tylko na granicach, ale również w wielu kościołach, nie tylko w Polsce ale i na całym świecie. Koordynatorami akcji w naszej diecezji byli ks. dziekan Stanisław Ruszel oraz ks. Dominik Leniart.

Z mojej parafii nie był organizowany wyjazd, a w łączności modlitwa miała być odmawiana w kościele. I w takiej formie początkowo miałam uczestniczyć w tej akcji. Jednak po rozmowie z koleżanką, stwierdziłyśmy, że może warto jednak pojechać na granicę, zobaczyć jak to będzie wyglądać i przeżyć te chwile wspólnie z innymi. Wybrałyśmy się z Męską Grupą posługującą przy parafii św. Józefa Kalasancjusza w Rzeszowie, która organizowała wyjazd do Zdyni. Tutaj stację modlitewną zorganizowano na terenie Watry Łemkowskiej. Aby dotrzeć na czas, wyjazd był już o godzinie 6 rano, a więc spakowałam kanapki, termos z gorącą herbatą, płaszcz i parasol, włożyłam ciepłe buty i kurtkę i ruszyliśmy… Byłam zaskoczona, bo wyjechały aż 3 autokary, akcja więc cieszyła się wielkim zainteresowaniem. Wyjazd rozpoczęliśmy modlitwą o bezpieczną drogę, odmówiliśmy po drodze Różaniec, Koronkę, towarzyszył nam również śpiew różnych pieśni. Droga zajęła nam około 3,5 godziny. Na miejsce dotarliśmy koło godziny 9.30. A więc mieliśmy około godziny na toaletę, na to, by coś zjeść, a przede wszystkim na to, by skorzystać z sakramentu pokuty, aby w pełni uczestniczyć w tym wyjątkowym wydarzeniu religijnym. Po wyjściu z autokaru przywitali nas tamtejsi wolontariusze, którzy kierowali nas na miejsce, rozdawali ulotki przybliżające tę akcję oraz sprzedawali ciepłą herbatę i coś ciepłego do zjedzenia. Wydarzenie rozpoczęło się konferencją o godz. 10.30, podczas której ksiądz objaśnił szczegółowo pielgrzymom cel i początki tej akcji. Po niej nastąpiła uroczysta Msza św. o godz. 11, której przewodniczył ks. Grzegorz Żywiec – proboszcz parafii w Smerekowcu, a homilię wygłosił ks. Michał Piętka – obecny wikariusz parafii w Sękowej. Po Mszy św. pielgrzymi mieli przerwę na posiłek (we własnym zakresie), choć miejscowe gospodynie zadbały, aby zmarznięci pielgrzymi mogli się posilić ciepłym daniem i gorącą kawą bądź herbatą. O godz. 12.45 rozpoczęła się adoracja Najświętszego Sakramentu, według jednego, zatwierdzonego scenariusza. Do dziś pamiętam, jak w czasie adoracji zerwał się silniejszy wiatr na tyle, że strącił jedną ze świec stojących

na stole eucharystycznym obok Najświętszego sakramentu. Do dnia dzisiejszego mam w pamięci ten widok lecącej świecy, który był dla mnie bardzo wymowny… Po Adoracji organizatorzy, dbając o nasze bezpieczeństwo, podzielili nas na kilka grup i ok. godz. 13.30 zaczęliśmy formować kolumnę pielgrzymkową. I tak o godzinie 14 w ciepłych promieniach słonecznych (to też dla mnie znak, że czuwała nad nami Opatrzność Boża, gdyż w czasie Mszy i adoracji padał deszcz) rozpoczęła się wspólna modlitwa różańcowa wzdłuż granic. Przeszliśmy w procesji różańcowej piękną około 8 km trasę ze Zdyni do Smerekowca, podczas której odmówiliśmy 4 części różańca świętego: dwie za Polskę, dwie za świat, podziwiając jednocześnie piękne górzyste tereny w malowniczych barwach jesieni. Rozważania oraz modlitwę prowadzili księża, animatorzy oraz wolontariusze. Ostatnie części różańca odmówiliśmy na miejscowym stadionie, tworząc modlitewny okrąg, a na zakończenie otrzymaliśmy pasterskie błogosławieństwo. Kolejnym elementem, który mi utkwił w pamięci i poczułam tę ludzką jedność, to właśnie ten moment, gdy weszliśmy na stadion i trzymając się za ręce stworzyliśmy wspólny krąg. Wówczas ujrzałam tę ogromną rzeszę pielgrzymów, którzy zgromadzili się w tym miejscu w tym samym celu i przypomniał mi się cytat z Pisma: „Gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w Moje imię, tam jestem pośród nich" (Mt 18, 20).

I tę Obecność dało się odczuć wielokrotnie w tym dniu…

Mateusz Miernik

Uśmiech Boga

„Różaniec do Granic" to wydarzenie bez precedensu. Wydarzenie, które wzbudziło zarówno ogromny podziw, jak i oburzenie. Chcę podzielić się moim krótkim świadectwem tego, czym dla mnie, jednego z uczestników, stała się ta akcja.

Na „Różaniec do Granic" pojechałem wraz z przyjaciółmi do miejscowości Świerże nad Bugiem. Na stronie internetowej akcji widniała informacja, że do wspólnej modlitwy różańcowej w tej miejscowości zgłosiło się około 1400 osób, co zapewne z perspektywy proboszcza parafii Świerże, jak i parafian było liczbą kolosalną, jako że sama miejscowość liczy trochę ponad 900 mieszkańców. Stan faktyczny był jednak znacząco inny, gdyż do Świerży przyjechało ponad 3 tys. osób, chcących jednoczyć się we wspólnej modlitwie o pokój w Polsce i na świecie. Atmosferę, która panowała w tym dniu w Świerży, zapamiętałem jako przenikniętą wdzięcznością i gościnnością. Jednym z punktów programu była półgodzinna przerwa na posiłek. W założeniu każdy z przybywających powinien przed podróżą samodzielnie się zaopatrzyć na ten czas. Ku mojemu zaskoczeniu przyjmujący nas mieszkańcy przygotowali ogrom posiłków, ciast i napojów, a w krótkich rozmowach, które z nimi odbywałem, dało się słyszeć, że przygotowania na tę okoliczność trwały już od kilku dni i znacząca większość parafian została w nie włączona. Proboszcz zaznaczał, że nigdy, w całej historii parafii, nawet podczas największych uroczystości, nie przybyło tu tak wielu osób.

Szczególne uznanie należy się strażakom, harcerzom, strzelcom i służbom porządkowym, które stanęły na wysokości zadania i bardzo sprawnie zarządzały prawie czterotysięczną rzeszą, a szczególnie w czasie rozchodzenia się wzdłuż granicy. Po przerwie nastąpiło „rozesłanie" na granice, gdzie punktualnie o godzinie 14.00 rozpoczęła się modlitwa różańcowa. Pierwsze dwie części różańca odmawiano z twarzami zwróconymi w kierunku Polski i ze szczególną intencją – modlitwy za naszą ojczyznę, za wszystkie stany, a szczególnie w intencji pokoju. Urzekające było to, że podczas tych dwóch części świeciło słońce, które wyłoniło się zza chmur, jako że dzień nie zapowiadał się w ten sposób. Kolejne dwie części odmawiano w kierunku świata i na ten czas pogoda się odmieniła. Słońce ukryło się za chmurami i podniósł się wiatr. Zinterpretowałem to znak, czy szczególne wezwanie, do jeszcze gorliwszej modlitwy o pokój na świecie.

Po odmówieniu różańca wszyscy uczestnicy powoli kierowali się do samochodów czy autobusów. Nastał czas powrotu. Dało się wyczuć atmosferę zadumy i jakiejś, niemożliwej do ujęcia, świadomości, że oto braliśmy udział w czymś naprawdę wielkim…

Na zakończenie Bóg przesłał nam Swój uśmiech w postaci intensywnej i pełnej tęczy. Widzieliśmy ją w drodze powrotnej. Wieczorem na internetowych portalach pojawiały się relacje z tego wydarzenia i, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, okazało się, że tęcza była widoczna w całej Polsce. Ludzie przesyłali zdjęcia znad morza, z gór, z Wielkopolski i ze Śląska. Nad całą Polską ukazała się tęcza…

«A gdy rozciągnę obłoki nad ziemią i gdy ukaże się ten łuk na obłokach, wtedy wspomnę na moje przymierze, które zawarłem z wami i z wszelką istotą żywą, z każdym człowiekiem; i nie będzie już nigdy wód potopu na zniszczenie żadnego jestestwa. Gdy zatem będzie ten łuk na obłokach, patrząc na niego, wspomnę na przymierze wieczne między mną a wszelką istotą żyjącą w każdym ciele, które jest na ziemi».

Rzekł Bóg do Noego: «To jest znak przymierza, które zawarłem między Mną a wszystkimi istotami, jakie są na ziemi».

Rdz 9, 14-17

W krzywym zwierciadle

Ulica Hempla ulicą Czarnka ?

Ostateczną decyzję o zmianie nazwy ulicy Jana Hempla ma podjąć wojewoda lubelski Przemysław Czarnek. Zapowiedział, że tę decyzję podejmie na podstawie opinii i sugestii Instytutu Pamięci Narodowej. A w lubelskim oddziale IPN kwestią tą zajmuje się dr Rafał Drabik. Ta opinia wskazuje na konieczność zmiany nazwy tej ulicy, bo Hempel działał w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. A na dodatek w Moskwie wydawał pismo pt. „Kultura Mas". I dodajmy – został zamordowany przez NKWD w ramach tzw. czystki stalinowskiej w 1937 r.

Argumentacja IPN-u i dra Drabika jest wyrywkowa. Autor nie uwzględnia faktów, które są zapisane w biografii Hempla. Nie wspomina np. o tym, że Hempel wraz ze swoją siostrą Wandą Papiewską był związany z komitetem redakcyjnym „Kuriera Lubelskiego" w 1912 r.

A wcześniej redagował czasopismo „Polak w Brazylii", co było efektem jego podróży m.in. właśnie do Brazylii. W Lublinie działał w Towarzystwie Oświatowym „Światło", któremu prezesował jego inicjator Stefan Żeromski. Hempel był bardzo aktywnym publicystą, jego artykuły i eseje ukazywały się m.in. w pismach: „Chimera", „Sfinks", „Myśl Niepodległa" czy „Krytyka". W latach 1917–1918 redagował w Lublinie organ PPS Lewicy pt. „Głos Robotniczy". Był inicjatorem powołania Lubelskiej Spółdzielni Spożywców i redagował czasopismo „Spółdzielca". Wtedy też patronował grupie młodzieży robotniczej, wśród której znajdowali się m.in. Bolesław Bierut, Emil Brzozowski, Tadeusz Dymowski, Józef Dominko. Po latach Dominko wspominał: „Jan wyrabiał w nas ambicję działaczy społecznych, ośmielał do życia pełniejszego". Po przeniesieniu się do Warszawy Hempel redagował w latach 1922–1923 „Kulturę Robotniczą" i przez kolejne dwa lata był członkiem redakcji „Nowej Kultury". Jednocześnie współpracował z pismami: „Myśl Wolna", „Myśl", „Dźwignia" i „Miesięcznik Literacki" (1931). Wchodził jako członek do Rady Nadzorczej Spółdzielni Wydawniczej KPP „Książka", od 1930 r. był członkiem KC KPP. W 1932 r. wyjechał do Berlina, a następnie do Moskwy. I wówczas podjął współpracę z „Trybuną Radziecką" oraz „Kulturą Mas". Przetłumaczył na język polski dzieła Lenina. Trudno się zachwycać ich lekturą, zwłaszcza Polakom, ale są to podstawowe dokumenty, które wyjaśniają późniejsze działania komunistów, zwłaszcza w okresie powojennym, gdy przyszło nam zmierzyć się z sowiecką propagandą transplantowaną do naszej polityki i kultury narodowej.

Bezpodstawnie aresztowany przez NKWD został zamordowany w ramach tzw. czystki stalinowskiej. I to jest pełny biogram Jana Hempla. Dla Lublina głównie jako publicysta zasłużył na upamiętnienie nazwą ulicy. Ludzi o lewicowych zapatrywaniach czy wręcz ideologów tej opcji społecznej nie brakowało w latach dwudziestolecia międzywojennego.

Socjalistą był w początkowym okresie swojej społecznej działalności późniejszy marszałek Józef Piłsudski. Hempel nie był zdrajcą narodu i państwa polskiego, tylko drogę rozwoju Polski widział w innym kierunku. IPN kwestionuje również nazwy ulic i placów: I Armii WP i pl. Seidlera. Chciałbym przypomnieć, że w tej armii byli Polacy wcieleni do wojska na terenie ZSRR i walczyli potem z Niemcami. W walkach pod Stalingradem sowieci zdecydowali, żeby żołnierze polskiej armii ruszyli do ataku mimo skutecznego ostrzału ze strony niemieckiej. Zginęło chyba w jednym ataku ponad tysiąc Polaków. Na terenie Związku Radzieckiego znajdowały się tysiące Polaków z Kresów, których po 17 wrześniu 1939 r. prześladowano, byli więzieni, kierowani do łagrów i na zesłanie na Sybir. W sierpniu 1944 r. w Lublinie zaczęła działać FOSP nr 2 (Frontowa Oficerska Szkoła Piechoty). W tej oficerskiej szkole było około 3 tys. żołnierzy. Podczas zjazdów absolwentów FOSP w 1972 i 1978 r. udało się uzyskać dane statystyczne odnoszące się do pochodzenia i szczegółowszych biogramów tych absolwentów. „Większość ochotników z Wileńszczyzny i okręgu lwowskiego wcześniej znajdowała się w szeregach Armii Krajowej" – zapisałem w wydanej publikacji „Z Polską w sercu" (Lublin, Norbertinum, 1996). Natomiast w trzeciej książce z tego cyklu pt. „Tylko Polska" podtytuł wyjaśniał – „Żołnierze Andersa pod wodzą Berlinga" (Lublin, Wydawnictwo GAL, 2010).

Pamiętam też serdeczne powitanie Jana Karskiego z prof. Grzegorzem L. Seidlerem na spotkaniu w sali w Muzeum na Zamku. Tuż przed wojną byli razem w podchorążówce we Włodzimierzu Wołyńskim, walczyli też z nieprzyjacielem po napaści Niemców na Polskę.

Nie dostrzegam żadnej niestosowności w upamiętnieniu nazwą uliczek w naszym mieście Jana Hempla, czy też żołnierzy I Armii WP lub placu rektora UMCS Grzegorza L. Seidlera.

Na ewentualną w przyszłości propozycję nazwania w Lublinie ulicy czy placu imieniem Przemysława Czarnka odpowiem negatywnie.

(GIEZ)
25 XI 2017

Al. Leszek Gzella

100-lecie płk. Władysława Rokickiego

Wzorzec dla pokoleń

Płk Władysław Rokicki obok Wojewody oraz towarzyszy broni

Uroczyste obchody stulecia płk. Władysława Rokickiego rozłożyły się na trzy dni.

Piątek upłynął na oficjalnych spotkaniach w sali Urzędu Wojewódzkiego z udziałem władz miasta i województwa. Minister Urzędu Kombatantów i Osób Represjonowanych uroczyście wręczył Jubilatowi szablę. To był moment nie tylko podniosły, ale prawdziwie wzruszający. Przemówienia, prezentacja biogramu p. Władysława w wykonaniu Józefa Krzyżanowskiego. Można powiedzieć, że życiorys skromny jak na wiek XX, choć okres okupacji niemieckiej i lata powojenne, w których płk Rokicki uczestniczył, obfitowały w wydarzenia, które muszą być rozpatrywane w kategoriach bohaterstwa. Udział w obronie Lublina we wrześniu 1939 roku, działania partyzanckie w BCh i AK wysunęły go na czoło w rejonie rodzinnego miejsca pochodzenia, w rejonie Bełżyc.

Po wyzwoleniu Lublina nękany przez NKWD, wielokrotnie aresztowany, podejmuje decyzję wstąpienia jako ochotnik do Wojska Polskiego. Wspominał ten czas: „Pod koniec lipca 1944 r. do Bełżyc przyjechało NKWD i zaczęło aresztować młodzież. Zabrano m.in. mnie i brata Czesława do samochodu ciężarowego i przywieziono do koszar 8 pp leg. w Lublinie. W nocy zaczęło się przesłuchiwanie. Szukają partyzantów. Nikt z nas nie przyznał się do działania w partyzantce. Zwolniono nas jeszcze w nocy. Całą gromadą ruszyliśmy pieszo z powrotem do Bełżyc. Trzeba było się zabezpieczyć. [...] Z bratem doszliśmy do wniosku, że chyba najbezpieczniej będzie wstąpić do wojska". Trafił do FOSP nr 2. I nie można pominąć faktów i zapominać, że „Wychowankowie lubelskiej szkoły walczyli przeciwko armii niemieckiej na frontach północnych i południowych. Zdobywali Kołobrzeg, staczali krwawe boje na tzw. Wale Pomorskim, forsowali

→

Płk Władysław Rokicki uhonorowany szablą

Nysę i Odrę, walczyli pod Budziszynem i Dreznem, doszli do Berlina i zatknęli biało-czerwoną flagę na Bramie Brandenburskiej".

Pan płk Władysław kombatanckim tradycjom został wierny przez wiele następnych lat. W jesieni br. przekazał dokumenty związane z FOSP nr 2 w Lublinie do archiwum. Te dokumenty ułożone tworzyły ponad 1,5-metrowy stos.

Od lat starał się tworzyć dobrą i przyjazną atmosferę wokół pamięci wojennych wydarzeń i perypetii polskiej partyzantki i tradycji wojska polskiego. Organizował zjazdy kombatantów, upamiętniał fakty historyczne, inicjował stawianie pomników, inspirował publikacje w gazetach i książkach. To jego zasługami są powołanie Klubu Oficerów Rezerwy im. 2 FOSP, zjazdy kombatantów FOSP w Lublinie (było ich siedem), pomnik przy ul. Spadochroniarzy (1978), pomnik Obrońców Lublina 1939 na miejscu wojennego cmentarza przy ul. Zana (1987), tablica poświęcona marszałkom Józefowi Piłsudskiemu i Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu w kościele garnizonowym w Lublinie (1999), odtworzenie zniszczonego kopca poległych legionistów 8 pp leg. na terenie koszar (2001), a także odremontowanie tablic i wzniesienie pomnika w miejscu straceń powstańców z 1863 r. przy ul. Langiewicza (2003). W pobliżu kościoła na Poczekajce ustawiono pomnik upamiętniający walki żołnierzy Armii gen. Andersa pod Monte Cassino.

Również przy udziale i inspiracji płk. Władysława Rokickiego powstawały publikacje książkowe: „Oni bronili Lublina. Wrzesień 1939" (broszura, 1989), „Bronili Lublina, wrzesień 1939" (1994, współautor red. Wojciech Białasiewicz), „Z Polską w sercu" (1996), „Z Polską na ustach" (1999), „Bronili miasta i honoru 1939" (2001), „Tylko Polska. Żołnierze Andersa pod wodzą Berlinga" (2010).

Sobotnie spotkanie w gmachu Technikum Elektronicznego przy ul. Wojciechowskiej odbywało się w gronie rodzinnym i przyjaciół. Jubilata i gości powitała dyrektor Szkoły Elżbieta Hanc, a młodzież wierszem, pieśnią i reporterskim przekazem pokłoniła się z szacunkiem Panu Pułkownikowi. Od lat płk Rokicki spotyka się w różnych sytuacjach i szkołach z młodzieżą, przekazując swoje doświadczenia, opowiadając o Polsce zniewolonej i wolnej, niepodległej. Jego opowieści i przykład to żywa historia wierności Ojczyźnie. W czasie mszy w kościele kaznodzieja podkreślał, że Jubilat stał się wzorcem dla wielu pokoleń.

Z Gdańska przyjechali bratankowie pułkownika Rokickiego z rodzinami. Jeden z tych najmłodszych uczestników, pięciolatek, dość aktywnie włączył się w uroczystości. Przyjaznemu Zespołowi Tańca Ludowego UMCS, który pojawił się w szkole i oddał należną cześć Jubilatowi, wytrwale pomagał dyrygując, a po słowach piosenki „Niech żyje nam" wykrzykiwał – „Dziadek, Dziadek!". Obecni słowa podziękowań ze strony Jubilata kwitowali gromkimi oklaskami. ■

Ks. Edward Walewander

Nikt nie rodzi się byle kto...

Kazanie wygłoszone 25 października 2017 r. w Katedrze Lubelskiej na mszy św. żałobnej s. Heleny Pasiecznej

Wygłaszanie egzorty pogrzebowej zawsze jest zadaniem trudnym. Przede wszystkim dlatego, że niełatwo powiedzieć, co było najważniejsze w życiu osoby zmarłej, zwłaszcza gdy było to życie wypełnione pracą i służbą dla innych.

Dzisiaj z żalem i bólem żegnamy śp. Siostrę Helenę Pasieczną. Zasłużyła się ona bardzo w kilku środowiskach kościelnych w Polsce. W ostatnich latach swego życia spełniała się w pracy w Katedrze Lubelskiej. Była między innymi odpowiedzialna za dekorację ołtarzy. Robiła to z wielką elegancją. Jej praca była szczerze podziwiana.

Życie ludzkie jest „*jak trawa, co rośnie: rankiem kwitnie i jest zielona, wieczorem więdnie i usycha*". Czyż te słowa z Psalmu 90 (w. 5-6; por. też Ps 39, 7) nie odnoszą się i do nas, a zwłaszcza do naszej drogiej Zmarłej, która odeszła do najlepszego Ojca w niedzielę 22 października 2017 r.? Zaledwie kilka dni wcześniej wielu z nas widziało Ją jak krzątała się po świątyni. Wielu obserwujących Ją nie spodziewało się pewnie, że wkrótce przyjdzie ostatnie pożegnanie. Musimy przyznać rację Pismu Świętemu, które poucza nas, że życie ludzkie jest jak trawa; rankiem kwitnie i jest zielona, a wieczorem więdnie i szybko usycha. Czyż nie trzeba nam więcej je cenić, a przede wszystkim żyć zawsze godnie i mądrze?

Na swoim pamiątkowym obrazku z okazji wieczystej profesji zakonnej, którą złożyła w Łodzi 15 sierpnia 1978 r., s. Helena wypisała swoją znamienną dewizę życia, przejętą z głębokim przekonaniem od św. Jana Marii Vianneya: „*Bogu serce, ludziom uśmiech, sobie krzyż*". Słowo *krzyż* podkreśliła w sposób znaczący, jakby przewidywała, co ją czeka. Zatem czy łatwo przedstawić w dniu pożegnania tak bogate i twórcze życie?

Hela Pasieczna była córką Józefa i Stanisławy z domu Sachajko. Urodziła się 20 kwietnia 1947 r. w Kolonii Niemirówek koło Tarnawatki w rodzinie wielodzietnej. Wzrastała w środowisku o bogatych tradycjach patriotycznych i wolnościowych. Naukę w zakresie szkoły podstawowej pobierała w Niemirówku. Przez siedem lat razem uczęszczaliśmy do tej samej klasy.

Do mojej *Księgi jubileuszowej* wpisała taką krótką charakterystykę naszych młodych lat: „*Chętnie wracam do naszej wspólnej dziecięcej przeszłości. Inaczej postrzegaliśmy wiele spraw, może niekiedy nie zauważaliśmy zatroskania naszych rodziców. Ale takie są prawa dzieciństwa i młodości. Nie było to dzieciństwo tak bez reszty sielskie, anielskie. Wyrośliśmy w rodzinach żyjących na wsi, ciężko pracujących na roli. Może teraz jest już inaczej, ale w tamtych czasach dzieci musiały - a co więcej chciały dzielić ten trud z dorosłymi. Być może dziś wiejskie dziecko nie zrozumie tego, co tu napisałam. Ja jednak z przekonaniem wyznaję, że pójście na pole, praca ręka w rękę z dorosłymi była dla nas wtedy jakąś nobilitacją. Czuliśmy, że chleb na stole to rezultat także naszej ciężkiej pracy, choć o wiele mniejszym wymiarze niż dorosłych*".

Naszym niezapomnianym pedagogiem był świątobliwy ks. Tadeusz Boguta, proboszcz tarnawacki. Uczył nas religii. Podpatrywaliśmy i naśladowali naszego katechetę. Po latach s. Helena wyznała ze wzruszeniem: „*Czy mogliśmy przewidzieć, że nasz kolega,* [...], *pójdzie kiedyś w jego ślady, a ja wstąpię do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Starowiejskich NMP Niepokalanie Poczętej?*".

Duży wpływ na osobowość Heli miała zwłaszcza Jej świątobliwa mama Stanisława. Również na nas wszystkich młodych oddziaływała gorliwość i świątobliwość Sióstr Służebniczek pracujących w Tomaszowie. Ilekroć przekraczaliśmy progi drewnianego kościoła w naszym mieście, witał nas zawsze w kruchcie konterfekt Edmunda Bojanowskiego i zawieszony obok niego życiorys. Czytaliśmy te informacje i staraliśmy się naśladować go w służbie Bogu i ludziom. Był niezwykłym pedagogiem praktykiem, a także założycielem zgromadzenia zakonnego. Hela osiągnęła to w stopniu wyjątkowym. Biskup Ryszard Karpiński, który przez lata obserwował Jej pełną poświęcenia pracę w Katedrze Lubelskiej, stwierdził, że to „*siostra do tańca i do różańca*".

Po ukończeniu szkoły podstawowej Hela pozostała w domu i pracowała w gospodarstwie rodzinnym. Po śmierci ojca w 1969 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Starowiejskich. Po odbyciu nowicjatu skierowano Ją na placówkę w Liskowie koło Kalisza. Posługując w niej, ukończyła w Kaliszu Liceum Ogólnokształcące. Na tej swej pierwszej placówce pozostawała osiem lat. Potem przez rok pracowała jako katechetka w Gdańsku.

→

Stamtąd została przeniesiona do rodzinnego Tomaszowa Lubelskiego, po czym przez sześć lat pracowała w Krasnymstawie na stanowisku katechetki i przełożonej domu. Po latach znowu wróciła do Tomaszowa. Dorywczo dojeżdżała stamtąd do chorej matki i serdecznie się nią opiekowała. Gdy w 2006 r. matka zmarła, Hela została skierowana do Strykowa koło Łodzi. Od 2010 r. pracowała w Lublinie w Katedrze Lubelskiej.

Życie religijnej, oddanej Bogu i ludziom służebniczki opowiedziane zostało tu bardzo krótko, zwięźle, a więc niepełnie. Stoi jednak za nią bardzo wiele. Dlatego spróbujmy dodać jeszcze coś więcej.

Poprzez spełnianie różnych funkcji, a zwłaszcza pełnione dzieła miłosierdzia, Siostry Służebniczki są mocno obecne w świadomości społecznej. Chyba najlepszy pomnik wystawił im nasz wielki polski pisarz Bolesław Prus. W jego powieści *Emancypantki*, książce, która dotyczy roli kobiety w życiu zawodowym i społecznym w Polsce, zawarta jest wypowiedź jednej z sióstr: *„Jesteśmy ułomne istoty, zwyczajne jak ludzie; może nawet gorsze i z pewnością gorsze od innych ludzi. Ale wszystkie osoby należące do* [...] *zgromadzenia mają jedną wspólną cechę: nie wiem, czy to instynkt, czy niezasłużona łaska Boża... Oto w każdej z sióstr nad jej osobistymi skłonnościami góruje chęć służenia – bliźnim, opuszczonym i cierpiącym. Wiem, że panie światowe mają więcej serca aniżeli my: że są lepsze, wykształceńsze, delikatniejsze i czulsze od nas. My jesteśmy proste kobiety oswojone z niedolą, niekiedy zmęczone: więc to, co u światowych osób jest naprawdę poświęceniem, dla nas jest potrzebą istnienia, prawie egoizmem*. [...] *Jak ptak rodzi się do latania, tak osoba mająca kiedyś za łaską Bożą zostać siostrą rodzi się do służenia cierpiącym. Kto tego powołania nie ma w duszy, nie będzie zakonnikiem, choćby go zamurowano w klasztorze*"[1].

Świętej pamięci s. Helena Pasieczna jako katechetka zostawiła w swoich uczniach i wychowankach wiele ze swojej postawy dobrego, bardzo sumiennego pedagoga. Przede wszystkim swoim oddziaływaniem i ewangelicznym życiem starała się przekształcić człowieka egoistę, myślącego tylko o sobie, w altruistę, który byłby gotów oddać życie za sprawę, za innych. Pragnęła, by każdy Jej wychowanek był wierny przyjętym ideałom aż do końca, choćby wymagało to ofiary.

Należała do kategorii takich ludzi, którzy niezmiernie troszczą się o to, by wszystko, co robią, wykonywać perfekcyjnie. Nigdy nie czyniła czegokolwiek byle jak. Przygotowywane przez Nią Pierwsze Komunie Święte, a także wszelkie spotkania były zawsze doskonale zorganizowane.

Wszędzie, gdzie pracowała, miała dobry kontakt z duszpasterzami. Wspomagała na swój sposób ich posługę. Duszpasterze mogli liczyć zawsze na jej wsparcie.

Troszczyła się także o swoich bliskich w rodzinie. Radowała się i cierpiała razem z nimi. Stale się za nich modliła. Kilka dni przed swoją śmiercią powiedziała mi łamiącym się głosem: *„Byłam zawsze z moją rodziną, nie zaniedbując w niczym obowiązków zakonnych, teraz przychodzi kolej na mnie*. Proszę Was wszystkich: nie zapominajcie szlachetnej siostry zakonnej, Waszej Siostry i Cioci. Naśladujcie jej cnoty. Pamiętajcie, że macie nadal tak wychowywać dzieci, by zapełnić puste miejsce, które w Kościele zostawiła nasza Droga Zmarła. Proszę Was gorąco: podejmujcie Jej dziedzictwo.

Dobrze się stało, że miejsce pochówku siostry Heleny będzie blisko naszego domu, w naszym pięknym mieście rodzinnym, blisko nas wszystkich. Jej grób będzie dla nas wyzwaniem do jeszcze gorliwszej służby Panu Bogu i bliźniemu. Niech powracająca do rodzinnej ziemi siostra Helena budzi dalsze powołania zakonne, zwłaszcza do jej Zgromadzenia, które traktowała jak własną rodzinę.

Była bardzo wrażliwa na ludzką dobroć. Postanowiła zawsze dawać ludziom uśmiech. Bardzo ubolewała, gdy nie udało się jej doświadczyć zwykłej ludzkiej dobroci i pomocy, zwłaszcza tam, gdzie ona powinna być. Odczuwała to boleśnie szczególnie wtedy, kiedy jej siły w ostatnich tygodniach życia zauważalnie słabły. Te braki i ból nimi wywoływany ukrywała i ze smutkiem tłumiła w sobie.

Miała w sobie coś z wychowania spartańskiego: zdyscyplinowanego, oddanego bez reszty sprawie, konsekwentnego. Do końca swych dni znosiła swą ciężką chorobę jak ów żołnierz spartański, który padł na posterunku. Wspomina go prawie każdy podręcznik historii wychowania, kiedy jest mowa o edukacji w starożytnej Grecji.

Wygłosiłem wiele egzort pogrzebowych, ale dopiero dziś pierwszy raz żegnaną osobę porównuję do słynnego z odpowiedzialności i poświęcenia wychowania spartańskiego.

Starałem się przybliżyć autentyczną i pasjonującą historię życia twardego, zwykłego, a jednocześnie bardzo niezwykłego człowieka, mojej koleżanki z ławy szkolnej w szkole podstawowej. Zapamiętajmy: *„Nikt nie rodzi się byle kto..."* - to znany i niezwykły tytuł pasjonujących wspomnień Maliny Stahre-Godyckiej[2], który śmiało można odnieść do życia i dzieła żegnanej dziś s. Heleny.

Droga Helu! Przez naszą modlitwę oddajemy Cię najlepszemu Ojcu. Odeszłaś do wymarzonego nowego świata. Niech Bóg wynagrodzi Ci wszelki trud, Twoje poświęcenie bez reszty ludziom: w rodzinie, w Ojczyźnie, a zwłaszcza młodym ludziom. My, Twoi bliscy, za Twoją zachętą ciągle staramy się tworzyć świat nowy i lepszy. Wspieraj nas w tym nadal. Teraz już z Domu Ojca.

Amen!

[1] t. IV, Warszawa 1957, s. 476-477.

[2] III wydanie Poznań 2017.

Ryszard Kornacki

Powiedział: „Ja jestem noc czerwcowa, królowa jaśminowa”

(wspominając Mieczysława Kalenika)

Nie żyje Mieczysław Kalenik, słynny filmowy Zbyszko z Bogdańca. Zmarł 16 czerwca br. w swoim rodzinnym Międzyrzecu Podlaskim. Miał 84 lata. Wieść o Jego śmierci obiegła lotem błyskawicy rodzinne miasto aktora, który zawsze mówił o sobie: „Jestem chłopak z Międzyrzeca”.

Urodził się 1 stycznia 1933 roku jako syn Jana i Aleksandry z domu Chmielewskiej. Po ukończeniu SP nr 2 w Międzyrzecu kontynuował naukę w Technikum Ekonomicznym, gdzie otrzymał maturę. W czasie Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Lublinie zauważyła Go profesor PWST z Warszawy Zofia Małynicz. M.in. dzięki jej sugestii zdecydował się na studia w stolicy (1953–1957) i był ulubionym uczniem wielkiego Aleksandra Zelwerowicza – aktora najwyższej klasy i rektora honorowego PWST. Potrafił też znakomicie go naśladować. Jeden z tekstów brzmiał tak: „Ilia Siergiejewicz Pietrow i Kleopatra Pietrowna stali pode drzwiami i namiętnie podsłuchiwali”. Kiedy profesor usłyszał monolog w wykonaniu Kalenika z przejęciem zawołał: Jezus Maria, Czesiu, drugi Zelwer się urodził! Profesor nazywał Mieczysława Czesiem i tak już zostało.

Aktor był związany z różnymi teatrami warszawskimi (Komedia, Powszechny, Narodowy, Nowy i Teatr Polski). Współpracował z Czesławem Szpakowiczem w Teatrze Sensacji, który z czasem przeobraził się w popularną „Kobrę” reżyserowaną przez Józefa Słotwińskiego. Występował też w Młodzieżowym Teatrze Telewizji. Grał Jurka w ostatnim filmie Leonarda Buczkowskiego „Smarkula”, w filmie „Paryż – Warszawa bez wizy” w reż. Hieronima Przybyła kreował wielką rolę kapitana Janoty. W trakcie realizacji filmu poznał osobiście dwóch wielkich, polskich pilotów. Jednym z nich był ostatni dowódca Dywizjonu 303, Witold Łokuciewski, drugim specjalista od wyszkolenia cywilnego, Wiktor Pełka.

Brał też udział w znanych serialach: „Czterdziestolatek” Jerzego Gruzy, „Polskie drogi” Janusza Morgensterna i „Czarne chmury” Andrzeja Konica. Grał w filmach reżyserowanych przez Andrzeja Wajdę „Wszystko na sprzedaż” czy ostatnio Stolnika Horeszkę w „Panu Tadeuszu”. Dobrze wspominał współpracę z Jerzym Antczakiem

Zdzisław Eugeniusz Kalenik, Mieczysław Kalenik, Ryszard Kornacki. Międzyrzec 2015

w trakcie kręcenia filmów: „Hrabina Cosel” i „Noce i dnie”. Jego przeszłość teatralna jest bardzo bogata. Grał i brał udział w ponad 90. przedstawieniach (1959–2000). W Teatrze Powszechnym u Ireny Babel zagrał ciekawą postać w „Zaklinaczu deszczu”. Pierwszą dużą rolą na narodowej scenie (Teatr Narodowy) był Walentyn w sztuce Bernarda Shawa „Nigdy nie można przewidzieć”. Potem przyszły kolejne role: Willego w „Niemcach” Kruczkowskiego, Ejlifa w „Mutter Courage” Brechta z Ireną Eichlerówną, Smugonia w „Przepióreczce” Żeromskiego, Karola w „Ciężkich czasach” Bałuckiego oraz Aloszki, a nieco później Waśki Piepieła w „Na dnie” Gorkiego. W Teatrze Nowym wcielił się w postać Machiavellego w sztuce, do której muzykę napisał Jerzy Wasowski. Przez 6 lat był najpopularniejszym aktorem w Krakowie u Wierzynka. Wygrał plebiscyt „Przekroju”. Honorowy Obywatel Miasta Międzyrzec Podlaski (2001). W 2008 roku otrzymał Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Interesował się sportem, lubił śpiewać i recytować. Jako uczeń na zawodach LZS w Radzyniu Podlaskim (mistrzostwa powiatowe) zdobył I miejsce w rzucie dyskiem z wynikiem 44 m 60 cm. W trakcie studiów w Warszawie zdobył mistrzostwo akademickie Polski w tej konkurencji. Doskonale pływał i jeździł na łyżwach. Znał osobiście takie znakomitości sportowe jak: Zbigniew Radziwonowicz i Janusz Sidło (obaj oszczepnicy), Krzysztof Krzyszkowiak (długodystansowiec) i Władysław Komar (rzut kulą). Znał też wybitnych pisarzy i poetów w osobach Stanisława Grochowiaka, Józefa Hena, Józefa Barana, Tadeusza Kubiaka, Marka Hłaskę, Jana Himilsbacha, Tadeusza Konwickiego, Ireneusza Iredyńskiego, Melchiora Wańkowicza

→

Mieczysław Kalenik, Park Krasińskich, Warszawa 2014

i Barbarę Wachowicz. Z wieloma się przyjaźnił i gościł wraz z żoną – pisarką Wiesławą Czapińską – u siebie na 8 piętrze przy ul. Wałowej w Warszawie.

Poznał również osobiście poetę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, którego twórczość od lat uwielbiał jako znakomity recytator. Pamiętam, gdy jeden z najwybitniejszych polskich aktorów Ignacy Gogolewski, po koncercie w otwockim LO ściskał serdecznie dłoń Mieczysława, mówiąc, że najlepiej recytuje „Kroniki Olsztyńskie". To dobra stara szkoła – twierdził.

W roku 1951 Miecio jako młody harcerz – żeglarz, wędrując z grupą rówieśników znalazł się w Puszczy Piskiej, blisko Leśniczówki Pranie, nad Jeziorem Nidzkim na Mazurach, około 7 km od Rucianego.

Zapadał powoli wieczór i trzeba było znaleźć miejsce na nocleg dla porządnie już zmęczonych kolegów. Wybrał się więc jako przewodnik grupy do leśniczówki prosić o zgodę na nocleg w pobliskiej stodole. Leśniczy, p. Stanisław Popowski (z którym Mietek od tamtej pory się zaprzyjaźnił), widząc zmęczonych i przemokniętych chłopców pozwolił im na nocleg na pachnącym sianie. Potem zabrał ze sobą do izby Miecia – jak się okazało na suto zakrapianą kolację. Kiedy stanęli w drzwiach, zobaczył liczne grono dorosłych, a wśród nich mężczyznę z dość rozwichrzoną czupryną. Siedział milcząc w rogu izby, a rozochocone towarzystwo zabawiało się w popularną wtedy grę na fanty. W momencie wejścia przybyłych wszystkie oczy zwróciły się w ich kierunku, a ten mężczyzna odezwał się, zapraszając: *teraz kolej na ciebie, młody.* Zabawa polegała na próbie wytrzymałości. Chodziło o to, by jak najdłużej utrzymać się, stojąc na jednej nodze, drugą trzymając nad płomieniem zapalonej świecy. Kto nie wytrzymywał, musiał dać fanta lub wykonać każde polecenie prowadzącego grę. W przypadku młodego harcerza zastosowano łagodną formę polecenia: wypić kielich wódki. *Byłem abstynentem, nigdy nie paliłem papierosów i nie piłem żadnego alkoholu. Ale stojąc na środku izby, widząc zachętę i zaciekawienie dorosłych, udając bohatera w jednej chwili zdecydowałem i wypiłem jednym haustem całą zawartość kieliszka. Niestety, nie dałem rady dojść o własnych siłach na nocleg tym bardziej, że bolała mnie poparzona stopa. Całe szczęście, że p. leśniczy mi pomógł, a chłopcy spali już jak zabici.*

Rano szybko zerwałem się na nogi, mimo iż bardzo bolała mnie głowa. Nic nikomu nie mówiąc, pobiegłem do leśniczego, narzekając na własną głupotę i tego pana, który tak mnie namawiał. „Kim był ten pan?" – zapytałem leśniczego. „To ty nie wiesz?" – odrzekł ze zdziwieniem. – „To przecież znany polski poeta Konstanty Ildefons Gałczyński! Z rana wybrał się do lasu". Wtedy we mnie jakby piorun strzelił. Ze zdumienia nie mogłem otworzyć ust. Ten od „Serwus Madonna" , „Skumbrii w Tomacie" czy „O mojej poezji"? „Tak" – odparł leśniczy. – „Teraz znowu coś pisze, jakieś kroniki, czy coś takiego. Bardzo mu się tu podoba i oboje z żoną Natalią chcą tu zamieszkać". Boże drogi, pomyślałem. To Gałczyński, mój ulubiony poeta. Dopiero później dowiedziałem się, że pomysł Gałczyńskiego zamieszkania w leśniczówce Pranie nie mógł się udać, ponieważ poeta zmarł już w grudniu 1953 r.

Znałem Mietka od ponad 40 lat. Od ponad 25 lat byliśmy w zażyłej przyjaźni. Często odwiedzaliśmy się. Przychodził do nas do domu i na ogród. Kochał i znał otaczającą nas przyrodę. Potrafił o niej pięknie opowiadać. Przez ten czas dał się poznać jako ciepły, wartościowy człowiek silnie związany z miastem rodzinnym. Mówił, że przebywa w Warszawie a mieszka w Międzyrzecu Podl. To tutaj spędzał każde święta, wakacje, urlopy. Wielu z nas miało okazję podziwiać jego umiejętności pływackie na tutejszej żwirowni. Spotykaliśmy się towarzysko przy różnych okazjach i mieliśmy możliwość podziwiania Jego talentu wokalnego. Jego śmierć napełnia przyjaciół, znajomych i wreszcie ludzi, którzy Go znali i szanowali ogromnym smutkiem.

Magdalena Kalenik – córka Mieczysława Kalenika – w swoim pożegnaniu nad trumną ojca powiedziała: Zapach czerwcowej nocy jest dla Ciebie Tato. A do obecnych zwróciła się tymi słowy:

Dziękuję Wam, którzy zjawiliście się, by pożegnać OJCA. Zawsze dobrze mówił o Międzyrzecu i o jego mieszkańcach, dla Niego był ważny Las–Zapowiednik, ważne drzewa i zwierzęta i rozpoznawanie ptaków. Myślę, że to, co dziś nam i Jemu dał Wszechmogący, jest sygnałem byśmy nie byli smutni. Dziś jest piękny, słoneczny dzień, a Tata był wesołym człowiekiem. Przyjechałam do Ojca pod koniec maja. Pobyliśmy ze sobą trochę i wiele rozmawialiśmy. Podczas jednej z tych rozmów wyjrzałam przez okno i powiedziałam: „zobacz Tato, niedługo zakwitną jaśminy". On już się nie najlepiej czuł, ale powiedział: „bo ja jestem noc czerwcowa, królowa jaśminowa" – zacytował swojego ukochanego Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Jakie mogłam Mu więc przynieść kwiaty – tylko jaśminy.

Cześć Jego Pamięci.

Ryszard Kornacki

Tren na śmierć krajana

Mieciowi Kalenikowi od „Krzyżaków”

Wybacz Przyjacielu – rycerzu z Podlasia
że ostatnio trafiają mi się coraz starsze
i smutniejsze wiersze...
Przypadek to czy bolesna seria?

Pożegnałeś się ze mną serdecznie
na ostatnim przystanku dobrej nadziei,
w parowie zielonych wspomnień...
Z posiwiałą z żalu tęsknotą
opuściłeś na zawsze ptaki
płynące na pamięć do gniazd,
srebrne zające skaczące spod nóg
i mądrość odwiecznego lasu –
strażnika naszych sumień.

Świat mój też jest coraz starszy
choć nie widać tego gołym okiem.
Nie pachnie naftaliną tak jak my
Przyjacielu.
Ty już w tym lepszym świecie, w Boskim Bogdańcu ,
o którym nucisz litanie do Matki Podlaskiej
Jak Stańczyk międzyrzeckiej żwirowni
zaklęty jesteś w ukwieconą polanę wieczności.

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Modrzew Dominika

Odszedł Dominik Opolski (1946–2016), wielki poeta polski! Pożegnaliśmy Go 13 października na lubelskim cmentarzu przy Męczenników Majdanka. Dzień był ciepły, słońce przedzierało się przez grube, granatowe chmury. Dominik, który znał setki przysłów i tysiące aforyzmów, lubił mawiać: „jak październikowe anioły w ciepłym słońcu chadzają, to potem mrozy w zimie trzymają". Była to zapewne upoetyzowana wersja znanego ludowego porzekadła „gdy październik ciepło trzyma, zwykle mroźna bywa zima". Październikowe Anioły w Dominikowej frazie to patroni drugiego dnia tego miesiąca, w którym Kościół obchodzi święto Aniołów Stróżów.

Z kronikarskiego obowiązku odnotowuję, że w ostatniej drodze towarzyszyło Poecie 37 żałobników, połowę stanowili przyjaciele i koledzy literaci. Muszę westchnąć ze smutkiem, że niewielu. Mam przecież w pamięci spotkania autorskie Dominika – w końcu lat siedemdziesiątych minionego wieku – które zawsze ściągały ponad setkę czytelników!

Wiele lat pozostawaliśmy w przyjacielskiej komitywie. Był w kilkunastoosobowej grupce młodych ludzi, czekających na mnie przed bramą więzienia, które opuszczałem w marcu 1968. Dominika – a i mnie także, przybyłych na lubelski bruk z innych miejscowości – miasto nie polubiło. Miasto: a więc lubelskie urzędy, instytucje, uczelnie a i lubelacy – jak się wydaje – również… Wyrzucano nas ze studiów, wielokrotnie aresztowano, ba, trzeźwych zamykano w izbie wytrzeźwień. Nie mieliśmy do nikogo żalu, nie uważaliśmy się za represjonowanych, ktoś w naszym kręgu ukuł ironiczne zawołane „aby zostać poetą, trzeba dużo wycierpieć!". Dla autora tych słów Poeta uchodził za buntownika dobrowolnie wybierającego cierpienie i poniewierkę. Zawołanie podobało się, więc przyjęliśmy je za nasze pozdrowienie. Dominik od zawsze z rudą brodą, delikatny, szczuplutki, ba, kruchy, w grubych szkłach, a jednak nieprawdopodobnie mocny, mogę powiedzieć: hardy i zuchwały! W Chatce Żaka, najpopularniejszym – tamtej doby – miejscu spotkań braci studenckiej, podczas któregoś spotkania autorskiego w roku 1971 czy może 72 roku czytał wiersz o oficerze Służby Bezpieczeństwa, kapitanie Witoldzie Gwieździe.

Gwiazdo, gwiazdo serce ranisz, pójdę ślepy i o kiju i napotkam psa jakiego to ustąpię jemu z drogi… Liryczne motto cenionego i popularnego wówczas Stanisława Grochowiaka – miało pewnie w odczuciu Dominika – niwelować, czy też łagodzić oskarżenia i szyderstwa pod adresem esbeka. Kapitan, czego się domyślaliśmy, czuwał z ramienia SB nad lubelską młodzieżą artystyczną, a może i nad całą społecznością zamieszkałą w akademikach przy ulicy Langiewicza. W czasie spotkania stałem w drzwiach i obserwowałem publiczność, znajomych i nieznajomych. Na wielu twarzach zachwyt mieszał się z przerażeniem, jedni gratulowali, inni wymykali się chyłkiem. Pamiętam także huragan braw na pożegnanie Poety.

Nie odpowiem w tej chwili, czy ten wiersz znalazł się w którymś z Jego tomów.

Był wtedy najpopularniejszym poetą starego, trybunalskiego grodu. Parę lat wcześniej powstawała grupa poetycka Samsara, przez Józia Osmołę – jednego z twórców poetyckiego stowarzyszenia – został zaproszony do współpracy. Nie odmówił, ale nigdy z samsarowcami się nie związał. Samsarowcy – dla zabawy – proponowali poetycką twórczość kolektywną, Dominik był niezniszczalnym indywidualistą, gry i zabawy kpiarskiego towarzystwa literackiego nigdy Go nie wciągnęły. Samsara – po studenckim marcu'68 roku – stała się legendą miasta, a także krajowej literatury. Wielu autorów zabiegało, aby jej sława opromieniała także ich postaci i działania, również Dominik nie protestował, kiedy po latach wiązano Go z samsarowcami.

We wspomnianej Chatce Żaka odbywały się wówczas słynne w kraju Studenckie Wiosny Teatralne. W 1972 roku teatr z Gliwic – przy wypełnionej po brzegi sali – prezentował *Publiczność zwymyślaną* Petera Handtkego. W czasie spektaklu widzów z pasją i wprawą obrażano. Scenariusz zakładał, że publiczność będzie się bronić. Aktorzy więc czyhali na moment, aby jakiegoś zdesperowanego widza, który zaczął się aktorom odgrażać, pogrążyć celną – już zawczasu – przygotowaną złośliwością. Wtedy do akcji – niczym jaki snajper – wkroczył Dominik, na każdą ironiczną uwagę padającą ze sceny odpowiadał aforyzmami Konfucjusza, Cycerona, ale i swoimi. Prowadził z aktorami

→

wielominutową bitwę na kpiarskie i sarkastyczne puenty. Powstawało, tworzyło się wielkie widowisko, niezapomniana zabawa literacka. Po spektaklu aktorzy zaprosili Dominika na scenę, tym pięknym gestem uznali Go za współtwórcę widowiska, za współautora ich sukcesu. Dziś ze łzą w oku mogę napisać, że był to triumfalny spektakl Jego aforyzmów. Następnego dnia wręczyłem Przyjacielowi słoik z pasztetem, popatrz – powiedziałem – nawet produkt mięsny na twą cześć nazwali „Opolskim".

Nadszedł taki moment w naszym życiu, moim i Dominika, że Miasto jakby nam odpuściło, zeszło z drogi, jakby machnęło ręką i westchnęło, zniosę jeszcze i tę dwójkę powsinogów. Ale mieliśmy już dość Lublina, odeszliśmy, Dominik do Puław, ja do Warszawy. Bywałem w jego puławskim mieszkaniu, miał imponujący księgozbiór, piękną i do szaleństwa zazdrosną żonę oraz kłopoty z opublikowaniem tomu wierszy. Odrzucali Mu książki w Iskrach, Czytelniku, PAX-ie… Wspomnę biesiadę literacką w roku 1980 w Puławach zorganizowaną przez KKMP (Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy). Rozegraliśmy pierwszy mecz piłkarski Lublin contra Literatura Światowa (Dominik nie przepadał za sportem, piłki nie kopał), wysłuchaliśmy kilkunastu wykładów o poezji, spotkaliśmy się z czytelnikami w pobliskich klubach rolnika, świetlicach wiejskich, domach kultury. Dominika, piękną Krystynę Makułę-Trochimiuk i mnie organizatorzy rzucili do Janowca nad Wisłą, mieliśmy prezentować poezję tamtejszym wielbicielom młodej literatury. Zaprezentowaliśmy, ale satysfakcji autorskich raczej nie uzyskaliśmy. Najbardziej zawiedziony był Dominik, ale znalazłem sposób na poprawienie Jego poetyckiego samopoczucia. Kiedy zatrzymaliśmy się na jednej z wiślanych ostróg – wąskich kamiennych półwyspów sypanych dla zachowania głównego nurtu rzeki – zaproponowałem improwizację do fal. Myśl się spodobała, najckliwiej improwizowała Krystyna, ale i dramatyczna litania wodna Dominika też na długo zapadła mi w pamięć. Tego wieczoru podczas uroczystej kolacji wydanej przez władze województwa na cześć młodej literatury i gości przybyłych z całej Polski Dominik wzniósł toast za panosząca się 35 lat peerelowską cenzurę. Zaległa cisza. Partyjni sekretarze od propagandy i kultury popatrzyli złym okiem po organizatorach. Marek Adam Jaworski, szef „Kameny", usiłował ratować sytuację. „Poeci od zawsze wznosili nieodpowiedzialne hasła i okrzyki" tłumaczył władzy niecenzuralny – dla niej – toast. „Nieodpowiedzialność to świadomy wybór" wykrzykiwał Dominik i już napełniał kieliszek, by uraczyć zebranych kolejnym aforyzmem, ale – jak mnie pamięć nie myli – nie dopuszczono Go do głosu.

Długie lata był wolnym poetą, krnąbrnym i nieujarzmionym twórcą, nieoczekiwanie wstąpił do nowoutworzonego ZLP, od roku 1983 nazywanego pogardliwie neozlepem. Myślę, że zdawał sobie sprawę z potwornego błędu, wybór zaciążył na Jego drodze twórczej, spokorniał, nie odzyskał już nigdy dawnego humoru i beztroski. Nie lubił środowiska, do którego przystał. I oni Go nie lubili. Pokazywali miejsce w szeregu, raczyli zdawkowymi recenzjami, rzadkimi publikacjami, groszowymi honorariami. Skazany został na samotność. Znosił ją z godnością.

W roku 1980 ze Stefanem Aleksandrowiczem zasadziliśmy pod pomnikiem Czechowicza dwa dęby, rosną do dzisiaj. Osiągnęły imponujące rozmiary, cieszą oko i radują duszę. Dwa lata później, już w stanie wojennym, moim małym fiatem wiozłem Dominika i Stefana

→

Stanisław Piotr Gaszyński

Jabłko, raj i żal

Dominikowi Opolskiemu

tak
przyznaję
podświadomie i od niechcenia
nadgryzłem to jabłko

dlatego wypędzono mnie
z raju ziemskiej przezorności

mimo to
wsłuchałeś się
w żal gwiazdosieżny
(choć pijano widny)

i wytrąciłeś broń
abym cesarskim cięciem
nie zamknął doczesności

dziś już nie musimy
„amputować siebie
w połowie wszechświata"
bo wkrótce złowimy go obaj
i podzielimy się po połowie
—wieczny neofita
z wiecznym banitą
w odległej galaktyce Pana Boga
za pan brat

Ryszard Kornacki

Dominikowi Opolskiemu, który już tylko w dobrej pamięci

Byłeś wśród nas poeto filozofie –
samsarowcu z żywej krwi i kości
z wybujałą nad wyraz brodą i fantazją
Tropicielu z demonicznym wzrokiem
ciąłeś metafory
by stać się tropionym na ostrzu słowa.
Często pytałeś o Norwida i Puławy
by potem błądzić z innymi
w poszukiwaniu najpiękniejszego aforyzmu.
Pisałeś też poemat
bez początku i puenty.
W milczeniu i świetle
szukałeś źródeł mowy
a one ukochały Cię od zaraz.
Szanowali Twoją niezależną
Panią Poezję – czasem szorstką
I gorzką jak piołun
a często trudną i złośliwą
jak kobiety w Twoim życiu.
A Ty w zmaganiu z czasem byłeś
jak twardy orzech
do zgryzienia
i ciepły
jak jaskółcze gniazdo.
Uległeś dopiero „Rażony pulsem" –
poematem na życie i śmierć.

Henryk J. Kozak

Biedny biedniejszy

Pamięci Dominika Opolskiego

Nie bał się zaprosił mnie do domu
Współczuł mi
Moglibyśmy się napić herbaty – powiedział
Ale wczoraj na śniadanie
Zużyłem ostatnią torebkę
I zimno u mnie chociaż
Jak na połowę stycznia
15 stopni to
Odpowiednia temperatura dla zdrowego
człowieka
Wyższej tej zimy tu już nie będzie
Prawdopodobnie zabrakło gazu w rurkach
Bo nie chce się dać podpalić
A i elektrony już nie płyną
Do elektrycznego czajnika
Bo woda w nim wciąż zimna
Do żarówek również dlatego
Piszę przy świecach
A jajecznicę smażę na podgrzewaczach
Po 50 groszy za sztukę
Oszczędzam
Jestem zdrowy na szczęście
Ale to już mówiłem
Siadaj rozgość się
Pogadamy o poematach które trzeba napisać
Albo tylko o wierszach
Chyba że wolisz o prozie
Życia

do Poświętnego, na posesję Wojtka Pestki, znanego dziś w Europie reportera. W Poświętnem, w pobliżu miejsca walk powstańców 1863 roku, zasadziliśmy trzy dęby. Dumni z siebie i posadzonych drzew odśpiewaliśmy kilka powstańczych pieśni. Relacjonowałem te historyjki w grupce osób powracających z pogrzebu Dominika, zaproponowałem założenie Parku Literatury, w którym sadzilibyśmy drzewa na wieczną pamiątkę dzieł i ludzi zasłużonych dla ojczystego piśmiennictwa. – Każdy pisarz zasługuje, aby posadzić drzewo na pamiątkę jego dokonań twórczych! – ripostował pewien literat.

Nie zgodziłem się z tą myślą. Uważam, że nie każdy twórca swym dziełem służy słusznej sprawie, a swą pracą niekoniecznie czyni dobro. Mój oponent pozostawał głuchy na racje innych. Park Literatury pewnie nie powstanie, w listopadzie 2017 roku w bliskim memu sercu Parku Etnograficznym „Pod Kogutem", w pobliżu nadwiślańskiego Zawichostu, zasadziłem modrzewia. Na pamiątkę życia i dzieła Dominika Opolskiego.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

LISTY OTWARTE

List z Polski

Kochani Wnukowie,

jak obiecałem ostatnio, to i piszę, co dobrego w naszej krainie. Przez ten letni czas działo się u nas dużo ciekawych spraw. Zapewne o wielu słyszeliście, ale ja Wam napiszę tak od siebie. Zacznę o tym, że zdrowie mi się polepszyło po lecie. Zbytnio się nie forsowałem, pracowałem nieco, ale z umiarem. Dużo spacerowałem po polach, do lasu, chodziłem po drobne zakupy i starałem się przebywać między ludźmi, rozmawiać z nimi, do każdego zagadać coś miłego, dobrego. A gdy człowiek spotyka się z innymi, to musi myśleć, jak się zachować, co powiedzieć. Więcej przeżywa, wczuwa się w emocje sąsiada, znajomego, czasem uda się komuś coś doradzić, a nawet pomóc. Wydaje mi się, że z pomocą Boską i ludzką znalazłem receptę na znośną starość. Ponadto kościół, czytanie książek i gazet oraz słuchanie radia wypełniają mi resztę czasu, także nocnego, bo ja teraz śpię niewiele i jest mi z tym dobrze. Życzę i Wam doczekania w zdrowiu takich lat jak ja i czerpania radości z każdego przeżytego dnia, a nawet nocy. A teraz opiszę Wam, co mnie spotkało.

Pewnego razu znajoma bibliotekarka zaproponowała mi udział w publicznym czytaniu „Wesela" dla młodzieży szkolnej i dla innych chętnych słuchaczy. Na początku się wykręcałem, że mój wiek i wymowa nie nadają się na takie występy, ale w końcu dałem się przekonać i przyjąłem rolę... Wernyhory. Mam nadzieję, że pamiętacie z lektury, kto to taki. Fakt, byłem najstarszy w tym „dramacie" i w tej roli. W domu zacząłem żałować, że się zgodziłem. Jeszcze bardziej spać nie mogłem, bo gdy się wczytałem w dialog, to zrozumiałem, jaka to odpowiedzialność. W dodatku moim rozmówcą „weselnym" był Gospodarz odgrywany przez znanego w naszej okolicy profesora matematyki. On wygadany i taki mądry, a ja prosty chłop, tyle że trochę oczytany. Nogi się pode mną uginały już na próbie. Na szczęście pani bibliotekarka skróciła nieco naszą scenę, a ja starałem się jak mogłem. Z tej okazji zainwestowałem w Zamościu w dobre okulary i nie pomyliłem ani słowa. Już na pierwszym czytaniu dostaliśmy brawa od innych lektorów. Profesor nie dał mi odczuć, że taki kształcony, bo w tej imprezie był też wiejskim gospodarzem.

W dniu Narodowego Czytania dramatu Wyspiańskiego zjawiło się dużo uczniów ze szkoły i ich rodziców, ale przyszło też wielu ciekawskich, aby nas posłuchać. Bibliotekarka pięknie to urządziła, sala była przystrojona, a między czytanymi scenami grała weselna muzyka. Wśród czytających znalazł się między innymi nasz wójt i ksiądz proboszcz. Było trochę śmiechu i zadumy nad tym, co poeta napisał ponad sto lat temu. Czasami słowa były pasujące jak ulał do współczesnej sytuacji między Polakami. Podczas występu robiono nam wiele zdjęć, które podobno można oglądać w komputerach, ale sami musicie je jakoś znaleźć. Każdy z bohaterów otrzymał na pamiątkę egzemplarz „Wesela", z którego czytał, opatrzony okolicznościowym stemplem od Pana Prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jako że czytanie trwało prawie cztery godziny, na koniec był poczęstunek i czułem się jak na prawdziwym weselu. Obiecałem sobie i innym, że za rok – o ile zdrowie mi pozwoli – też wezmę udział w tak miłym i pożytecznym spotkaniu. A książkę podaruję z odpowiednią dedykacją jednemu z Was przy najbliższej okazji, tylko najpierw przekonam się, który lepiej odpowie na moje pytania związane z lekturą.

Miesiąc później, na początku października, dałem się namówić Waszym rodzicom na wspólny wyjazd do Dorohuska, aby wziąć udział w ogólnopolskim spotkaniu modlitewnym pod nazwą „Różaniec do Granic". Wiedziałem o tym pomyśle z radia i długo się nie namyślałem. Wcale nie byłem tam najstarszy. Byli jeszcze starsi ode mnie, jak też ludzie na wózkach inwalidzkich. To dopiero krzyż Pański nie móc chodzić na własnych nogach! Mam więc za co Panu Bogu dziękować, że nie skąpi mi zdrowia. Może czytaliście gdzieś, że w Kościele obchodziliśmy niedawno 100-lecie objawień Maryjnych w Fatimie. To przedsięwzięcie też nawiązywało do tej rocznicy i było dziękczynieniem Bogu za pokój i przemiany w naszym kraju, z prośbą o błogosławieństwo dla Polski i świata na trudne czasy. Pogoda w tym dniu była typowo jesienna, padał deszcz i zrobiło się chłodno, tylko od czasu do czasu nieśmiało wyglądało słońce. Jednak nie przeszkodziło to tysiącom rodaków stawić się wzdłuż granic dookoła Polski i modlić się przez kilka godzin. Dzięki transmisji w Radiu Maryja słyszeliśmy jednocześnie modlitwy w różnych miejscach granicy i sami w tym czasie odmawialiśmy ze wszystkimi różaniec. Uświadomiłem sobie, że

→

radio okazało się niezastąpione w łączeniu modlitewnym wszystkich pielgrzymów.

W pewnym momencie obok nas na skraju drogi wzdłuż Bugu pojawił się z różańcem w ręku Wojewoda Lubelski, Pan Przemysław Czarnek. Po zakończeniu nabożeństwa wielu z nas – w tym i ja – miało okazję wymienić z nim uścisk dłoni. Takie oto piękne niespodzianki funduje nam Opatrzność w chwilach i w miejscach szczególnych. Jakby tego było mało, tuż przed rozejściem się ludzi, na niebie od wschodu pojawiła się podwójna tęcza i trwała tak kilka dobrych minut. Ktoś powie, że to przypadek związany z pogodą, ale podobno takie zjawiska działy się w wielu miejscach od Bałtyku do Tatr i wzdłuż granic, gdzie się modlono. Czy aby nie był to znak z nieba, że Bóg raduje się z naszej modlitwy i w ten sposób błogosławi swemu ludowi? Nikt mnie nie przekona, że było inaczej.

Musicie wiedzieć, że w różańcu tkwi siła i pomoc Boża w różnych sytuacjach życiowych. Kiedyś sam nie bardzo w to wierzyłem, nie rozumiejąc, dlaczego wiejskie kobiety nie tylko od święta odmawiały „zdrowaśki". Obserwowałem, jak z czasem zmieniały się na lepsze one lub ich najbliżsi, albo też pokonywały skomplikowane sprawy. Teraz wiem, że nie ma lepszego sposobu na rozwiązanie rzeczy trudnych albo po ludzku niemożliwych. Wiedzcie, że różaniec to nie żadna nienormalność ani zabobon. Obserwuję coraz więcej ludzi, którzy codziennie modlą się na różańcu. Mnie się to jeszcze nie udaje tak systematycznie, ale staram się. Czynię to także za Was, bo Wy tam o tej modlitwie raczej zapominacie w swoim zabieganiu.

Ściskam Was mocno. Życzę zdrowia i łask Bożych na nadchodzący czas.

Obiecuję napisać do Was jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Dziadek Stach

21 października 2017 roku

Książka Józefa Zięby o powstaniu i odrodzeniu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego[1] to publikacja niezwykła. Przedstawione *con amore* przez jej absolwenta dzieje tej znanej i wysoko cenionej Uczelni sprawiają, że lektura pracy daje „zapach" historii. Łatwo zauważalny profesjonalizm, szyk, elegancja przedstawienia i ujęcia tematu – wszystko to sprawia, że śmiało można powiedzieć, iż powstała ona z potrzeby serca i wdzięczności. Jest bogato i w sposób bardzo udany ilustrowana. Jej autor, dr Józef Zięba, ukończył studia polonistyczne w 1955 r. Należy on do tego pokolenia absolwentów KUL, które wciąż czuje się ze swoją Uczelnią mocno związane. Publikacja ta jest więc darem, a jednocześnie wyrazem szacunku dla *Alma Mater* z racji 100-lecia jej owocnej działalności. Należałoby życzyć, by najnowsza generacja jej wychowanków równie serdecznie kultywowała pamięć oraz wdzięczność wobec swego Uniwersytetu o tak bogatych tradycjach i zasługach.

Praca przedstawia najpierw kontekst historyczno-społeczny jego powstania. Na tym tle ukazany jest jej główny twórca, ks. Idzi Radziszewski, który *z wielką troską na co dzień, nie bacząc na mróz i słotę, w lichym obuwiu brnął po błocie, nadzorując prace budowlane. Radował się, że wreszcie wymarzona Uczelnia uzyska własny lokal i będzie mogła rozwijać naukową i wychowawczą działalność* (s. 35).

Autor omawianej publikacji przypomina także dwóch wybitnych współpracowników ks. Radziszewskiego: Karola Jaroszyńskiego i Franciszka Skąpskiego. Słusznie wyeksponowana jest niezwykle wielka zasługa ówczesnego biskupa lubelskiego Mariana Leona Fulmana, a także kilku innych znakomitych profesorów z pierwszego pokolenia działalności Uniwersytetu.

Dalsza część książki ukazuje tragiczne skutki okupacji niemieckiej w Lublinie. Spowodowała ona przerwanie działalności Uczelni na kilka lat. Po zakończeniu działań wojennych i ucieczce Niemców z Lublina w 1944 r. powstała nowa władza, która dysponowała dużą siłą. Na tym tle został ukazany niezwykle trudny okres dziejów KUL przedstawiony w tej pracy szczegółowo może także dlatego, że autor rozprawy zna te wypadki z własnych przeżyć i doświadczeń (por. s. 69–94), gdyż jako ekspatriant z Wołynia znalazł się w Chełmie. Tam po wysiedleniu ukończył Liceum Ogólnokształcące. Studia polonistyczne podjął w Lublinie. Jako student KUL-u był świadkiem odradzania się tej Uczelni. Główny jej gmach przy Alejach Racławickich był po zakończeniu działań wojennych w stanie opłakanym. Ksiądz Antoni Słomkowski, rektor KUL w latach 1944–1951, wspominał: *Mebli w gmachu nie było żadnych: ani krzeseł, ani ławek, ani stołów, ani szaf. Niektóre okna północnego skrzydła były zabite deskami. Instalacja elektryczna całkowicie zniszczona* (s. 85). Kiedy udało się

[1] Józef Zięba, *Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II. Powstanie i odrodzenie Uczelni*, Wyd. Polihymnia, Lublin 2017, ss. 143, il.

Ks. Edward Walewander

Książka sercem pisana

już uzupełnić podstawowe braki, wtedy nierzadko zdarzały się wypadki niszczenia mienia i kradzieże dokonywane przez sowieckich żołnierzy.

Po przedstawieniu dziejów KUL następuje trzecia partia książki, zatytułowana *Postscriptum*. Dochodzi tu do głosu serdeczna nuta osobistej wdzięczności autora wobec Uczelni, która dała mu – co mocno podkreśla – jedyną szansę zdobycia wyższego wykształcenia (s. 99).

Uniwersytet stworzył warunki kształcenia dla niezamożnej młodzieży. Wpływał też w dużym stopniu na kształtowanie środowiska polskiej inteligencji. Zawdzięczają mu wiele prawie wszyscy lubelscy pisarze i poeci międzywojennego Dwudziestolecia.

Książkę czyta się łatwo i z zainteresowaniem, bo odsłania ona fakty niby bardzo oddalone w czasie (zależy zresztą dla kogo), a zarazem bliskie na dotknięcie ręki. Dzieje się tak dlatego, że inaczej czyta ją ktoś, kto razem z autorem przemierzał długie korytarze gmachu przy Alejach Racławickich 14, a inaczej ten, kto czyni to od niedawna lub dopiero obecnie, tamten gmach już nawet omijając, gdyż KUL (teraz Jana Pawła II), znacznie się rozrósł pod względem kubatury i wyposażenia.

Czy wzrósł także duchem? Otóż właśnie książka dr. Zięby pozwala na to pytanie odpowiedzieć. Ta odpowiedź to rzecz bardzo intymna, a zarazem coraz częściej – żeby użyć słów biblijnych – „głoszona na dachach". I tak być musi, bo z chwilą, kiedy KUL zniknie z ust (tych pełnych

Józef Zięba, *Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II. Powstanie i odrodzenie Uczelni*, Wyd. Polihymnia, Lublin 2017

chwalby i tych zatroskanych), trzeba będzie naprawdę lękać się o dorobek tych pokoleń, o których pisze autor omawianej książki. Z jej kart wynika, że w poniszczonych ławkach audytoryjnych, z często powycinanymi scyzorykiem aforyzmami, a niekiedy epitetami, siedzieli studenci, dla których logo *Deo et Patriae* nie było pustym hasłem.

Oby dalej tak było, żeby podniosłe myśli zawarte w książce dra Józefa Zięby nie stały się jakimś podzwonnym, ale raczej hasłem dla „naprzód idącej fali", jak to niegdyś za jego czasów młodzież polska śpiewała.

Książkę tę warto przeczytać nie tylko z ciekawości, ale także po to, by zrozumieć, w jakim celu ten Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II istnieje, co ma do zrobienia i do zaoferowania.

Trzej pierwsi rektorzy KUL. Ks. Idzi Radziszewski, o. Jacek Woroniecki, bp Czesław Sokołowski

Józef Franciszek Fert

Zoom,
czyli powiększanie drobiazgów

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby w Wigilię sięgnąć po zbiór felietonów ks. Alfreda Marka Wierzbickiego[1]. Może tytuł: *Sacrum i profanum*? A może przewrotna argumentacja przeciw oczywistym obowiązkom wigilijnej krzątaniny? Jakkolwiek było, czas wigilijnego oczekiwania na pierwszą gwiazdkę zamienił mi się w fascynującą przygodę lekturową.

Lubelskie wydawnictwo „Gaudium", znakomicie kierowane przez ks. Marka Szymańskiego, wpadło na świetny pomysł zebrania w książkową całość kilkudziesięciu mikrofelietonów, które ks. Alfred Wierzbicki – poeta i filozof – zamieszczał w latach 2013–2017 w lubelskim informatorze kulturalnym „Zoom"; dokładniej od września 2013 do sierpnia 2017 roku, co przyniosło łącznie 48 tekstów. Comiesięczny felieton ks. Wierzbickiego musiał zmieścić się w rozmiarze 3500 znaków graficznych, czyli na niespełna dwu stronach znormalizowanego komputeropisu. Przez cztery lata współpracy uzbierało się tych znaków około 180 000, czyli w sam raz na książeczkę nie przekraczającą stu stronic. Cnota zwięzłości otrzymała tym samym należną zapłatę. Autor we wprowadzeniu do edycji książkowej wyznaje, że początkowo myślał o tym wymaganiu jak o rodzaju gorsetu, w który miałby wciskać swą inwencję pisarską i oratorską, ale z czasem uznał to za prawdziwe dobrodziejstwo, sprzyjające „dyscyplinie intelektualnej" (s. 8). Zresztą jako poeta operujący nader zwięzłą formą ekspresji miał za sobą dobrą szkołę oczekiwanej tu lapidarności. Redaktor lubelskiego „Zoomu" Miłosz Zieliński przyznaje w posłowiu do książki, iż niekiedy musiał poddawać teksty Wierzbickiego „nieuniknionym skrótom redakcyjnym", ale obecnie felietony te ukazują się w „pełnej postaci", co jednak nie zaburzyło ich przyrodzonej zwięzłości, a nawet i pewnej dosadności... Nie są to więc w sensie ścisłym i dosłownym przedruki z ich matecznego miesięcznika, lecz poddane aktualizacji pierwotne

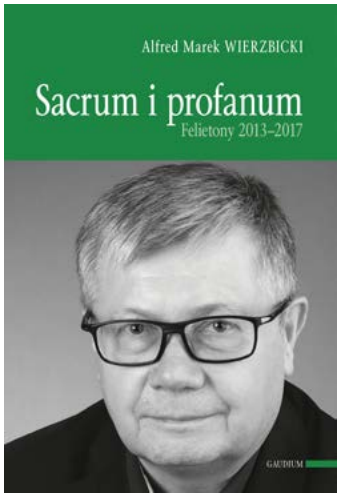

A. M. Wierzbicki, *Sacrum i profanum. Felietony* 2013–2017, Lublin 2017

wypowiedzi autora, o czym świadczą noty bibliograficzne, czy przypisy, które pełnią tu głównie funkcję dokumentacyjną wobec tego, co się działo z biegiem upływającego czasu.

No właśnie – dotknąłem bodaj najczulszego nerwu tych felietonów, a mianowicie c z a s u. Miniatury publicystyczne Wierzbickiego całe zanurzone są w czasie aktualnym, który tu objawia się jako znak dziejących się tu i teraz – a dziś w perspektywie zamkniętego artefaktu – wczoraj i kiedyś, stając się wyrazistym znakiem przeszłości, która – mówiąc słowami Norwida – „jest i *dziś*, i te dziś daléj..." (to z wiersza *Przeszłość*), bo tak naprawdę, jak mówi poeta, nie ma „przeszłości", która jest jakimś złudzeniem optycznym umysłu ludzkiego ulegającego diabelskim igraszkom z czasem i przestrzenią. Tak brzmi początek tego wiersza[2]:

Nie Bóg stworzył *przeszłość* i śmierć, i cierpienia,
Lecz ów, co prawa rwie,
Więc nieznośne mu – dnie,
Więc, czując złe, chciał odepchnąć *spomnienia*!

Nie pora i nie miejsce na snucie refleksji nad kwestią czasu i przestrzeni, ale jeśli przyjmiemy założenie o kosmosie jako przestrzeni nieustannie rozwijającej się

[1] A. M. Wierzbicki: *Sacrum i profanum. Felietony 2013–2017*. Lublin 2017. Zbiór poprzedza wprowadzenie ks. Marka Szymańskiego (*Kilka słów od Wydawcy*) oraz analogiczne przedsłowie autora (*Kilka zdań o tej książce*); zamyka książkę posłowie redaktora lubelskiego „Zoomu" – Miłosza Zielińskiego. Te pozafelietonowe składniki książki znakomicie wprowadzają *in medias res* i dopowiadają okoliczności powstania tego zbioru felietonów, o czym w samych zbiorze się nie wspomina.

[2] Wersja z własnego wydania wierszy poety, różniącego się w niejednym od popularnych edycji Juliusza Wiktora Gomulickiego; zob. C. Norwid: *Vade-mecum*. Oprac. J. Fert. Lublin 2004, s. 15. Wyrazy zapisane kursywą oddają autorskie podkreślenia.

w czasie niczym pąk rozmarynu... to i z Norwidowskim pojęciem „przeszłości" będziemy musieli się chyba posprzeczać, choć tak niezwykle przemawia do naszej wyobraźni swoim wierszem:

Acz nie byłże jak dziecko, co wozem leci,
Powiadając: „O! Dąb
Ucieka!... w lasu głąb..."
– Gdy dąb stoi, wóz z sobą unosi dzieci.

Felietony ks. Wierzbickiego pisane są z ręką na pulsie bieżących zdarzeń lubelskich, nadwiślańskich i światowych; to w pewnym sensie „kronika miesięczna" (naturalnie, bez bolesnej aktualizacji...), niejako nawiązująca do Prusowych „kronik tygodniowych", które ten genialny prozaik i myśliciel, nb. przez różne życiowe przypadki nasz lubelski rodak, zamieszczał regularnie od 1874 przez wiele lat w pismach warszawskich, szczególnie w „Kurierze Warszawskim", na początku prawie co tydzień, później nieco rzadziej, aż do roku 1911, czyli właściwie prawie do ostatnich dni swego życia. Były to zazwyczaj fascynujące, pełne humoru notatki brane wprost z życia, głównie z ulic i domów Warszawy, ale i nie pozbawione szerszych perspektyw intelektualnych. Tradycja Prusowych felietonów wyznaczyła i wyznacza dalej wysokie loty tych – jak wziąć dosłownie etymologię – „ulotnych listków", które przyszły do nas z francuskiego *feuille volante*, a podpowiedziały jeszcze w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej *feuilleton*, czyli nasz „felieton", którego nie zastąpiła nawet udana polska wersja owego *feuille volante*, czyli „ulotka", jako że weszła do języka chyba dopiero w XX w.[3], gdy felieton na dobre rozgościł się w naszym piśmiennictwie, wypierając nawet rodzimą „gawędę". To od tamtej rewolucji, która wprowadziła na arenę dziejów „stan trzeci", można datować niebywały rozkwit prasy i czytelnictwa w całej Europie nie tylko w drugiej połowie XIX w., ale też przez cały wiek XX i dalej – w najlepsze, wykorzystujący również nowe media: radio, telewizję, Internet... Ma Wierzbicki do kogo i czego nawiązywać. I robi to znakomicie, jak przystało na filozofa, poetę i kaznodzieję...

Treści jego felietonów obracają się głównie po placach i ulicach Lublina, choć jako znany wędrownik nie stroni od innych kawałków naszego świata i czasu, szczególnie bliski jest mu, co naturalne, Rzym z niezwykłym mieszkańcem Domu Świętej Marty; Domu, który obecnie pełni rolę hotelu dla kardynałów, ale zbudowany został jako lazaret w czasie epidemii cholery. „Franciszek – jak czytamy w felietonie *Peryferie Franciszka* – nie wprowadził się do pałacu papieskiego, bo […] nie czuje się następcą rzymskich cesarzy, lecz następcą świętego Piotra, który był rybakiem" (s. 74). Wierzbicki wiąże fakty pewnymi symbolicznymi gestami czy słowami, otóż dla papieża Franciszka współczesny Kościół pełni rolę „szpitala polowego"... Ten papież zyskał w Wierzbickim prawdziwego entuzjastę i popularyzatora, mimo że pewien ostracyzm z powodu krytycznych uwag na temat papieskiej adhortacji *Amoris laetitia* („Radość miłości") dotknął jednego z jego mistrzów, filozofa Josefa Seiferta. Postać Franciszka i różne uwagi o jego nauczaniu rozsiane są w całej książce. Drugi ze szczególnie ulubionych wątków pisarskich naszego felietonisty jest znacznie bardziej „lubelski" – to niezagojona wciąż do końca rana po Holokauście, której znakiem, niczym wieczna lampka w kościele, jest światło latarni palące się dzień i noc w lubelskiej dzielnicy żydowskiej. I mroczny majdan na wschodniej rubieży naszego miasta – Majdanek! Wierzbicki bezkompromisowo wypowiada się w kwestii antysemityzmu, który był oczywistym powodem zagłady Żydów w czasie II wojny światowej. Jako wzór postawy szczególnie ważnej w walce z tą aberracją umysłową i przestępczym odniesieniem do „starszych braci w wierze" wskazuje postać Jana Karskiego, który stał się Żydem z wyboru, jak czytamy w felietonie *Żyd z wyboru*. Karski „praktykował braterstwo chrześcijańsko-żydowskie, zanim na soborze Kościół oficjalnie potępił każdą formę antysemityzmu" (s. 127). Myślę, że nie zaszkodziłoby tu dodać: antysemityzm jako postawa płynąca z nienawiści do bliźniego jest po prostu grzechem!

Na swych „ulotnych listkach" zapisał Wierzbicki całą galerię postaci, zdarzeń, gestów i rzeczy, które przelatują przez szpalty dzienników, przez ekrany telewizyjne i internetowe i giną w oceanie niepamięci. Ten nasz totalny świat informacyjny niejednemu jawić się może jako symultaniczna i niezhierarchizowana lawa czy raczej lawina, zmiatająca siłą swej inercji humanistyczny ład „sacrum" i „profanum". Wierzbicki czuje potęgę tej lawiny, uczestniczy wszak od lat w komunikacyjnym teatrze symultanicznym i jako komentator radiowy, telewizyjny i prasowy, i jako systematyczny profesor na katedrze, co przysparza mu zarówno zdecydowanych przyjaciół, jak również jawnych i ukrytych przeciwników. Ale książka odsłania tę jego szczególnie miłą cechę, która porządkuje bieg lawiny – nieustanną gotowość Wierzbickiego do wyciągnięcia ręki w przyjaznym geście do wszystkich, którzy w miłości bliźniego odnajdują nie tyle sentymentalny gest, co właśnie najpełniejszą realizację wymiaru sakralnego naszej rzeczywistości.

Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,

→

[3] „Ulotki" nie zna ani *Słownik warszawski*, ani Aleksander Brückner, a w *Słowniku Doroszewskiego* przykłady wskazują na obecność wyrazu dopiero w polszczyźnie XX wieku. Polszczyzna dziewiętnastowieczna zna jednak – jak widać to w *Słowniku wileńskim* – blisko spokrewnione z *feuille volante* i też naszą „ulotką", a mianowicie wyrażenie „pisemko ulotne", jako że stare słowa „lecieć", „lot" w ciągu XIX i XX w. nabrały u nas nowej energii semantycznej i słowotwórczej, aczkolwiek jeszcze w pismach Norwida spotykamy niespolonizowaną wersję felietonu w postaci *feuille volamntes*, a także wariant *feuilles-volantes* (zob. w *Vade-mecum*, finalny wiersz *Do Walentego Pomiana Z.* W: dz. cyt., s. 135).

Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny[4].

Soczysta narracja Wierzbickiego, nie stroniąca nawet od pewnej rubaszności w słowie i geście, serwowana jest w niezwykle pociągającej metodzie łączenia drobnych na pozór zdarzeń czy przedmiotów z daleką perspektywą intelektualną i moralną. Ten pisarz rzeczywiście obdarzony został niezwykle czułą i dalekosiężną spostrzegawczością, a stosowany przez niego teleobiektyw przynosi świetne efekty poznawcze i estetyczne. Jego „zoom" działa znakomicie, przybliżając nam nieco może sponiewieraną perspektywę humanistycznego oglądu i oceny naszego świata, naszych ulic, kamienic i spraw zarówno błahych, jak i tych najważniejszych.

Narrator tych felietonów pod pewnymi względami przypomina podmiot wierszy Alfreda Wierzbickiego, a myślę, że doświadczenia poety „ciągle w drodze", tego Pana Credo, jak go kiedyś nazwał, owocuje zarówno celnością obrazu, jak i wyrazistą emocjonalnością, która nie chowa się za żadną „poprawnością" (polityczną, klerykalną czy korporacyjną), lecz dąży uporczywie do tego, żeby ewangeliczne (a także Arystotelesowskie) wskazanie: „Tak – tak, nie – nie" znaczyło dokładnie to, co znaczy: zgodność słowa z rzeczywistością.

[4] Cz. Miłosz: *Traktat moralny*. W: *Wiersze wybrane.* Wydanie krajowe drugie. Warszawa 1981, s. 50.

Józef Franciszek Fert

Marek Kątny

Kolejne ważne spojrzenie na Łysicę

Coraz bardziej znany i ceniony poeta i prozaik pochodzący z Kielecczyzny – Stanisław Rogala – po swoich dość licznych ostatnim czasem zbiorach, opublikował kolejny zbiór wierszy pt. *Łysica*. Nowy tom odwołuje się bezpośrednio do najwyższego szczytu Gór Świętokrzyskich, znanego w literaturze polskiej od najdawniejszych czasów (M. Rej, J. Kochanowski), z pieśni i legend ludowych, także wielu opracowań naukowych.

Tytuł ten – *Łysica* – jest bardzo wymowny. W przekazach ludowych i ujęciach mitycznych góra ta zawsze była szczególnym miejscem, trwałym, niewzruszonym, ale także miejscem świętym, gdzie „boscy giganci toczyli boje".

Autor pisze:

Jest taka góra,
która stanowi wierzchołek świata,
jest jego duchem i domem
zapomnianym dobrem i świętością.
Na niej zbiegło się wszystko
i wszystko z niej uciekło.
Łysica

Zdaniem podmiotu lirycznego na tej górze wszystko się zaczęło:

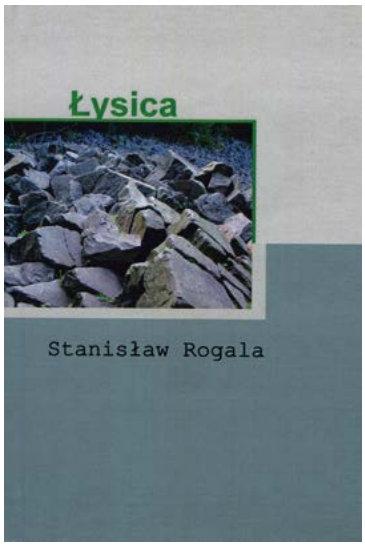

Stanisław Rogala, *Łysica*, posłowie S. Grabowski, Kielce 2017, ss. 88.

Tu zaczął się początek świata
Łysica i Harzu
axis mundi
najwyższy Olimp (…)
Z kamienia i skał Bóg zaczął
swoje stwarzanie
tajemnych kręgów
kolosalnych zamków

To ona w przekazie poetyckim Rogali stała się drogą do nowego świata tworzonego przez Mieszka i Dobrawę. Poemat *Łysica. Święta Góra* jest poetycką historią ojczystej ziemi poety, gdzie słupami milowymi stają się władcy: Mieszko, Łokietek czy Jagiełło, a Łysica symbolem starcia między starym i nowym porządkiem, między rodzinnością i obcością.

Genius loci tej ziemi obejmuje różne jej czasowe etapy i miejsca, które autor tak pięknie przedstawił w baśniach-legendach z ojczystej krainy „świętego jelenia" (*W krainie świętego jelenia*).

Twórca osobiście doświadczał „uroczystości" swej ziemi, gdzie przebywali nie tylko „woje Piastów" czy „leśni ludzie". Tu podczas wędrówki do „Złotej Górki" w Gidlach spotyka Mateńkę Gidelską, podziwia Jej niezwykłą moc, która powoduje, że „kolana same próbują ziemi". Wiąże losy Matki Boskiej Bolesnej z losami małej ojczyzny, gdzie obok bohaterów, będących sacrum tej ziemi, pojawiali się zaprzańcy ojczystych spraw.

Elementy doświadczenia sacrum wyraźnie ujawniają się też w *Oratorium w Skarżysku-Kamiennej* poświęconym poetce i malarce Bożenie Piaście oraz Henrykowi Jachimowskiemu. Pierwsza dedykacja wiąże się z uroczystością nadania tytułu Bazyliki Mniejszej kościołowi pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Druga – „Oratorium" napisanym przez Henryka Jachimowskiego. Doświadczenia religijne autora zaowocowały w słowach:

Pośpiesznie uleciał gorącym płomieniem
chcąc zaśpiewać Maryi
w anielskim chórze
i Tobie – Bożenko

Jego ostatni śpiew
cicho i pokornie
poniosło echo
odbite od murów Karczówki...

W następnej części – *Ponowne wołanie matki* – można uznać za swego rodzaju podsumowanie przeżytego bólu osobistego poety, także podziwu i szacunku dla Jego matki. Wraca w nim podmiot liryczny do wspomnień z dzieciństwa, tych najpiękniejszych, opromienionych blaskiem słonecznym i Jej miłością. Dopełniają ten obraz wiersze z ostatniej części tomu *Przy mojej matce*, *Opiekunka gniazda* i *Żywot mojej matki* czy wiersz bez tytułu rozpoczynający się od słów „Mamo, śniłaś mi się w nocy". W prostocie tych tekstów tkwi ich wartość, szczególna oszczędność słowa wskazuje na łączność poety z poezją współczesną, a temat z naszą tradycją, gdzie matka, Matka Polka, swą postacią była oparciem i wzorem dla kolejnych pokoleń.

Refleksyjność związana ze swoistą bliskością obrazów w [mini] poematach znacznie rozszerza się w kolejnej części zbioru zatytułowanej *Niemal boskie dylematy*. Rozciąga się czasowo od starożytności greckiej Zeusa i Heraklita po najbliższą nam współczesność zaznaczoną pobytem podmiotu w Domu Pomocy w wierszach *Homo finis, Słońce* czy *Mój okręt*. Motyw wędrówki i żeglowania (szczególnie obecny u tego poety w tomie *Kręgi na wodzie*) ma charakter uniwersalny i wiąże się w tradycji kulturowej z nieuchronnym upływem czasu odczuwanym w jesieni wieku.

Doznawanie nieustannego przemijania wiąże się z dostrzeganiem i eksponowaniem walorów przeszłości bohaterów, którzy już nie mogą dźwigać mieczy (*Powolna śmierć bohaterów*); Domu Arian, który ma wejście tylko od nieba (*Wędrówka na Chełmową Górę*) czy *W skansenie „Dąbie"*, gdzie odwołuje się poeta do tradycji i kultury ludowej związanej ściśle z motywem opieki Chrystusa nad rodzinną zagrodą.

Odwołaniem się do wielkich antenatów literackich poety pojawia się w *Wizycie w Stawisku*. Autor znał osobiście Mistrza Jarosława (J. Iwaszkiewicz nagradzał go za powieść *Modlitwa o grzech*) i wielokrotnie w swej twórczości nawiązywał do niego (w poezji i opracowaniach naukowych). Złożył po raz kolejny hołd wielkiemu twórcy i człowiekowi, który nie chciał skorzystać w swej ostatniej drodze z Alei Zasłużonych w Warszawie. Renesansowe poczucie wartości poety wynikające z możliwości zaznaczenia trwałego swego miejsca w kulturze ujawnia *Ten odległy debiut,* utwór będący swego rodzaju klamrą, od pierwszego poetyckiego tekstu do jubileuszowego pięćdziesięciolecia pracy twórczej. Wspomina wielkie nadzieje i zwątpienie, pozornie życzliwe szepty „poeta idzie" i aluzyjne puszczanie oczka zazdrośników, którzy by też tak chcieli, ale nie zawsze potrafią.

Całość wierszy tego zbioru tworzy uniwersum charakterystyczne dla dorobku poetyckiego autora, który przecież bardzo wyraźnie zaznaczył swoje miejsce na ojczystej mapie prozy i poezji (łącznie blisko 70 publikacji zwartych).

Kończąc te uwagi, warto jeszcze dodać, że niniejszy tom ze względu na treść i formę wskazuje na szczególną dojrzałość twórcy, który swobodnie obraca się w różnych przestrzeniach poetyckich obrazów, czytelnikowi zaś spokojnie dawkuje mądrą i odkrywczą metaforę.

Niniejsza wypowiedź stanowi też wyraz uznania dla poety, prozaika, człowieka kultury, który swym dorobkiem nieustannie wzbogaca naszą literaturę.

Na koniec zwróćmy jeszcze uwagę, że tom ten został zaopatrzony w ciekawe posłowie Stanisława Grabowskiego noszące tytuł *Ślady pamięci.* ■

Zbigniew Włodzimierski

Przysłowia i powiedzenia lubelskie

Pieniądze biednych – tylko dla biednych

Pewien bardzo ubogi człek modlił się o poprawę swej doli. Modlił się wytrwale, ale losu swego nie mógł odmienić. Nadal cierpiał biedę. Prosił więc Boga, aby pozwolił mu coś ukraść i przez ten niegodny czyn mógł ocalić swą rodzinę od niechybnej śmierci głodowej. Modlił się przed ołtarzem, a pośrodku kościoła – na katafalku – ustawiono trumnę. Niebawem miano pogrzebać złożonego w niej bogacza. Biedak dostrzegł, jak do kościoła wemknął się elegancko ubrany jegomość i, nie bacząc na pogrążonego w modlitwie, przystąpił do rozbijania trumny. Był to nikt inny, jak sam diabeł. Kiedy już uporał się z odrzuceniem wieka, zawołał do pogrążonego w modlitwie: „Tobie daję pieniądze, dla siebie zabieram duszę!". I potoczyły się po kamiennej posadzce złote monety. Nędzarz powstał z klęczek, pozbierał dukaty w sukmanę i szczęśliwy powrócił do domu. Bezzwłocznie kupił dzieciom chleba na wieczerzę, a następnego dnia kawałek pola. Żyć począł dostatniej i pogodniej. Ludzie z wioski, jak to ludzie we wszystkich miejscach na ziemi, z zazdrością spoglądali na swego sąsiada, który nieoczekiwanie z biedaczyny przedzierzgnął się w zamożnego gospodarza. Bez ociągania donieśli dziedzicowi o wzbogaceniu się biedaka. – Pewnie ukradł – zeznawali w swych relacjach – bo ziemię dopiero nabył, a od stołu nie wstaje!

– Skąd pieniądze?! – pytał już nazajutrz dziedzic chłopa.

– Nie ukradłem – powtarzał pytany, bo co innego miał mówić?

Kazał dziedzic zamknąć chłopa w piwnicy, a w jego chałupie przeprowadzić rewizję. Znaleziono złoto w komorze. I któż miał przyjść nieszczęśnikowi z pomocą? Oczywiście, że sam diabeł! Przecież nie dał mu dukatów, aby go wpędzić w tarapaty.

Podarował pieniądze mizerocie, gdyż lichwiarz, który parę dni wcześniej pożegnał się ze światem, gromadził je, krzywdząc ubogich. Nawet po swej śmierci nie chciał się nimi z nikim podzielić. Polecił więc, aby pochowano go z kieszeniami wypchanymi złotem. Tymczasem – wedle diabelskich przykazań – pieniądze, które od biednych wyszły, do biednych mają powracać.

Najbliższej nocy przybyło diablisko do domu okrutnego dziedzica i wyniosło łóżko ze śpiącym gospodarzem na najwyższą stodołę. Budzi się dziedzic i widzi gwiazdy nad sobą.

– O mój Jezuniu, skąd się wziąłem tak wysoko? – miał zawołać.

Ale nie Pan Jezus mu odpowiedział, jeno sam czart. A skąd biedak wziął się tak głęboko? – zabrzmiała diabelska kwestia.

W okolicach Hrubieszowa, jak też Krasnegostawu, wielu potrafiło przytoczyć tenże dialog, który miał się zakończyć słowami – jeżeli pieniędzy nie zwrócisz, więzionego nie uwolnisz, życia dokonasz w bocianim gnieździe!

Opowiastką tą raczył swych gości i słuchaczy znany gawędziarz i ceniony w kraju ludowy poeta Stanisław Buczyński z Korotowa pod Hrubieszowem. A humorystyczno-liryczną scenkę wymierzania diablej sprawiedliwości odgrywały okoliczne grupy kolędników w tradycyjnych jasełkach.

Z cyklu Magiczne tworzywo

Z cyklu Przemierzając czas

Z cyklu Listy do starych mistrzów fotografii

Z cyklu Wizje i przepowiednie

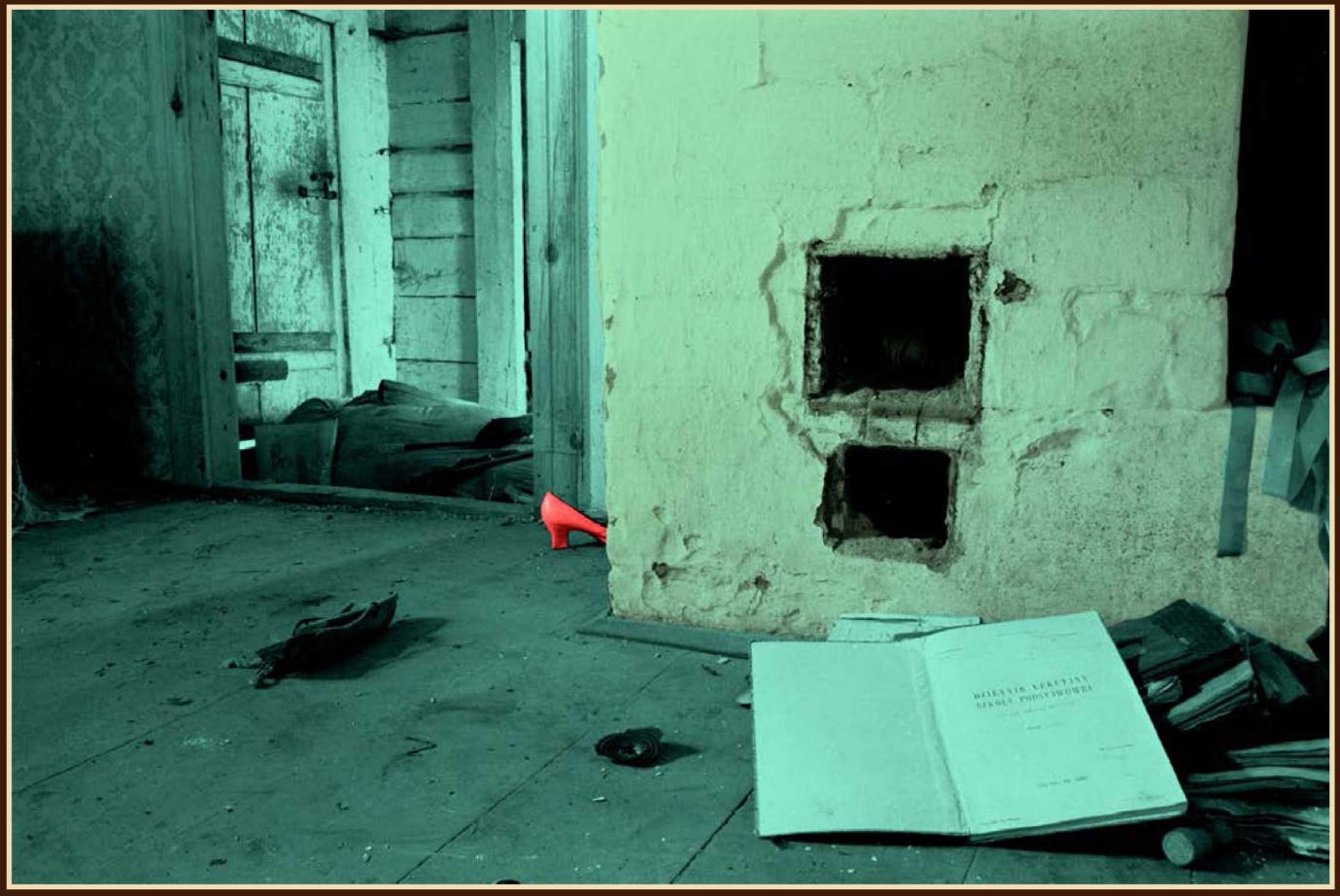

Z cyklu Mury i bruki

Z cyklu Uroda badziewia

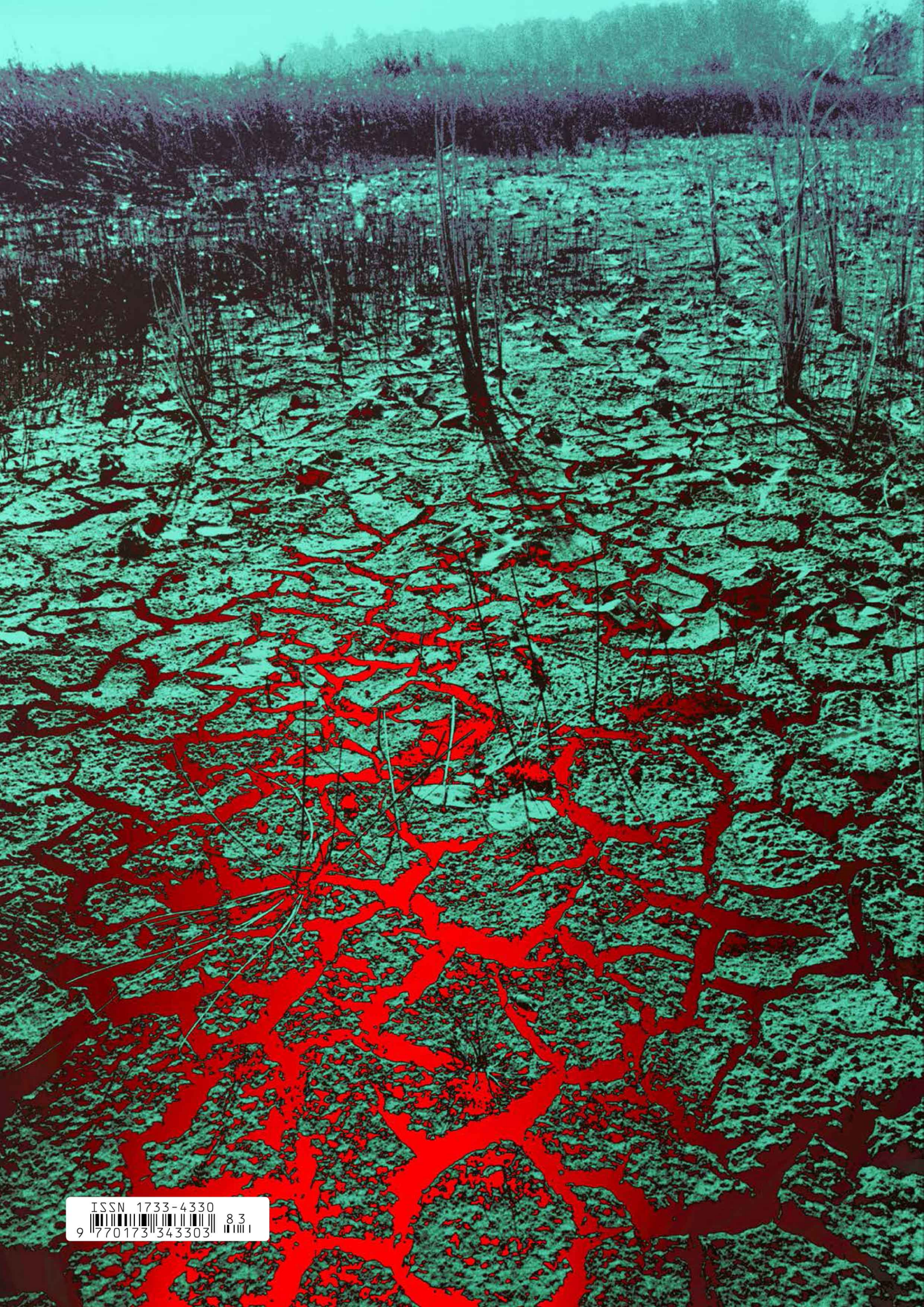

ISSN 1733-4330
9 770173 343303 83